

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Michał Komar

Trzy

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

MIŁOŚĆ

Wendy mieszka w pięknej rezydencji w Bostonie. Odziedziczyła ją po czwartym mężu, znanym kolekcjonerze porcelany, ekscentrycznym potomku (w niezbyt prostej linii) Cottona Mothera, kaznodziei i psychopatycznego dewota, który odegrał obrzydliwą rolę w procesach o czary w Salem w latach 1692–1693. Dom jest okolony rozległym parkiem, po którym włóczą się butlerzy, kamerdynerzy, ogrodnicy i ochroniarze.

Wendy uchodzi za osobę dobroduszną i przyjazną światu. Ludzie wierzą, że jest jedną z owych uroczych zasobnych staruszek, które po ukończeniu osiemdziesiątego roku życia zadziwiają rozmówcę nienaruszoną pamięcią i uśmiechem odsłaniającym wciąż żywą urodą, a ponadto są dobre dla służby.

Od kilku lat Wendy wycina obituaria z gazet amerykańskich, wzbogaca komentarzami i przesyła na mój adres w wielokrotnie, a nawet natrętnie wyrażanej nadziei, że je ogłoszę.

Nie, nie sądzę, aby to było możliwe. Powiedzmy szczerze: nie, po moim trupie!

W wypełnionym przygodami życiu Wendy otarła się (za przeproszeniem) o szereg postaci wybitnych. Jest pewne, że niejeden historyk byłby wdzięczny za możliwość zapoznania się z jej opiniami dotyczącymi dyrygentów z Filharmonii Berlińskiej, premierów, dyrygentów z Opery Wiedeńskiej, sekretarzy stanu, tenorów, ministrów, dyrygentów z Metropolitan, ambasadorów, sopranów koloraturowych, pewnego mistrza w boksie (waga ciężka), kardynałów, pewnego zgorzkniałego wodza naczelnego i Misi Godebskiej, by nie wspomnieć o sławnym w świecie projektancie mody, który do dnia spotkania z Wendy, wówczas liczącą siedemdziesiąt dwie wiosny, zwykł był otaczać się wyłącznie chłopcami o powłóczystych spojrzeniach i dziewczęcych gestach, a od tego dnia zainteresowania zmienił; czuję się jednak w obowiązku zauważyć, że Wendy, odkąd ją znam, zawsze odnosiła się do bohaterów swych komentarzy z zadziwiającym brakiem lojalności.

Wystarczy umrzeć i niech tylko duchowni i grabarze wykonają to, za co im zapłacono.

Więc umierasz.

Umierasz, myją cię, ubierają, robią makijaż albo nie robią, zależy od zamówienia spadkobierców, wkładają do trumny, przykrywają wiekiem, z oddali słyszysz słowa modlitwy – póki co, jest ci dobrze, ciepło, elegancko. I wzruszasz się myślą, że Wendy stoi nad twoim grobem i popłakuje. Owszem, Wendy chwilę popłacze, złoży kwiaty na twym grobie, ale potem jak nic stwierdzi głośno i dobitnie, że byłeś albo sprzedawczykiem, albo rogiaczem, albo zboczeńcem czy idiotą.

Namiętny stosunek tej kobiety do rozrzutnego piękna świata każe jej traktować śmierć jako karę za brak pasji. Umierają ci, co nie umieli docenić cudu Stworzenia. A kto nie umie docenić? Rzecz jasna, osobnicy spaczeni: sprzedawczyk, rogiacz, zboczeniec, idiota. Wendy obraża się na zmarłych także i z tego powodu, że w jej mniemaniu śmierć jest niewybaczalnym nietaktem, naraża bowiem żywych (ją przede wszystkim) na trudne do zapełnienia luki towarzyskie. Bo przecież sprzedawczykom, rogiaczom, zboczeńcom i idiotom świat zawdzięcza bogactwo barw, w istotnej mierze. Sądzę, że właśnie z tego powodu zgon swego trzeciego męża, podpułkownika Władysława Lskiego, zwanego Pułkownikiem, kawalera orderów i niestrudzonego wodzireja na balach kombatanckich, skwitowała następująco: „Był zachwycająco zabawny. Nigdy się przy nim nie nudziłam (...) przez całe życie grał męczyznę, co mu się udawało jedynie połowicznie. To znaczy, jedynie wśród takich samych jak on chłopaczków, pozbawionych powagi istnienia. Im bardziej się napinał, z tym większą radością i zacięciem go zdradzałam, ale ten balon był nie do przekłucia, przedwojenna guma, prędzej serce ci pęknie, jeśli rozumiesz, o co chodzi (...) Płacę, bo wiem, że nikt mi go nie zastąpi”.

Nie da się oczywiście wykluczyć, że Wendy jest staruchą podłą i głupią. Ale ponieważ odczuwam do niej sympatię, tedy mam prawo stwierdzić, że jej opinie o ludziach – niesprawiedliwe, boleśnie krzywdzące – nie powinny ujrzeć dziennego światła. Tak uważam!. Nie opublikuję! Dla jej dobra!

Z drugiej jednak strony i w świetle wydarzeń ostatnich miesięcy sprawa wymaga głębszego przemyślenia.

Zaczął się to w marcu 1997 roku, kiedy w kopercie z jej inicjałami znalazłem wyciętą z lokalnej gazety wydawanej w Waco, Teksas, informację o śmierci Sebastiana L. „Urodzony w 1913 roku we Lwowie (Polska). W latach pięćdziesiątych koncertował w Paryżu. Autor opery jazzowej Montparnasse 1949, za którą został wyróżniony pierwszą nagrodą Teksasńskiej Fundacji Sztuk Pięknych w 1953 roku. Przez czterdzieści sześć lat był znanym w stanie Teksas twórczym (creative) nauczycielem muzyki i dyrygentem chórów szkolnych”. Wendy od siebie dopisała: „Spotkałam go w sierpniu 1949 roku w Paryżu, w jednej z tych śmierzących – jazz boîtes – nor na Saint-Germain-des-Prés, gdzie (sądzę, że w zastępstwie) przygrywał Charliemu Parkerowi. Był podпиты, miał brudne paznokcie, brudną szyję i przepocone ubranie. Cieszył się znaczną popularnością wśród miejscowych recenzentów muzycznych. Oni też byli pijani i niedomocy. Twierdził, że kończy operę jazzową, która na pewno zyska międzynarodowy rozgłos. Ja też nieźle wtedy popijałam. Mieszkał z jakąś zwariowaną malarką na rue de Seine, w pokoiku na szóstym piętrze, i ciągnął mnie tam nader obcesowo, czemu się nie oparłam (...) Malarka piła, a oprócz tego miała pociąg do kokainy, w każdym razie na Nowy Rok 1951 popełniła samobójstwo, i to razem z młodym Amerykaninem, który pisał libretto do opery Sebastiana. Bardzo romantyczne, nieprawdaż? Ten Amerykanin był synem J.M.V., właściciela pól naftowych w Teksasie, którego poznałam po latach, parweniusz z pretensjami (...) Wyobraź sobie, że tenże J.M.V. po śmierci syna załatwił Sebastianowi wizę imigracyjną, sprowadził do Teksasu i obdarował dożywotnim stypendium oraz nagrodą fundacji, której był twórcą i sponsorem. W latach pięćdziesiątych sto tysięcy dolarów to była zawrotna suma (...) Przed wojną Sebastianowi wróżono karierę pianistyczną, ale że potrzebował pieniędzy na wódkę i dziwki, więc zaczął grać w orkiestrze Eddiego Złotej Trąbki”. Potem następował kilkunastu wywód o skąpstwie, głupocie, dziwacznych nawykach seksualnych, braku talentu, lenistwie i niechlujstwie Sebastiana L., nikczemności wielu ważnych postaci, z którymi Wandy utrzymywała lub utrzymuje kontakty (na przykład, że generał S. „był i jest złodziejem”, a profesorowa K. – „zwykłą suką”), oraz o prostactwie amerykańskiej oligarchii finansowej, ale nie to było ważne.

Dla mnie ważna była wzmianka o Eddie Złotej Trąbce. Bo wiedziałem, że był taki jeden, niepowtarzalny, mówili mi starzy ludzie, przed wojną najlepszy, Złota Trąbka z wąsikami a la Adolphe Menjou, z grubą warstwą brylantyny na włosach, w dwurzędowym garniturze z tweedu i w skrzypiących zbyt ciężkimi angielskimi półbutami, jazzman, kompozytor, i moje serce zabiło mocniej, aż zacząłem się kulić w obawie przed spodziewanym bólem wzruszenia, bo jestem Złotej Trąbce coś winien od czterdziestu czterech lat. Jestem mu mianowicie winien kilka chwil uzdrawiającej radości, którą z duszy ściśniętej nieszczęściem umie wydobyć jedynie muzyka.

No więc kto pamięta Cichą wodę?

Cicha woda brzegi rwie,
nie wiesz nawet, jak i gdzie...

– przebój 1953 roku, słowa: L.J. Kern, opracowanie: Z. Kurtycz, muzyka: E. Rosner. Eddie Złota Trąbka! On!

W 1953 roku miałem siedem lat i byłem dzieckiem cherlawym. Pierś zapadnięta, krzywica, anemia, szmery w płucach oraz kręgosłup ze skrzywieniem wzbudzającym żywe zainteresowanie lekarzy i rozpacz mojej znękanej matki, która odwiedzała mnie co drugi dzień, podróżując kolejką EKD z przedmieścia.

Wiosną i latem łowiłem z kolegami kijanki w fosach fortecznych, w ruinach zbombardowanego pałacyku znalazłem granat oraz prawdziwego niemieckiego trupa w hełmie i saperskich butach, tak więc w zasadzie byłem zajęty na tyle, by odsunąć od siebie myśl o kłopotach na odległość niepa-

mięci. Problem zaczął się w połowie listopada. Od świtu padał śnieg, ale było go za mało, żeby pójść na sanki. U wejścia do klasy, tuż przed rozpoczęciem lekcji wysoka nauczycielka z uśmiechniętymi niebieskimi oczyma i kokiem ze splecionych gęstych, jasnych włosów zastąpiła mi drogę i powiedziała, że mój ojciec został wreszcie rozstrzelany, a ona się z tego cieszy.

– Dobrze się stało – wykrzyknęła i zarumieniła się. – Słusznie się stało! – Wyciągnęła rękę, pogłaskała mnie po głowie. – I nie spóźniaj się na zajęcia... Trzeba się uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć.

Ominąłem ją bez słowa i wybiegłem na ulicę, kręcąc workiem z kapciami. Teraz do śniegu dołączył deszcz, na trotuarze osiadła gęsta warstwa szarobrunatnej bryi, o sankach nie było mowy. Ruszyłem w stronę domu, zastanawiając się, w jaki sposób wyjaśnić dziadkowi moją nieobecność w szkole. Przecież nie powiem mu o ojcu! – pomyślałem. – Jak mu powiem, to się rozpłaczę. I zacząłem sobie wyobrażać dziadka, wąsatego, wyprostowanego jak struna starego podoficera z pierwszej wojny światowej, obecnie bezrobotnego windziarza, zalewającego się łzami.

Od pewnego czasu ojciec sprawiał mi sporo kłopotów. Poprzedniej jesieni zniknął nagle i bez śladu, tego zaś marcowego dnia, kiedy radio nadało komunikat o śmierci Józefa Stalina, wychowawczyni wywołała mnie przed szereg i uderzyła dłonią w twarz, niezbyt zresztą mocno, wyjaśniając, że wymierza mi karę za ojca, który wrogą swą działalnością przyczynił się do zgonu największego przyjaciela dzieci polskich, radzieckich i z reszty świata, wraz z bohaterskimi dziećmi Ludowo-Demokratycznej Korei, za co ja godzinę później, w czasie obowiązkowego karmienia tranem, dotkliwie ją obrzygałem, tę panią Jolę, prosto w twarz oraz w drugim rzucie na bordowy sweter opinający ogromne, trzęsące się cyce, jednak wtedy, w marcu, o żadnym rozstrzelaniu nie było mowy, tylko że siedzi w więzieniu, to znaczy, że żyje. Próbowałem porozmawiać o tym z siostrą, ale ona była zajęta nieustannym szlochaniem. Nie, nie chcę, żeby dziadek płakał.

– Powiedz mu, że masz gorączkę – poradził mi Zdzisio, kolega z klasy. – Grype albo dyfteryt.

– Ale nie mam – powiedziałem.

– Jak nie masz, to możesz mieć – rzekł sentencjonalnie Zdzisio i splunął na oblepiony błotnistą mazią i końskim nawozem ściek do kanału. – Zdejmij buty.

Zdzisio uważał, że w płynącym rynsztokiem strumieniu żyją bardzo małe, niewidoczne dla ludzkiego oka żyjątka. Tak został stworzony świat, że jak natkną się na człowieka, to wchodzi mu przez skórę do środka ciała i powodują choroby, które leczy się penicyliną.

– Bakterie – oświadczyłem. – Wiem.

– Mikroby – zaoponował.

– Bakterie.

Zdzisio zastanowił się i splunąwszy po raz wtóry, wypracował formułę kompromisową:

– Są dwa rodzaje. Większe i mniejsze. Te większe nazywają się bakterie, a te mniejsze mikroby.

To był dobry pomysł. Praktyczny. Zacząłem rozwiązywać sznurowadła.

– Mogę z tobą trochę posiedzieć – powiedział Zdzisio, zsunął filcowe kapce ze stóp, po czym dodał: – Ale mikroby są bardziej jadowite.

Jego matka wyciągnęła nas z rynsztoku po godzinie albo dwóch, kiedy zaczęliśmy sinieć. Z krzykiem oburzenia i obrazą zaprowadziła do mieszkania, wsadziła do wanny z gorącą wodą, natarła spirytusem, nakarmiła kanapkami, dalej krzycząc i oburzając się na jakichś nieznanymi mi łajdaków i nieznaną kurwy, potem otworzyła drzwi do pokoju, w którym ciepłe światło lampy stojącej na biurku odślaniało kontury setek książek i zarys twarzy ojca Zdzisia. Uniósł głowę znad notatek i chrząknął nieśmiało:

– Marysiu, nie trzeba krzyczeć.

– Krzyczę, żeby chociaż Pan Bóg w niebie usłyszał, jeśli ludzie nie chcą! – krzyknęła pani Maria i unosząc ku sufitowi dłonie z paznokciami pociągniętymi jaskrawoczerwonym lakierem, wyrzuciła z siebie szereg straszliwych przekleństw i przepowiedni. Łajdacy mieli zostać obsypani wrzodami, dotknięci paraliżem i ukarani długim, bolesnym konaniem; to samo dotyczyło kurew.

Była wysoką tlenioną blondynką, lubiła suknie w kolorowe kwiaty, które odbijały się w jej jasnych, zdziwionych oczach, zapewniam, że w niczym nie przypominała proroków biblijnych z rycin Dorégo, nadętych brodatych starców w długich sutannach, a przecież widać tkwiła w niej jakaś profetyczna, wzbudzająca respekt moc, skoro te przekleństwa wykrzywane pełnym głosem nie ściągnęły na nią ani jednego donosu sąsiadów, a mogły, dają słowo, mogły.

– To krzycz, ale ciszej... – pan Zygmunt pokiwał głową i podsunął nam zdobyczny niemiecki album z reprodukcjami dzieł sławnych malarzy; na obwołucie Brueglowsky ślepcy wędrowali w nieznane, ku zatracie. – Pooglądajcie sobie, chłopcy, jak to bywa w życiu...

Późnym wieczorem odprowadził mnie do dziadka.

– Jutro nie pójde do szkoły – powiedziałem. – Pojutrze też nie. W ogóle to nie ma po co.

– Rozumiem – dziadek usiadł na krześle i jakoś niezręcznie, szorstko przyciągnął mnie do siebie i przytulił z całej siły, tak że na policzku poczułem ukłucie koniuszków jego wąsów. Potem odchylił się, spojrział mi uważnie w oczy i krzyknął: – Antek, chodźże tu...

Za perkalowej zasłony wychynał stryjek Antek, ciągnąc za sobą zapach kalafonii, roztopionej cyny i nalewki na wiśniach. W rękę miał lutownicę, a pod oczyma czarnosine worki. Stryjek Antek za dnia obijał się o ściany swojego pokoju jak skazana na śmierć ćma, a po nocach, w stosownej dyskrekcji, przestrajał sąsiadom radiodbiorniki. Był bezrobotny, z czym trudno mu się było pogodzić z powodów zasadniczych. Przez długie lata, jeszcze przed wojną, kiedy też był bezrobotny, ale inaczej, z zapalem studiował klasyków socjalizmu naukowego, którzy zapewniali, że uspołecznienie środków produkcji wiedzie wprost do pełnego zatrudnienia i pełnej szczęśliwości. Po wojnie na naszej ulicy i w najbliższym sąsiedztwie społeczeństwo przejęło na własność piekarnię, skład złomu, kuźnię, kiosk z piwem, aptekę i wytwórnię oranżady w proszku, czyli wszystkie pobliskie środki produkcji, ale od stryjka Antka, nadal studiującego Kapitał, odwróciło się tyłem i ukarało go bezrobociem oraz prywatnymi nocnymi fuchami, którym był przeciwny z przyczyn zasadniczych, prywatność bowiem jest przeciwieństwem uspołecznienia, ale z drugiej strony trzeba coś od czasu do czasu włożyć do ust. Była to bolesna sprzeczność. Była to sprzeczność o charakterze antagoniistycznym, a więc sprzeczność, której rozwiązanie oznacza całkowitą rewolucję. Z tej okazji Karol Marks lubił cytować słowa George Sand ze wstępu do powieści Jan Żizka: „Walka albo śmierć, krwawy bój lub nicość. Tak oto sprawa nieodparcie stoi!”. Nie ulega przy tym wątpliwości, że radia przestrajane przez stryjka Antka odbierały więcej i lepiej niż te, które można było kupić na talon w uspołecznionym sklepie.

– Co z tym kryształkiem? – zapytał dziadek. – Przydałby się...

Antek wzruszył ramionami, przetarł okulary, burknął, że może zdąży na święta, i schował się za zasłonę.

– No to możesz sobie pochorować – oświadczył dziadek.

I tak zacząłem chorować na grypę, anginę, odrę i zapalenie płuc wraz z dyfterytem, by nie wspominać o krzywicy, pogłębiającej się anemii oraz skrzywionym kręgosłupie. Leżałem przy oknie i tyle ze mnie było.

Tu pragnąłbym dodać, że w owym czasie nawet nie domyślałem się istnienia tweedowych garniturów, skrzypiących zbytkiem angielskich półbutów, brylantyny, wąsika a la Adolphe Menjou i zgoła samego Adolphe'a Menjou. Nie wiedziałem też nic o muzyce Eddiego Rosnera.

Z czego robi się brylantynę? Gdzie można kupić bindę? Jak wyprawia się skórę na wierzchy od Church's, a jak na zelówki? Dlaczego tweed jest tkaniną luźno tkaną z grubej przędzy wełnianej zgrzebnej o splocie skośnym? Jakie główne role grał Adolphe Menjou? Co to jest muzyka? Muzyka? Tak, muzyka!

Obudźcie mnie albo Zdzisia w środku nocy, proszę bardzo, a usłyszycie, że muzyka jest to sztuka piękna, która przetwarza myśli, uczucia i nastroje duchowe za pomocą dźwięków, bez zająknięcia, płynnie, bo tak nas wyćwiczyli na lekcjach muzyki, sztuki pięknej przetwarzającej myśli,

uczucia i nastroje. Nauczyciel miał siwe, gładko zaczesane włosy i białe oczy polującego jastrzębia, pod lewą pachą futerał ze skrzypcami, w prawej dłoni smyczek, stając w progu klasy, stukał podkutymi obcasami lśniących oficerek, dyżurny zrywał się z krzykiem: – Powstań, bacność, na prawo patrz! Klasa gotowa do zajęć, stan trzydziestu jeden, wszyscy obecni! – Nauczyciel strzepywał niewidoczny pyłek z bryczesów, obciągał połę marynarki wojskowego kroju i wskazywał smyczkiem na kogoś nas: – Spoczniej! Co to jest muzyka? Ciebie pytam! – Muzyka przetwarza myśli, nastroje i uczucia duchowe i jest sztuką... – powiedział kiedyś Zdzisio. – Precz z klasy, bałwanie! – szczerknął nauczyciel. Zdzisio ruszył w stronę drzwi. – Wróć! – ryknął nauczyciel. – Wróć, bałwanie! Bacność! Muzyka jest to sztuka piękna, która przetwarza, która przetwarza, sztuka piękna, zapamiętajcie to sobie, durnie, do końca życia, myśli, uczucia! – Więc jeśli ktoś mnie zbudzi w środku nocy, to wyrecytuję, owszem, że przetwarza myśli, uczucia i nastroje duchowe przy pomocy dźwięków, ale lepiej mnie nie budzić o tej porze, nie lubię, budźcie Zdzisia.

O iluż sprawach wtedy nie wiedziałem? O mnóstwie spraw nie wiedziałem. Na przykład, że ucieczka to po łacinie fuga. I nie wiedziałem także o tym, że Eddie Rosner, kilkunastoletni Wunderkind, studiował w Konserwatorium Berlińskim, skąd uciekł do Syncopatorów, słynnej w latach dwudziestych orkiestry jazzowej Stefana Weintrauba; uciekł z Niemiec w 1933 roku, krążył po Europie, szukał sposobności ucieczki do Ameryki, ale się nie udało, zamieszkał w Polsce, występował w warszawskiej „Adrii” i wszystkim pokazywał zdjęcie Louisa Armstronga z dedykacją „białemu Louisowi Armstrongowi”; że jesienią 1939 roku, już po zajęciu Warszawy przez armię Hitlera, uciekł do Białegostoku, a stamtąd do Lwowa i grał w Café „Bagatelle”, a oficerowie armii Stalina nie mieli z zachwyty, kiedy przykładał trąbkę do warg. I nie wiedziałem, że w owym czasie każda szanująca się republika radziecka uważała za punkt honoru posiadanie własnego państwowego big-bandu i gdy wieść o Złotej Trąbce z Café „Bagatelle” dotarła do Pantelejmona Kondratiewicza Ponomarienki, Pierwszego Sekretarza Białoruskiej Partii Komunistycznej (bolszewików), ten uświadomił sobie, że rządzona przez Białoruś ma fabryki, kołchozy, sowchozy, lasy, pola i rzeki, ale centralnego, państwowego zespołu jazzowego absolutnie nie, a przydałby się przecież, ażeby dorównać innym republikom radzieckim, a nawet je przewyższyć; Pantelejmon Kondratiewicz lubił jazz do tego stopnia, że wkrótce Eddie Rosner otrzymał tytuł Zasłużonego Artysty Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i wiosną 1941 roku wystąpił w Soczi przed samym „gospodarzem”; wokół teatru stał kordon mężczyzn w cywilnych ubraniach, scenę oświetlono mocnymi reflektorami, w sali znajdował się tylko jeden widz, żaden z muzyków nie zobaczył jego twarzy, koncert trwał dwie godziny (Sebastian L. grał na fortepianie), potem kurtyna opuszczona przez oficera ochrony oddzieliła orkiestrę od widowni, zapadła martwa cisza, nawet krzesło nie zaskrzypiało. I nie wiedziałem, że w 1942 roku zespół Rosnera koncertował we Władywostoku; po występie Sebastian L. i kolega saksofonista nieopatrznie wypili parę kieliszków z jakimś dziennikarzem amerykańskim, wskutek czego saksofonista zniknął w obozach na dwa dziesięciolecia, podczas gdy Sebastian L., obity w trwającym kilka miesięcy śledztwie, zagłodzony, półprzytomny i pomieszany dotarł do jednostek generała Andersa; że w 1945 roku Rosner złożył podanie o paszport do Polski; chciał uciekać, był tuż-tuż przed spakowaniem walizek; że w 1946 roku Stalin i Żdanow zaczęli powolutku, ale konsekwentnie uruchamiać kampanię wymierzoną w „kosmopolityzm i czołobitność wobec Zachodu”, w tym także i w jazz, organy państwowe zarządziły przymusową rejestrację saksofonów, a potem ich konfiskatę, Rosner stanął przed trojką NKWD i znalazł się w Magadanie nad Morzem Ochockim, gdzie założył obozowy zespół jazzowy, którego członkowie grali na saksofonach pochodzących z konfiskaty; że odzyskał wolność w 1953 roku, tuż po śmierci „gospodarza”, i z drogi do Moskwy, a podróż trwała prawie rok, z Magadanu to kawał drogi, szczególnie jak się ma milicyjny zakaz osiedlania w stolicy, przesłał prymkę Cichej wody do Warszawy. Nie wiedziałem, no bo skąd miałbym wiedzieć? w jaki sposób? kto to wie? Przecież leżałem przy oknie nieruchomy, niemy, głuchnący, pełen odrazy do światła dnia, i tyle ze mnie było.

Teraz wiem jeszcze więcej o Sebastianie L. i Rosnerze, któremu naprawdę było nie Eddie, lecz Adolf, ale Adolf Żłota Trąbka to nie brzmiało tak dobrze jak Eddie. O Sebastianie L., że z wojskiem generała Andersa wyszedł z Rosji, w 1946 roku zamieszkał w Paryżu, na szóstym piętrze w domu na rue de Seine, o Eddiem, że w 1955 roku zaczął dobijać się o wyjazd do Polski, a akurat w tym samym czasie minister nadzwyczajny i pełnomocny Pantelejmon Kondratiewicz Ponomarienko wprowadzał się do pachnącego świeżością i otoczonego zamaskowanymi gniazdami karabinów maszynowych wielkiego gmachu ambasady sowieckiej w Warszawie, osiemnaście lat potem Rosnerowi pozwolono wreszcie na wyjazd z ZSRR, uciekł do Berlina i tam zmarł. No więc teraz wiem i wcale z tą wiedzą nie jest mi lepiej – takie są moje myśli, uczucia i nastroje duchowe, których nie umiem wyrazić za pomocą dźwięków. Chyba żebym zaczął wyc, ale nie wypada.

Wysokie łóżko dotykało krawędzi parapetu pociągniętego łuszczącą się farbą olejną. Szyby były pełne bąbli, zgrubień i fałd, wystarczyło nieznacznie przesunąć głowę lub przymrużyć oczy, by świat za oknem zaczął tracić trzeźwą wyrazistość kształtów. Pnie drzew porastających gruzy gięły się jak roztańczone węże, buda dorożki wyczekującej przed kuźnią przybierała kształt wielkiej kuli, zza której nagle wynurzała się falista kreska lokomotywy, kreska wyrzucała z komina kłęby czarnego dymu, gdy jechała w prawo, i kłęby białej pary, gdy jechała w lewo, ludzie wychodzący z dworca mieli zamiast głów ogromne balony i plecy wybrzuszone monstrualnymi garbami, tak to było widać przez szybę, ale moje oczy nie chciały patrzeć, czekałem na chwilę, kiedy nadejdzie mężczyzna z długą tyczką w rękę, uniesie ją, zahaczy o pętelkę i szarpnie, w kulistym kloszu lampy gazowej zadrży błękitny płomyk, drugi, trzeci, razem będzie ich osiem, a wtedy nadpłynie noc, która wszystko pomniejsza i wchłania, zniknie czerwony cień spomiędzy drzwi kuźni, ulecą ku niebu ostatnie iskry z komina lokomotywy. Chciałbym – myślałem – by i mnie pociągnęło w tamtą stronę, ku niekończącej się wirującej ciemności, byle już więcej nie patrzeć na rzeczy, na drzewa, na to wszystko, nie otwierać oczu, nie otwierać ust, nie jeść, nie pić.

– Gaśnie mi dziecko, odchodzi, ucieka – skarżył się szeptem dziadek, a ja zaciskałem coraz mocniej powieki, żeby żaden promień światła nie wzbudził we mnie bólu.

Pod koniec grudnia stryjek Antek podniósł mnie, podłożył pod plecy dwie poduszki i rozkazał:

– Otwórz oczy.

– Nie.

– Jest ciemno – powiedział Antek. – Otwórz, proszę.

Uniosłem powieki. Na kołdrze leżała bakelitowa deseczka z żarzącą się lampą w metalowej obudowie i dwiema słuchawkami.

– Obiecałem – powiedział Antek. – Obiecałem i dotrzymałem. Kryształek! Prawdziwi marksiści dotrzymują słowa.

– Głupoty jakieś... – obruszył się dziadek. – Ty lepiej mu pokaż, co z tym robić.

Antek nałożył mi słuchawki na uszy i kazał dotknąć śrubki pokrętła.

Na powstanie mojego kryształka, czyli detektora, złożyły się wysiłki A. Popowa, G. Marconiego, R. Fessendena (który spostrzegł, że nałożenie w odbiorniku na prąd antenowy nieznacznie różniącego się częstotliwością innego prądu prowadzi do wzmocnienia odbieranego sygnału), J.J. Fleminga (twórcy dwuelektrodowej lampy elektronowej, zawierającej katodę i anodę, a wykazującej własność jednokierunkowego przewodnictwa), stryjka Antka oraz jeszcze jednej, nieznaney mi osoby, o której za chwilę.

Detektor leżący na moich kolanach nie mógł, rzecz jasna, równać się z prawdziwym radiem, przewyższał jednak megafony z napisem „Radiofonizacja kraju”, które chrypiały na ulicach, oraz obite szarym płótnem „kołchoźniki”, które chrypiały w urzędach, barach mlecznych i szpitalach. Prawdziwe radia dzieliły się na trzy grupy. Do pierwszej należy zaliczyć małe brązowe pionieri i czarne tesle, najtańsze i dławiące się dźwiękiem; kiedy Polskie Radio Warszawa nadawało swój

sygnał wywoławczy, parę taktów Etiudy rewolucyjnej, ich głośniki zaczynały dygotać, trzeszczeć i dudnić; do drugiej – drewniano-płócienne, z dwoma pokrętłami i skalą, na której oznaczono Pekin, Nowy Jork, Paryż i Sydney, ale posłuchać można sobie było co najwyżej Moskwy i Pragi; do trzeciej – te najdroższe, z zielonym tajemniczym okiem, superheterodyny, najczęściej holenderskie, zdobyczne, z szabru, niekiedy z nalepką ewidencyjną, na której szeroko rozkładał skrzydła orzeł ze swastyką w szponach. Detektor nie miał zielonego oka, nie miał głośników, ale z drugiej strony zapewniał mi wolność słuchania wszystkiego (zakres mojej wolności definiowali nadawcy z całego świata), a ponadto był zbudowany na bakelitowej płytce. A ja mam do bakelitu sporo sympatii.

Mam do bakelitu sporo sympatii i szacunku, bo to przecież zachwycające, że nie z kamienia, choć twardy, ani ze stali, choć ma dobrą wytrzymałość mechaniczną, nie występuje w przyrodzie i zawdzięcza swoje istnienie wyłącznie wysiłkom człowieka myślącego. Jakiś czas temu, jeszcze za ancien régime'u, wygłosiłem wykład na temat decydującej roli bakelitu w dziejach politycznych i społecznych XX wieku, owszem, przyznaję, że po paru szklankach brandy Biełyj Aist, ale to nie powód do szyderczych uśmiechów; schowany w kacie, nad półmiskiem sałatki jarzynowej oblanej grubą warstwą majonezu kieleckiego, jałem pograżać się w goryczy; nie dla mnie zachwyty w oczach niezłomnych dysydek, nie dla mnie falujące z podziwu piersi intelektualistek, a pociechy znikąd nie uświadczysz, walnałem jeszcze szklaneczkę, tym razem żytniej, tymczasem podchodzi mężczyzna o cudzoziemskim wyglądem, tak między Doktorem Johnsonem i Samuelem Pepysem, i mówi po rosyjsku z akcentem angielskim, że chciałby, nawiązując do mojej erudycyjnej wypowiedzi, parę słów w sprawie bakelitu; na to ja po angielsku z akcentem rosyjskim, że bardzo proszę, z przyjemnością, na to znów on, że wynalazek Baekelanda miał istotnie decydujące znaczenie i cieszy się, że ten pogląd ma też zwolenników w uciemnionej przez totalitaryzm Europie Wschodniej; patrzę na niego podejrzliwie, czy aby nie prowokacja jakaś, ale człowiek wygląda, jak trzeba, oczy za marzycielską mgiełką, cera czerstwa, lekko czerwona, pachnie dobrą whisky, więc nalewam mu, nie odmawia, także sałatkę jarzynową podskubuje bez szczególnego wstrętu; czuję, że w naszą stronę kierują się zaciekawione spojrzenia niezłomnych dysydek, intelektualistki też nieco poruszone, zdobywszy się więc na odwagę, pytam: – A pan kolega skąd? I czym się para, poezją ezoteryczną czy też realizmem magicznym?

Na to on:

– Przybywam z Oksfordu, gdzie jestem profesorem historii, poprzednio wykładałem w Cambridge, Trinity College, dzieje najnowsze są przedmiotem mojej nieustającej pasji poznawczej i po latach badań pojąłem, że dwudziesty wiek zaczął się w chwili, gdy Baekeland ogłosił światu, co wynika z kondensacji fenolu lub kreozolu z aldehydem mrówkowym...

– Profesor Norman Stone, jak mniemam? – wyszeptalem, osuwając się w sałatkę, a on bratersko i solidarnie mi towarzyszył.

Tak więc – jak widać – w swym szacunku do bakelitu nie jestem osamotniony i mam wsparcie autorytetu międzynarodowego, autora dzieł takich, jak *The Eastern Front 1914–1917* i *Europe Transformed 1787–1919*.

W 1953 roku bakelit w Polsce był dobrem reglamentowanym, toteż przez dłuższy czas zachodziłem w głowę, jak stryjek Antek, człowiek kryształowej uczciwości i pryncypialności, znalazł doń dostęp. Kupiłby na boku, u prywaciarza? Wykluczone – z powodów ideowych. On, prywaciarz wbrew swej woli? Wykluczone. Przecząc swej wierze i zasadom, zakradłby się pod osłoną nocy na plac pewnej budowy i rąbnął kawałek bakelitu? Nie wykluczam. Jeśli tak, to ma to związek ze wspomnianą wyżej a nieznaną mi osobą, która wpadła na pomysł postawienia skoczni narciarskiej w Warszawie, mieście raczej nizinnym. To zaś jak nic wiąże się z kolei ze Stalinowskim Planem Przekształcenia Przyrody, który, jak wiadomo, przewidywał zalesienie pustyń, odwrócenie biegu rzek, rozpoczęcie przemysłowej hodowli bananów i ananasów w strefie wiecznej zmarzliny syberyjskiej (niewątpliwie przy pomocy siły roboczej osadzonej w łagrach) i tak dalej, i tym podobne. Sprawie nadano ogromny rozgłos, a gorliwcy w krajach demokracji ludowej, w tym także i w Pol-

sce, zaczęli wzywać do pójścia śladami Generalissimusa-Chorażego Pokoju. Ale jak? Odwrócić bieg Wisły? Po co? Zniszczyć Pustynię Błędowską, o której w podręcznikach geografii pisano z dumą i zachwytem równym zachwyтови i dumie z istnienia żubra białowieskiego, który przeżył okupację hitlerowską? Skrzyżować białowieskiego żubra z orłem bielikiem i karpim w galarecie? Iwan Miczurin, najwybitniejszy sowiecki specjalista w dziedzinie krzyżówek, zmarł, jak wieść niosła, wskutek pęknięcia pęcherza. Tak sobie nogi skrzyżował, że nie mógł ich potem rozewrzeć. Co robić w tej sytuacji? Jak uniknąć oskarżeń o niechęć do spełnienia wskazań Wielkiego Oksymorona, o dywersyjne zaniechanie, o krecią robotę? Ciekaw jestem, który z nich, cwaniaków, niezłomnych dialektyków i krętaczy, zaproponował wierne pójście śladami, to znaczy wierne – ale in effigie. Nie zdziwię się, jeśli za kilka lat jakiś historyk wygrzebie z archiwum następującą rezolucję ścisłego kierownictwa PRL-u: „...w związku ze Stalinowskim Planem Przekształcenia Przyrody zaleca się: po pierwsze, podjąć odpowiednie prace w aparacie propagandy, nauki i kultury (wykonanie i zabezpieczenie środków – minister kultury i sztuki); po drugie, zaprojektować i wykonać konstrukcje budowlane świadczące o przekształceniach środowiska przyrodniczego w m.st. Warszawie (wykonanie i zabezpieczenie środków: minister budownictwa i gospodarki komunalnej)”. Minister kultury i sztuki podrapał się w łysą głowę, zmrużył skośne niebieskie oczy i zadecydował: trzeba namalować obraz pod tytułem Stalinowski Plan Przekształcenia Przyrody, nagłośnić w prasie i radiu, nagrodzić autora wysokim honorarium, tytułem naukowym (niech będzie na przykład: profesor sztuk pięknych) i talonem na teczkę skórzaną lub niemiecki rower marki Diamant, wyjdzie znacznie taniej niż zawracanie Wisły kijem. I tak też się stało.

Parę dni temu przyjaciółka namówiła mnie na podróż do Kozłówki, do muzeum socrealizmu. Dużo tam Stalinów, Bierutów, Dzierżyńskich i marszałków Rokossowskich w brązie, gipsie i oleju, turyści kroczą pełni powagi i zadowolenia, jakie daje obcowanie ze sztuką zrozumiałą dla ludu. Już chciałem wychodzić, a tu przyjaciółka łapie mnie za rękę i prowadzi ku ścianie, na której wisi obraz Stalinowski Plan Przekształcenia Przyrody; na nim dziewczyna w uniformie Związku Młodzieży Polskiej czyta gazetę „Sztandar Młodych” z artykułem o Planie, a jej uśmiechnięci koledzy nioszą poprawki na mapę Związku Radzieckiego: tu Jenisej zmienia kierunek spływu, ówdzie zieleni się puszcza Kara-Kum, po której biegają mlekodajne tygrysyce karmione koksagizem o smaku kawioru. W sumie, w ogólnym rozrachunku historycznym, po czterdziestu latach rzecz się bilansuje, skoro to mnie – ostatniemu redaktorowi naczelnemu – przypadła rola likwidatora gazety „Sztandar Młodych”.

Na wieść o pomysle ministra kultury wysocy urzędnicy w Ministerstwie Budownictwa wpadli w panikę. Koszty talonu na rower marki Diamant i namalowania obrazu były żadne, łysy znów się wykreślił, podczas gdy koszty zaprojektowania i wykonania konstrukcji budowlanych świadczących o przekształceniu środowiska przyrodniczego w m.st. Warszawie muszą być wysokie, budżet nie wytrzyma, co tu zrobić, żeby nie podpaść pod paragraf zaostrej się (wraz z kolejnymi postęпами socjalizmu) walki klasowej? Z tego wszystkiego minister wziął lewe zaświadczenie lekarskie (angina pectoris) i wyjechał na leczenie do Kisłowodzka (gdzie dostał prawdziwego zawału serca), wiceministrowie ruszyli w odległy teren, gdzie bagna i ostępy, na posterunku został ktoś nieznany i to on właśnie zdecydował: trzeba wybudować w Warszawie skocznnię narciarską i pokryć ją śliskimi płytkami bakelitu, a w ten sposób okaże się, że nie tylko przekształciliśmy środowisko m.st. Warszawy na wzór Zakopanego, ale też jesteśmy niezależni od opadów śnieżnych, czyli od natury w ogóle. I wybudowano skocznnię pokrytą płytkami bakelitu, które następnie zostały rozkradzione przez liczne grono radioamatorów z Warszawy i okolic. W sumie także i tu rzecz się bilansuje pozytywnie, z uwagi na detektor leżący na kołdrze.

Więc pod koniec grudnia stryjek Antek podniósł mnie, podłożył pod plecy dwie poduszki i rozkazał:

– Otwórz oczy.

– Nie.

– Jest ciemno – powiedział Antek. – Otwórz, proszę.

Uniosłem powieki. Na kołdrze leżała bakelitowa deseczka z żarzącą się lampą w metalowej obudowie i dwiema słuchawkami.

– Obiecałem – powiedział Antek. – Obiecałem i dotrzymałem. Kryształek! Prawdziwi marksiści dotrzymują słowa.

– Głupoty jakieś... – obruszył się dziadek. – Ty lepiej mu pokaż, co z tym robić...

Antek nałożył mi słuchawki na uszy i kazał dotknąć śrubki pokrętła.

Poczekalem, aż schowa się za perkalową zasłoną.

Była bezgwiezdna, mglista noc. Z jej wnętrza – przez antenę i słuchawki – przysły do mnie szepty, szelesty i popiskiwanie maszyn, ludzkie głosy, fragmenty muzyki, melodyjny płacz jakiejś kobiety, potem zapadła cisza i usłyszałem przestrzeń. Przestrzeń wielką, drżącą, ciepłą i przyjazną. Trwało to przez kilka chwil, i nagle jakiś mężczyzna zaśpiewał: „Cicha woda brzegi rwie...”, wesoło, ze śmiechem, więc i ja zaśmiałem się i zacząłem śpiewać, a dziadek uniósł dłonie ku bezgwiezdnemu śpiewającemu niebu w znaku podziękii, że wróciłem, być może na dłużej.

W nocy z 20 na 21 kwietnia 1997 roku Wendy próbowała zerwać ze mną stosunki towarzyskie.

Telefon zadzwonił o trzeciej w nocy, poczołgałem się w stronę słuchawki, życząc ciężkiego konania redaktorom gazet drukujących numery agencji towarzyskich („aaaaaaaabsolutnie aaaaaaaby spędzić miłe chwile z blondynką i brunetką, nieodparcie zmysłowymi studentkami teologii katolickiej, także sadomaso i masaż tybetański na miejscu i z dojazdem – dzwoń...”) i dyrektorom z Ministerstwa Łączności, którzy kupili i kazali zainstalować mylące się łącznice telefoniczne, ale miast – jak to zwykle bywa między drugą a czwartą – głosu chrapliwego, nabrzmałego żądzą lub przy najmniej zaciekawieniem, usłyszałem przenikliwy szept:

– Piękny mamy wieczór...

– Pomyłka – powiedziałem – to nie jest agencja, żadnego sadomaso, żadnych puszystych dam z pejczykiem, żadnych blondynek, żadnych brunetek, żadnych studentek teologii, to jest uczciwy dom...

– Piękny mamy wieczór – powtórzyła. – To ja, Wendy.

– Dlaczego szepczesz?

– Bo mnie boli gardło...

– A ja śpię.

– Która jest u was?

– Sześć godzin różnicy – powiedziałem stanowczo. – Przecież wiesz.

– Czyli będzie trzecia w nocy.

– Owszem, trzecia w nocy. I śpię.

– O trzeciej w nocy trzeba spać, a nie wałęsać się po mieście, hulać z dziwusami i trwonić pieniądze. Dobrze, że śpisz.

– No właśnie... – zacząłem zapadać w sen.

– Ogłosiłeś mój list?

– Jaki list?

– Wspomnienie o Sebastianie.

– Wandeczko, jest trzecia w nocy. Śpię. Porozmawiajmy później. Miałem ciężki dzień.

– Kiedy później?

– Może jutro?

– No dobrze – wyszeptala po chwili namysłu. – Niech będzie jutro. U nas jest piękny wieczór, posiedzę sobie na werandzie.

Zadzwoniła po trzech godzinach.

– U mnie już jest jutro. Właśnie minęła północ. Kiedy wydrukujesz?

– Słuchaj, naprawdę bardzo bym chciał, ale... To trzeba zmienić. Zredagować.

– Co zredagować?

– Opisy bardzo drastyczne, słowa zbyt ostre. Wydawcy są ostrożni w takich sprawach.

– Czy chcesz powiedzieć, że się boją?

– Trochę tak – powiedziałem. – Obawiają się. Piszesz o osobach ogólnie szanowanych.

– Sebastiana nikt nie szanował – zaprotestowała.

– Napisałaś, że generał M. był złodziejem, a profesorowa K. suką.

– No i co?

– Za to nie mogę wziąć odpowiedzialności. O generale u nas mówią, że jest niezłomnym patriotą. A znowu profesorowa...

– Znasz ją?

– Nie o to chodzi!

– Bo ja znam! I jego, i ją. Kawał ścierwa! Kurwa i złodziej!

– Ale zrozum...

– Przecież życie w wolnym kraju, prawda?

– To jest bardziej złożone, Wandeczko.

– Nie mów do mnie: Wandeczko – zasyczała. – Nie zdrabniaj.

– Dobrze, nie będę zdrabniał.

– Wszystkie polskie kuchty, które zatrudniałam, mówiły: pani Wandeczko, chlebuś, masełko, sosik i pieniążki... Dlaczego?

– Nie wiem dlaczego.

– Pieniążki, chlebuś, masełko. Dlaczego chlebuś, masełko, pieniążki i sosik na dodatek?

– Tak się mówi...

– Się... – zachichotała – się... Ja wiem. Się. Udajecie małe dzieci zawieszane u cycka! Boicie się słowa, które opisuje prawdę. Dla was wolność polega na szczebiotaniu. A jak od tego szczebiotania sytuacja staje się groźna, to zaczynacie wzniosłe bełkotać. Się. Żadnego związku z życiem. Wy nie lubicie życia. Lubicie mówić o tym, jakie powinno być, jakie byście lubili, żeby było, u cyca musi, a nie macie najmniejszego pojęcia, jakie jest! Nie chcecie wiedzieć. To was nie ciekawi. Kiedy dasz do druku?

– Nie wiem.

– To jest prawda o mnie.

– Tak. Prawda. Śpię.

– Słyszysz? O moim życiu!

– Rozumiem, ale w tej formie to niemożliwe – oświadczyłem.

– A w formie: chlebuś, sosik, Wandeczka, dupeczka?

Zapadła dłuższa chwila ciszy. Co z nią będę gadał. Grube krople deszczu zaczęły bębnić o szybę. Po parapecie przebiegł kot sąsiadów z lewej strony, wielki tłusty kastrat, morderca gołębi i kaweł, który na tle pomieszania seksualnego napastuje kotkę sąsiadów z prawej strony, a ona, choć świadoma niemożności spełnienia, akceptuje te zaloty, czyli też musi być walnięta. W świetle latarni zobaczyłem pijaka, który z zapalem obsikiwał maskę mego samochodu.

– Dzięki Ci, Matko Boża – zaczęła szeptać – że bolszewicy wywieźli mnie do łagru. Dzięki Ci, Matko Boża, że Hitler napadł na bolszewików. Dzięki Ci, że udało mi się uciec. Dzięki Ci, Matko Boża, żeś mnie wypchnęła w świat i nie pozwoliła wrócić do krainy chlebusia, masełka, Wandeczek, rozmodlonej obłudy i wiecznego smrodu...

Znam oczywiście intencje (nieprzyzwoite) i cel (naganny), ku któremu zmierzała. Wolałbym tedy powstrzymać się od jakichkolwiek cytacji. Z drugiej jednak strony akt, którego dopuściła się Wendy, nie objawi się w całej swej porażającej i zaprzecznej doniosłości bez paru detali, w szczególności zaś bez przywołania słów niejako wieńczących (lub raczej ostatecznie pogrążających) jej telefoniczny monolog. Wybieram, w rozterce i w lęku, rozwiązanie pośrednie. Większość streszczeń, a trochę zacytuję, bez brania odpowiedzialności.

Był to, mówiąc najkrócej, wielki bluzg.

Był to wielki bluzg, jakkolwiek zaczynał się podniośle. Zaczynał się mianowicie opisem poło-
nin, na których dobrodusznie ufny lud huculski wypasa owieczki i gra na fujarkach, oraz refleksją
na temat groźnego patosu Tatr i niewysłowionego dzikiego piękna muzyki góralskiej. Następnie
Wendy opisała: Lwów i Kraków, uwzględniając zasługi obu miast dla kultury narodowej oraz
światowej, Przełom Dunajca, Góry Świętokrzyskie, Centralny Okręg Przemysłowy ze Stalową
Wolą Narodu Polskiego na czele, Polesie, Podole, równiny mazowieckie, sierpniowy odpust w My-
szyńcu, Warmię i Mazury, Wielkopolskę i jej pracowitych mieszkańców, zawędrowała wreszcie na
koniec Helu, zahaczając o Gdańsk i Gdynię. W drugiej części swego monologu Wendy uświado-
miła mi, że wywodzi się z rodu, który wydał kilkunastu senatorów Rzeczypospolitej, co najmniej
trzech hetmanów, jednego Wielkiego Koniuszego, jednego kardynała, sześciu biskupów, genera-
łów z siedmiu, bohaterskich powstańców-zesłańców całą rotę. W trzeciej części Wendy skoncen-
trowała się na historii politycznej naszego regionu, od odsieczy wiedeńskiej, przez rozbiory, legio-
ny, powstania, dwudziestolecie międzywojenne, drugą wojnę światową, pięćdziesięciolecie powo-
jenne, aż po dzień dzisiejszy, rzucając na to tło doświadczenia własne (aresztowanie przez bolsze-
wików w 1940 roku, okrutne śledztwo, łagier, uwolnienie, wyjście z ZSRR w korpusie generała
Andersa, pobyt w Persji i Palestynie, przyjazd do Polski w 1945 roku, aresztowanie przez UB,
okrutne śledztwo, ucieczka z więzienia, przedarcie się na Zachód, czterech mężów, w tym jeden
francuski arystokrata i jeden biały anglosaski protestant), po czym nabrała powietrza i powiedziała:
– I wiesz, co ja z tym wszystkim robię?

– Co takiego? – starałem się być uprzejmy. – Co takiego robisz?

– Ja na to wszystko chuj kładę...

– Co robisz?

– Ja na to wszystko chuj kładę, chociaż go nie mam – zasyczała Wendy.

Oślupiałem.

– Słyszysz? – jej szept wzbudził we mnie przerażenie.

Nie takim głupi! O nie, nie takim głupi, żeby się przyznać, że słyszałem. Rzecz jasna, nie sły-
szałem. Dla jej dobra nie słyszałem! Starość trzeba darzyć szacunkiem. Ogłuchłem.

– Halo, halo, nie słyszę, coś nam przerywa... halo, halo...

– Zawsze uważałam, że ci czegoś brakuje – wyszeptala. – Teraz już wiem... Nie umiesz współ-
czuć.

I odłożyła słuchawkę.

21 kwietnia wypadła w poniedziałek. Późnym popołudniem zatelefonowałem do Bostonu. Ka-
merdyner oświadczył, że pani nie ma w domu. Dzwoniłem w środę, piątek i jeszcze ze dwa razy w
maju. Za każdym razem kamerdyner odprawiał mnie grzecznie, ale stanowczo. Zaproponowałem,
by zapisał moje nazwisko i numer telefonu. Oświadczył, że w razie potrzeby pani połączy się ze
mną, choć on – mówiąc szczerze – wątpi, by w najbliższym czasie było to prawdopodobne. Trud-
no. Umiem współczuć, ale pod pewnymi warunkami. Umiem współczuć, kiedy obiekt współczucia
daje mi sposobność i nie obraża, ani osobiście – słowem brudnym, ani za pośrednictwem kamerdy-
nera – słowem zimnym i wyniosłym.

Widocznie Wendy pojęła jednak swój błąd, bo w połowie sierpnia do moich drzwi zastukał
mężczyzna śniady, niepospolicie elegancki, promieniujący wykwintną łysiną, jedwabisty, ozdobny
i półprzytomny. Alfred L. Wrinkle. Wyglądał jak perski książę z ilustracji do Baśni z tysiąca i jed-
nej nocy lub jak hrabia Monte Christo w chwilę po zażyciu ulubionej leguminy z konopi indyjskich
z odrobiną szałwii z miodem dla urozmaicenia. W lewej dłoni miał kopertę, w prawej butelkę li-
czącego ćwierć wieku napoju alkoholowego znanej marki szkockiej, na twarzy ozdobionej wąsi-
kiem a la Adolphe Menjou umiarkowanie szczery uśmiech. Alfred L. Wrinkle, doradca prawny
Wendy, przejazdem w Warszawie (ważne interesy prowadzą go w stronę pól naftowych na Morzu
Kaspijskim) chciał mi przekazać list, skromny podarek oraz zamienić parę słów na temat swojej klientki.

Postawiłem butelkę na stole i pochylając się w uprzejmym półukłonie, oświadczyłem, że pana nie ma w domu, ważne zajęcia zawodowe i osobiste sprawiły, iż powróci do Warszawy dopiero w przyszłym tygodniu. Alfred L. Wrinkle poprosił o przekazanie mi pozdrowień.

– Tak, proszę pana – powiedziałem z godnością.

– Pozdrowień serdecznych – dodał Alfred L. Wrinkle i zapachniał najszlachetniejszą odmianą haszyszu, zwaną Jutrzenka Nad Brzegiem Oceanu.

– Wedle pańskiego życzenia – powiedziałem z jeszcze większą godnością, zamknąłem za nim drzwi i czym prędzej otworzyłem zarówno kopertę, jak i butelkę, ponieważ jestem przeciwnikiem szerzącej się w świecie degradacji narkotycznej.

„Mój drogi, mam nadzieję, że mój doradca prawny (bardzo to przenikliwy człowiek, więc raczej na niego uważaj) opowiedział Ci o moim stanie – pisała Wandeczka literami czytelnymi, eleganckimi, pochylonymi tak, jak uczono na lekcjach kaligrafii siedemdziesiąt lat temu. – Rozumiesz chyba, że w tej sytuacji powinnam uzupełnić moje wspomnienia. Wylądowałam w Paryżu pod koniec września 1949 roku. Percival Roger de S., mój ówczesny mąż, pracował w Waszyngtonie na stanowisku, które dawało mu swobodny dostęp do samolotów wojskowych kursujących między Stanami a Francją, mnie zaś – możliwość ograniczenia kontaktów z celnikami. Dolar stał mocno, w Ameryce można było zaobserwować wzrost popytu na towary luksusowe, takie jak dzieła sztuki, biżuteria i kawior. Od października 1947 roku odbyłam kilkanaście lotów, interes kwitł, ale 22 września 1949 roku nagle i bez żadnego uprzedzenia Percival zagroził mi rozwodem...”

Nie, nie będę dalej cytował tych słów plugawych. Percival zagroził jej rozwodem, jeśli natychmiast nie przestanie zajmować się przemytem dzieł sztuki, biżuterii i kawioru, jeśli natychmiast nie przestanie przyprawiać mu rogów i jeśli natychmiast nie obdarzy go potomkiem płci męskiej. Wendy poczuła się dotknięta, gdyż – wedle jej słów – Percival powstrzymywał się do tej pory od poważniejszych wysiłków związanych z potencjalnym ojcostwem, natomiast co do przemytu, to w każdej transakcji miał swój udział na poziomie czterdziestu procent. Poprosiła o uczciwe wyjaśnienia. Po długim namyśle kazał jej przysiąc, że zachowa sprawę w tajemnicy, i poinformował o rozmowie z kolegą z CIA. Kolega ów twierdził, że parę dni temu samoloty wywiadowcze przelatujące nad Alaską wykryły w powietrzu skażenie radioaktywne. Z tego można było wysnuć wnioski, że Rosjanie mają bombę atomową, a nawet jeśli nie, to ją będą mieli w najbliższym czasie i ku ogólnemu zdziwieniu. Należy się spodziewać, że w związku z tym Biały Dom napnie muskuły i ogłosi alarm. Wpływ alarmu na stan sowieckich możliwości wojennych będzie żaden, ale że przecież trzeba się czymś wykazać, to Amerykanie z pewnością wzmocnią kontrolę granicy, korespondencji i rozmów telefonicznych, szczególnie w odniesieniu do obcokrajowców, więc koniec z przemytem. Wendy zarzuciła Percivalowi skłonność do histerycznego fantazjowania tak w sprawach prywatnych, jak i politycznych. Owszem, chętnie pozwala się zapraszać na wystawne obiady i kolacje przez rozmaitych mężczyzn, wszakże z przyczyn natury gastronomicznej, nie zaś erotycznej. Na dowód przypomniawszy, że nie dalej jak przedwczoraj spędziła wieczór z tym samym przyjacielem z CIA, nie mogąc zaś dojeść ogromnego argentyńskiego steku, przyniosła jego znaczną część do domu – Percivalowi na pożarcie. Percival nie mógł zaprzeczyć. Jeśli idzie o politykę, to Wendy nie widzi istotnego związku między sowiecką bombą atomową a łaskawym pięknem poranka, ponadto tylko idiota mógł sądzić, że Rosjanie pogodzą się z amerykańskim monopolem nuklearnym. „...zapewniając o szczerej woli obdarowania go potomkiem, polecałam bez żadnych przeszkód do Francji, by zadbać o właściwe ulokowanie pieniędzy z ostatniej transakcji”. Dalej Wendy opisywała wystawną kolację z rekinami paryskiego podziemia gospodarczego, przypadkowe spotkanie z Sebastianem w jazz boîte na Saint-Germain-des-Prés, ruch jego palców przebiegających po klawiaturze fortepianu, łagodny smutek melodii, uśmiech czarnoskórego kontrabasisty, nad ranem przemieszanie jazzu z motywami mozartowskimi, jej nagły – mimo zmęczenia – wybuch radości wzbudzonej przez muzykę nocy, spacer do Hal, gdzie parząc sobie usta zupą cebulową, postanowiła pójść z Sebastianem do jego nory na szóstym piętrze na rue de Seine, nie dlatego by się jej

szczególnie podobał, ale w podzięcie za chwilę łaski, którą duszę ściśniętą nieszczęściem umie obdarować jedynie muzyka, tak napisała, tak przeczytałem i aż mi się gorąco zrobiło.

Winda dojeżdżała do czwartego piętra, potem trzeba było wspiąć się po krętych drewnianych schodach, wdychając powietrze nasycone terpentyną i chlorem. Nora dzieliła się na mały pokój z niewielkim balkonem i kuchnią. Na żelaznym łóżku ze skrzypiącymi sprężynami i materacem pełnym rdzawych plam leżał drewniany bezgłowy manekin w podartej piżamie w paski. Za szafą bez drzwi stały blejtramy oplecione gęstym pasmem pajęczyny. Na stole pokrytym warstwą kurzu, między dwiema doniczkami, z których jedna była wypełniona popiołem i żółtymi niedopałkami, druga zaś kawałkami zeschniętego pieczywa, kłębiły się pędzle, szmaty, słoiki i słoiczki, butelki puste i butelki pełne, tubki z farbą, połamane ołówki, pomięte gazety. Wendy poczuła głód. Sięgnęła do doniczki po skórkę chleba, otarła ją z pleśni.

– Zostaw – powiedział Sebastian. – Ona ma wszystko policzone.

– Jestem głodna.

– Ona liczy i zapisuje.

Promienie wschodzącego słońca przesunęły się po sztalugach, na których zawisło płaczące oko. Oczy bowiem, oczy pozbawione powiek i skazane na wyschnięcie, oczy wylupione, wyklute, spływające po zakrwawionych policzkach ku ustom otwartym w niemym krzyku, były obsesją kobiety mieszkającej z Sebastianem. Malowała oczy, ponieważ – wedle jej przekonania – tylko one dadzą się uratować z ciał oznakowanych wytatuowanymi numerami. Więc oczy i numery; oczy, w których odbijają się numery ciągnące ku nieskończoności przez sinotrupią mgłę. Słońce rozjaśniło pokój i Wendy postrzegła, że piżama manekina przypomina obozowy pasiak. Sebastian objął ją ramieniem i wyprowadził do kuchni. Rozpiął przeponą koszulę i starannie powiesił na oparciu krzesła. Wendy zdjęła sukienkę. Podszedł do białego kredensu, otworzył drzwi, za którymi spoczywały równo ułożone puszkę konserw rybnych i mięsnych, kompoty, kartony papierosów i zapalek, pudełka z cukrem w kostkach, woreczki z solą i złociste plastry żelatyny. Wendy uświadomiła sobie, że w kuchni panuje sterylność, geometryczny porządek. Sebastian wyjął z kredensu papierową torbę, a z niej bułkę, którą podał Wendy. Bułka była twarda, przedwczorajsza. Włączył radio.

– Zgłodniałam – mruknęła.

Sebastian starannie wygładził zmiętą torbę, potem złożył ją wpół i ułożył na stosie opakowań pod parapetem.

– Zbierasz?

Pokiwał głową.

– Jak mam schowany kawałek chleba, to czuję, że da się przeżyć. Teraz już jest lepiej, ale trzy lata temu moja kobieta wstawiała w nocy, żeby sprawdzić, czy jej nie wyjadą skórek... A sąsiadka z naprzeciwka, zamożna, mąż był jubilerem, też wywieźli ją do Oświęcimia, wróciła i teraz w norach i brylantach krąży po śmietnikach, wybiera, magazynuje...

– Mam bogatego męża – powiedziała. – Mój mąż ma bogatych przyjaciół. Zapraszają mnie na obiady. Zamawiam podwójne dania, wpycham w siebie, żeby najeść się na zapas. Wracam do domu i zaczynam rzygać. Idę na kolację i znów zamawiam podwójne danie, i znów rzygam.

– U niej zaległy się karaluchy... To znaczy u sąsiadki – powiedział Sebastian. – U mnie jakoś nie chcą... Podobno to zły znak.

Radiowe wiadomości poranne otwierała informacja o eksplozji atomowej w ZSRR. Cytowano prezydenta Trumana, który zapewniał, że nie jest niczym zaskoczony, a nawet przeciwnie – od dawna spodziewał się wiadomości, że Sowieci mają bombę.

– To już nie ma znaczenia, prawda? – zapytał, wyłączając radio.

– Zostańmy w kuchni – powiedziała cicho i położyła dłoń na jego policzku.

Zadrżał.

– Nie bój się – wyszeptwała. – My już tak będziemy do końca.

Patrząc na poszarzałą twarz Sebastiana i jego znieruchomiałe dłonie, doszła do wniosku, że muzyka jest najłagodniejszym z danych człowiekowi sposobów oswojenia ciszy.

W ogóle wydaje się, że 23 września 1949 roku był dla Wendy dniem wniosków doniosłych, a w tym: że jej mąż Percival nie jest bynajmniej takim głupkiem, jak się to jej dotychczas wydawało, przynajmniej jeśli idzie o wiedzę dotyczącą amerykańskich służb celnych oraz wyścigu atomowego między USA i ZSRR; że z Sebastianem oraz niezliczoną rzeszą tych, co przeżyli obozy niemieckie, rosyjskie, japońskie, chorwackie, węgierskie, rumuńskie i słowackie, łączy ją obsesyjny i lękowy (bez względu na narodowość, płeć i zapatrywania polityczne) sposób przeżywania świata, który psychiatrzy jakiś czas potem określili wdzięcznym mianem Konzentrationslagersyndrom; że Christine, kobieta mieszkająca z Sebastianem, deportowana do KL Auschwitz w 1943 roku, tam poddana eksperymentom medycznym, kolekcjonerka skórek od chleba i malarka niezłe notowana przez paryskich marszandów, kocha się z wzajemnością w Robercie D. V., liczącym dwadzieścia pięć lat zamożnym obywatelu amerykańskim, byłym nawigatorze bombowca B-29, uczestniku nalotów dywanowych na Niemcy, obecnie początkującym libreciście z dostępem do kokainy, i że miłość jest napięciem, które rozjaśnia oczy i opromienia rzeczy; kiedy Christine i Robert stanęli w progu – nora Sebastiana zaczęła wypełniać się światłem ożywiającym przestrzeń, sterylna geometria ustąpiła miejsca grze cieni, w której do każdego przedmiotu, ruchu i dźwięku przywiązana jest tajemnica wiecznej gotowości i wiecznego niespełnienia; że Christine kocha także Sebastiana i budząc się w nocy, sprawdza, czy aby bije mu serce, bo gdyby przestało, to musiałaby natychmiast pójść za nim, bez wahania; że oni wszyscy się kochają i dla Wendy nie ma tu miejsca, trzeba się wynosić z zazdrością w sercu i zaciśniętymi zębami, a ponadto, że Robert D. V. (– Od czego to D? – zapytała. – Od Dante. – Bardzo poetyczne. Może szukasz Beatrice? – uśmiechnęła się złośliwie. – A ty nazywasz się Wendy, nieprawdaż? – wzruszył ramionami) jest podobny do paczki z UNRRA, tak jak i opera Montparnasse 1949, której ostatni akt obaj z Sebastianem właśnie kończyli, wszystko było podobne do paczki z UNRRA.

Rozpisała się Wendy niemożebnie, z czterdzieści stron drobnego, pochylonego pisma, ale po wypiciu połowy podarku od Alfreda L. Wrinkle odeszła mi ochota na lekturę, popadłem w rozdrażnienie, zacząłem sprzątać mieszkanie, usuwając czerstwe pieczywo i pasemka pajęczyny; list Wendy leżał na stole, rzuciłem raz jeszcze okiem na pierwsze słowa: „Mój drogi, mam nadzieję, że mój doradca prawny (bardzo to przenikliwy człowiek, więc raczej na niego uważaj) opowiedział ci o moim stanie”, z których wynikało, że Wendy znalazła się w stanie szczególnym, być może ważnym, być może zabawnym, a w każdym razie godnym opisania przez jej wykwintnego doradcę Alfreda L. Wrinkle, którego oszukańczo wygnałem – miał wysłuchać.

Mając w pamięci, że Alfred L. Wrinkle wspominał o swej podróży ku polom naftowym na szelfie Morza Kaspijskiego, zatelefonowałem na lotnisko z pytaniem o samoloty startujące w tamtym kierunku.

– Patrzę na mapę i stwierdzam, że sprawa nie jest prosta – zachichotała urzędniczka. – Powiem panu, że to jest duże morze i można do niego lecieć z rozmaitych stron. Przez Moskwę albo Kijów do Baku, przez Frankfurt, a także przez Rzym do Teheranu. Albo z Teheranu do Moskwy i Baku, albo z Moskwy do Teheranu, różnie można. A kiedy pan się wybiera?

– Nie o mnie chodzi. Kolega miał tam dzisiaj polecieć. Muszę się z nim zobaczyć, przekazać ważną wiadomość – skłamałem, nie odczuwając wstydu.

– To niech pan przekaze.

– Komu?

– Mnie – zaśmiała się urzędniczka.

– Ale to jest wiadomość poufna.

– To niech pan nie przekazuje – urzędniczka zaniosła się chichotem. – Albo niech mi pan zaufa. Jestem Halinka i można mi wierzyć. Nikomu nie powiem.

O tak, znam ten rodzaj śmiechu nieodpartego, którym wybuchają niewiasty żadne występnych przygód, nieznanymi trunków i innych używek – przed konsumpcją lub w trakcie. Kończy się to zazwyczaj niesmakami, poczuciem grzechu, smutkiem, brudem cielesnym i moralnym, które jakże często prowadzą do rozkładu rodziny. Z drugiej strony znam parę rodzin, które rozłożyły się bez tego śmiechu. Nie ma reguły.

– Cóż tak, misiu, zaniemówił? – znów zachichotała. – Zbierz siły i wal Halince prosto w ucho.

– Halinko – zacząłem ostrożnie – Halinko droga, może widziałaś mojego kolegę? Może przechodził obok? Może powiedział ci parę słów uwodzicielskich, może kusił, obiecywał wieczne szczęście, miłość i małżeństwo albo jeszcze lepiej – samą miłość?

– Świnka z ciebie, misiu. Jestem mężatką, niestety – zakrzuszyła się od śmiechu Halinka. – Ale powiedz, jak on wygląda.

– Średniego wzrostu, śniady, niepospolicie elegancki, promieniujący wykwinną łysiną, jedwabisty, ozdobny i półprzytomny.

– Jak hrabia Monte Christo?... – zapytała z przejęciem.

– Albo jak perski książę z Baśni tysiąca jednej nocy...

– I jego imię zaczyna się na A.? – wyszeptowała.

– Alfred L. Wrinkle! – wrzasnąłem.

– Rozwrzeszczał się, basior jeden, jakby nie wiedział, że międzynarodowe stowarzyszenie przewoźników lotniczych zakazuje nam udzielania informacji o pasażerach.

– Halinka, ja zapłacę.

– Podszedł do mnie, na literę A, śniady, niepospolicie elegancki, jedwabisty i ozdobny, z małą fajeczką, z której unosił się czarowny dymek, pytał o wieczne szczęście i miłość, dał pyknąć parę razy i tak to we mnie zaczęło zapadać, ten dym i oczy bez dna, i niepospolita elegancja, że w końcu uwierzyłam. Mnie się też coś od życia należy. Nie chcę pieniędzy! Chcę wzruszeń, intelektu i delikatności uczuć.

– Ale co mam zrobić?

– Przyjedź, misiu, do Halinki, czekam, może się jakoś ułożymy – zachichotała pożegnalnie Halinka i odłożyła słuchawkę.

Nie chcąc wkraczać w spór o to, której ze szkół należałoby przyznać słusność: tej, co twierdzi, że Bóg nieskończenie dobry bytuje daleko, „w ostatecznym rozrachunku”, a świat dostępny naszej inteligencji i zmysłom jest dziełem złośliwego demiurga i eonów lub – jak chce Basilides – skutkiem przypadkowego zmieszania Boskiej spermy z pierwotnym chaosem, co w obu przypadkach nieodwołalnie nasycy materię (a więc i nasz gatunek) pożądaniem zła i na zło skazuje; czy też szkole innej, która ogłasza, że Bóg doskonały, nieskończenie dobry i wszechmocny – jak głosi św. Paweł – „poddaje wszystkich nieposłuszeństwu, aby wszystkim okazać swe miłosierdzie”, więc nie chcąc wkraczać w spór, czuję się jednak w obowiązku uroczyście zaświadczyć, że tak czy inaczej wszechświatem rządzi prawo moralnej równowagi. Głupota ugnie się w końcu przed mądrością, czyn podły nie ujdzie kary, nie twierdzą, że od razu, ale na wszystko przyjdzie czas, czego przykładem jest dalszy ciąg wydarzeń związanych z Alfredem L. Wrinkle, którego wprowadziłem w błąd, na moje pohańbienie.

– Przyjedź, misiu, do Halinki, czekam, może się jakoś ułożymy – zachichotała pożegnalnie Halinka i odłożyła słuchawkę.

Kilka minut później wsiadłem do taksówki i poprosiłem kierowcę o pośpiech. Pogładził się po pomarszczonej łysinie i włączył stacyjkę, wywołując metaliczny skowyt zapłonu.

– Gównu jakieś robią – powiedział niskim, ponurym głosem. – Zapłon do niczego, gaźnik do niczego, wystarczy mały deszczyk i cała elektryka siada, gabłota ledwie się rusza, gównu jakieś, mówię...

W tym momencie na niebie pojawiały się czarne chmury, huknął piorun i na szybę samochodu opadły ciężkie krople letniej burzy. Silnik zgasł przy najbliższym skrzyżowaniu. Przy następnym roztopiła się część bezpieczników. Na wiadukcie pękł klocek hamulca w prawym kole.

– Kiedyś miałem piękne włosy – zadudnił taksówkarz i znów pogłaskał się po łysinie. – A teraz ani jednego.

Pokiwałem głową ze współczuciem.

– Pan też siwy jakiś, widzę... – ciągnął. – Ale łysym nie jest łatwo, o nie!

Milczałem.

– Pewnie pan teraz myśli, że ja zawsze takimi gratami jeździłem. Nie zawsze. Przed wojną, panie, hispano-suizy i packardy, w ambasadzie francuskiej byłem za szofera, „Jean” do mnie mówili. Wysokie buty, skórzana czapka, obowiązkowo muszka, elegancki byłem...

Deszcz się nasilił. Szare strugi bębniły o dach samochodu.

– ...młody, elegancki, owłosiony. Na wiosnę trzydziestego dziewiątego roku mówią mi, Jean, jedź na dworzec, odbierzesz stamtąd księżniczkę algierską z ważnego plemienia, bo wtedy Algieria należała do Francji, tylko wstydu nam nie zrób, bien sur, czeszę się, brylantynę nakładam i jadę, wysiada księżniczka z wagonu, wysoka, włosy jasne, oczy niebieskie, z dużym cycem, nie, nie za dużym, taki raczej był średni, wołam tragarza, idziemy do samochodu, zrywam czapkę z głowy, otwieram drzwi, ona uśmiecha się i mówi słodziutko erci, mnie jakby piorun strzelił, ale siadam za kierownicą, ruszamy, i tak słowo do słowa, w końcu nie wytrzymałem, Jean jestem, księżniczko pięknooka, i nigdy cię nie zapomnę, a ona na to, Jean, jak masz na drugie, Kazik, a więc Jean-Casimir, ja ciebie też nie zapomnę, albo lepiej bądź mi najbliższym przyjacielem, jedź ze mną do Algierii, do mojego pałacu, porzuć Polskę, tutaj będzie jak nic wojna, okupacja, Oświęcim i powstanie warszawskie, a na koniec przyjdą Ruskie i aturellement brak części zamiennych do samochodów, a u nas spokój, dostatek, pomarańcze tańsze od kartofli, wielbłądy i słonie, jednym słowem, w pustyni i w puszczy, Jean-Casimir kochany, pocałuj mnie teraz namiętnie i nie wahaj się z wyborem...

Za szybą zamajaczyły we mgle kontury budynku lotniska.

– ...nie wahaj się, Jean-Casimir, ani chwili, jedź ze mną... Takie zaproszenie złożyła mi z serca. Coup de foudre, vous comprenez monsieur, oui, coup de foudre. A ja co? Ja, panie, idiota-patriota, zostałem na miejscu, i była wojna, i okupacja, i Oświęcim, i powstanie warszawskie, i na koniec Ruskie przyszli, a ja tym głównym jeźdźcą, i co pan na to? No, co pan na to?

– Ja już to słyszałem.

– Co pan słyszał?

– Kilka razy słyszałem. Od taksówkarzy. I znam zakończenie – powiedziałem stanowczo. – Znam pointę!

– Mianowicie?

– Że baby to świny – zasyczałem z nienawiścią. – Pan powie, że baby to świny, a ja powinienem się zaśmiać.

Taksówkarz wcisnął hamulec, wyłączył silnik, zgasił światła.

– Wynocha! – wrzasnął. – Wont z mojej gabloty, bydlaku!

I wypchnął mnie z samochodu.

Deszcz nie ustawał, więc do stoiska informacyjnego na lotnisku doszedłem całkowicie przemochny.

Za kontuarem siedziała młoda, szczupła blondynka o błękitnych oczach i namiętnych wargach. Otarłem twarz, uśmiechnąłem się:

– Halinka?

– Słucham pana – miała ciepły, lekko schrypnięty głos.

– Ja do Halinki.

– Nie rozumiem. – Przyjrzała mi się uważnie.

– Umówiłem się z Halinką.

– Halinka wyszła.
– Niemożliwie.
– Wyszła. Pięć minut temu. Powiedziała, że nagle wychodzi, i nagle wyszła. Proszę mi nie przeszkadzać.
– Jestem misio. Halinka powiedziała, żebym przyjechał.
– Misio? – zaciekała się.
– Misio.
– Twierdzą, że wątpię... – powiedziała po chwili namysłu. – Pan nie jest misio. Pan się napił i szuka przygody. – Jej twarz wykrzywił złośliwy grymas. – Halinka czekała na misia i z nim wyszła. Wysoki, barczysty, przystojny, włosy bez siwizny i miał parasol.
– To nie był misio!
– Ma pan rację – w jej oczach pojawiły się łzy, pochylila głowę, by je ukryć. – To nie misio. Ja go znam. Znałam. Pracuje w dziale głównego mechanika.
– To ja jestem misio! – zawołałem w rozpaczy. – Słowo honoru!
– Widać o jednego misia za dużo na tym świecie. A teraz już proszę odejść...
Nachyliła się nad mikrofonem i głosem ciepłym, nieco schrypniętym, po polsku oraz po angielsku wezwała spóźnionego pasażera pana Alfreda L. Wrinkle do zajęcia należnego mu miejsca w samolocie.
– Nie wybaczę... – wycodziłem przez zęby, zaciskające się w paroksyzmie wściekłości.
– Proszę, niech mu pan nie robi krzywdy... Misio, nie misio, każdy chce kochać – szepnęła, potykając łzy.

Pobiegnę w kierunku oszklonych boksów Straży Granicznej, przepychając się przez tłum podróżnych. Zatrzymał mnie przenikliwy gwizd. Uniosłem oczy. Na galerijce wiodącej ku wejściu do samolotu stał średniego wzrostu, śniady, niepospolicie elegancki, jedwabisty, ozdobny Alfred L. Wrinkle. Wysunął przed siebie ramię, wskazał na mnie wystudiowanym gestem kapłana, oskarżyciela lub wieszczka, na lotnisku zapadła śmiertelna cisza oczekiwania, a on, używając środkowego wyprostowanego palca prawej dłoni, potraktował mnie gestem o charakterze obelżywym i poniżającym, na oczach setek mężczyzn, kobiet i dzieci, przyglądających się temu wydarzeniu najpierw z uwagą, a następnie z rozbawieniem.

Znów kamerdyner Wendy odprawił mnie z kwitkiem, pani nie ma w domu, zaszemrał w słuchawce, nie wiem, kiedy wróci, owszem, przekażę, zawsze przekazuję, do usłyszenia, więc sięgnąłem po list oraz po szklanę i podczas gdy moje prawe oko patrzyło w żółty płyn, lewe zatrzymało się na fragmencie, w którym Wendy porównywała Roberta Dantego V. i operę Montparnasse 1949 jego współautorstwa (libretto) do paczki z UNRRA w wyraźnie pejoratywnym kontekście. Miałyby coś przeciwko United Nations Relief and Rehabilitation Administration, organizacji utworzonej w USA w 1943 roku dla niesienia pomocy ekonomicznej ludności krajów zniszczonych przez drugą wojnę światową? Ponieważ od takiej zabawy oczami można dostać zeza, szybko wychyliłem szklanę, napełniłem ponownie i pogrążyłem się w namyśle.

Miałyby coś Wendy przeciwko sfinansowanym przez UNRRA fabrykom leków, szpitalom, sierocińcom i jadłodajniom? Przeciwko poręcznym, niebieskim metalowym flaszeczkom z 4,4-dichlorodifenylotrichloroetanem? A co by zrobiła bez 4,4-dichlorodifenylotrichloroetanu? Mogłaby mieć wszawicę, która powoduje, że człowiek higieniczny pół dnia spędza na iskaniu się, a drugie pół na unikaniu kontaktów z człowiekiem mniej higienicznym, taki zaś stan rzeczy niechybnie wpędziłby ją w szaleństwo, mogłaby też bez bezlitośnie mordującego wszy 4,4-dichlorodifenylotrichloroetanu zachorować na tyfus.

Miałyby coś Wendy przeciwko skondensowanemu mleku, jajkom w proszku, wołowinie konserwowej, kartonom papierosów Chesterfield i Lucky Strike, herbacie w metalowych pudełkach, kostkom cukru opakowanym w nieprzemakalny karton, kompotowi z wielkich jak słońce, złoci-

stych jak słońce kalifornijskich brzoskwiń, którymi UNRRA uratowała od głodu, a może i od śmierci setki tysięcy ludzi?

Nie, nie miała nic przeciwko skondensowanemu mleku. W złość wprawiały ją napisy i rysunki na opakowaniach, wyjaśniające, że puszkę należy otworzyć w ściśle określonym miejscu (open here), że nieprzemakalny karton jest naprawdę nieprzemakalny, toteż nie należy go niszczyć przed spożyciem zawartości, że wołowinę konserwową można spożywać zarówno na zimno, jak i na gorąco, w całości lub pokrojoną (nożem). Innymi słowy, w złość wprawiał ją proponowany przez UNRRA sposób istnienia na tym padole łez: prosty, łatwy (otwórz, zmieszaj, podgrzej, pokrój lub nie, zjedz), skrajnie funkcjonalny, pozbawiony poczucia tajemnicy. W złość wprawiał ją Robert Dante V. Dlaczego? Ponieważ poruszał się między metalowymi puszkami i nieprzemakalnymi kartonami tak, jakby to było jego środowisko naturalne, bez zdziwienia. Najpierw czytał instrukcję. Następnie otwierał, mieszał, podgrzewał i zjadał zgodnie z instrukcją, uśmiechnięty i bezproblemowy. W dodatku ośmielał się od czasu do czasu wygłaszać sentencje w rodzaju: – Jeśli w domu jest brudno, to trzeba posprzątać, no problem. – Więcej, niekiedy dokładnie sprzątał norę Sebastiana i Christine, powtarzając – ku ich konfuzji – to swoje no problem at all i wymiatając pajęczyny oraz co bardziej spleśniałe kawałki pieczywa.

Zdaniem Wendy takimi też cechami – łatwością, prostaczym funkcjonalizmem, nieobecnością refleksji ontologicznej i eschatologicznej – charakteryzowało się libretto opery Montparnasse 1949, które w streszczeniu idzie następująco: Do Brestu przybywa amerykański krążownik. Marynarze dostają przepustki i jadą do Paryża na jedną noc. Jest między nimi porucznik Will, który przed wstąpieniem do marynarki studiował historię i teraz ma zamiar obejrzeć paryskie zabytki. Tymczasem Jeanne, studentka Sorbony, zdaje egzamin z historii i biegnie do klubu jazzowego, gdzie dorabia po nocach jako wokalistka. Przypadek sprawia, że Will wchodzi do tego lokalu. Jest zauroczony śpiewem Jeanne i jej urodą. Ją też zaciekawia amerykański marynarz. W drugim akcie Will i Jeanne spacerują w nocy po Paryżu. Jeanne opowiada mu o tajemnicach miasta i zabytkach oraz o swoim smutnym życiu w czasie okupacji niemieckiej. Will odwzajemnia się jej opowieścią o swym życiu w Ameryce, także niełatwym. Związuje się między nimi głębsze uczucie. Postanawiają spędzić resztę nocy w hotelu. W trzecim akcie, który rozgrywa się w pokoju hotelowym, Will opowiada Jeanne o swych morskich przygodach, między innymi o tym, że w czasie bitwy na Pacyfiku jego okręt poszedł na dno. Fale wyrzuciły Willa na brzegu wyspy wiecznej szczęśliwości. Śpiewa arię o tej wyspie i zapewnia, że wie, jak do niej dopłynąć. Proponuje wspólną podróż. Zaspiają. Epilog. Porucznik Will budzi się. Jest sam w pokoju. Znajduje list, w którym Jeanne żegna się z nim. Píše (to znaczy śpiewa), że postanowiła zrezygnować z podróży na cudowną wyspę. Nie idzie bowiem o to, żeby sen się spełnił, ale żeby na zawsze pozostał pięknym marzeniem, do którego można wracać przez całe życie. Will pędzi na pokład krążownika, który ma zaraz odpłynąć. Koniec kiczowatego baracha.

Wendy oczywiście wie, że każde streszczenie jest w jakiś sposób krzywdzące dla dzieła streszczanego i dla jego twórcy. Weźmy dla przykładu sławną historię pewnego wrażliwego i żądnego wiedzy młodzieńca-pólsieroty, który dowiedziawszy się, że jego matka, ciepła wdowa, wychodzi za mąż za szwagra (czyli brata świętej pamięci małżonka), popadł we frustrację, a następnie w agresję, zabił parę osób, popchnął do samobójstwa niewinną narzeczoną, naraził na szwank dobre imię rodziny i jej interesy, aż wreszcie umarł; weźmy więc, dla przykładu – i co z tego wynika? Zdecydowanie lepiej cytować niż streszczać, ale kto ma tyle czasu i cierpliwości, żeby uczyć się pięciu aktów tragedii na pamięć?

Niemniej wszakże człowiek roztropny winien posiadać na podorędziu cytat przydatny w danej sytuacji – pomyślałem, przywołując cytat przydatny w danej sytuacji, z Williama Szekspira: „Ha, pójźże tu, flaszol!”

I przyszła, na miły Bóg, do kroćset, do stu par dukatów, dwustu beczek prochu i kartaczy, per Bacco!

I przyszła aż do szczęśliwego jej opróżnienia, po którym musiałem pogрузić się na chwilę w refleksji egzystencjalnej. Cóż bowiem jest szczęście? I kto mianowicie osiągnął stan szczęścia wskutek opróżnienia butelki? Butelka? Czy ja? Piłem niegdyś z pewnym etnologiem, który twierdził, że istnieją plemiona (na przykład Kurpie), w których po opróżnieniu (wypiciu) butelki obowiązkowo trzeba ją położyć na stole, nie postawić, ale położyć, poziomo położyć, albowiem jeśli jest pusta, to znaczy, że chora, a chory musi leżeć. Że choroba ze szczęściem nie idą w parze, winniśmy tedy przyjąć, że o szczęściu butelki można mówić jedynie w przypadku butelki pełnej. Z drugiej jednak strony butelka została powołana do istnienia po to, by ją opróżnić, skazać na chorobę, anihilację. Zatem w przeznaczeniu butelki, w przedustawnym wyroku na nią wydanym zawarty jest tragizm w czystej, antycznej postaci. A ja? Cóż jest szczęście? Jeśli idzie o mnie, to starałem się zrozumieć, co Wendy napisała i o co jej szło.

Wedle mojego rozeznania Wendy miała na myśli to, że Robert Dante V., nawigator bombowca B-29, autor libretta opery jazzowej, kochanek Christine (malarki i ofiary nazizmu) i najserdeczniejszy przyjaciel Sebastiana L. (kompozytora i ofiary komunizmu) był reprezentantem utylitarystycznej, skażonej skrajnym konsumpcjonizmem cywilizacji amerykańskiej i właściwych jej cech:

po pierwsze – optymizmu wynikającego z prostoty zastosowań techniki,

po wtóre – niezdolności do określenia własnego duchowego zadania, która to niezdolność wynika z braku metafizycznego celu.

W tym świetle Robert Dante V. uwikłany w stosunki z Christine i Sebastianem okazywał się kimś w rodzaju Prostaczka, który z jednej strony promieniuje naturalną dobrocią i jasnością, wesoło synkopuje i stepuje, z drugiej zaś odkrywa (ku swemu przestachowi, ale i nie bez perwersyjnej satysfakcji) antynomiczność przestrzeni Kultury. Z kolei Christine i Sebastian mieli – wedle Wendy – reprezentować głębinowe dziedzictwo europejskie, z jego zdecydowaniem doświadczania prawdy granicznej, to znaczy prawdy śmierci, rozpaczą i łaknieniem niemożliwego powrotu do oczyszczających źródeł. Robert Dante V. zaoferował więc Christine i Sebastianowi poczucie odnowy przez techniczne i synkopalne uproszczenie świata (nie ma żadnych problemów, są tylko rozwiązania), podczas gdy Christine i Sebastian wprowadzili go i wtajemniczyli w złożoność trwania duchowości europejskiej (nie ma żadnych rozwiązań, są same problemy).

Spoglądając na łatwość, z jaką Wendy przeciwstawia Kulturę (wyższą) – Cywilizacji (niższej), z ironią pomyślałem o bostońskiej rezydencji, kamerdynerach, lokajach, fotokomórkach, lobsterach i komputerach. Przyznam jednak, że zwilgotniały mi oczy, bo Wendy, powołując się na słowa mądrych Żydów o tym, że pamięć jest tajemnicą odkupienia, wzruszyła mnie przypomnieniem atmosfery panującej w norze Sebastiana, zapachu lucky strike'ów, wyglądu wielkich brzoskwiń z Kalifornii i smaku mleka skondensowanego w odmianie słodzonej i odmianie niesłodzonej. Stara idiotka, jakie odkupienie? Stara idiotka, jacy mądrzy Żydzi? Moja siostra, kiedy dowiedziałem się od lekarza, że nie ma już żadnych szans i że idzie tylko o zapewnienie jej komfortu łagodnego odejścia, powiedziała: – Chciałabym kompot z kalifornijskich brzoskwiń – bo w pierwszej paczce z UNRRA w 1945 roku była puszka z brzoskwiniami i małej dziewczynce, która przez pięć lat uciekała w głodzie i przerażeniu przed śmiercią, te złote, mięsiste, przesłodzone kule zaczęły kojarzyć się z ratunkiem, mocno jej utkwiły w pamięci, po czterdziestu pięciu latach opisała mi ich wygląd i smak; w sklepach były tylko greckie, jeden z amerykańskich przyjaciół (no problem at all) przywiózł te prawdziwe, kalifornijskie, ale po chemoterapii organizmem wstrząsają mdłości, nie daje się nic przełknąć – zwymiotowała na moje dłonie. Więc jaka mądrość, jakie odkupienie, jeśli człowiek umiera w męczarniach, jakie odkupienie?

Może ona i stara idiotka, ale inteligentna też, bo odwołała. Nie wszystko, ale większość, lub inaczej: z przyczyn, o których napiszę dalej, postanowiła uzupełnić, nadać wymiar i barwę. Na następnych czterdziestu stronach, drobnym, pochyłym pismem. Wiedziałem, że tak się stanie. Sprawa

przecucia. Sygnały, drobne, z pozoru przypadkowe, które z czasem przeobrażają się w rozpędzoną lawinę konieczności.

Na przykład pogoda. Żeby w listopadzie miast czarnych, nieruchomych chmur nad miastem zastylł słup gorącego, wilgotnego powietrza, i to akurat w chwili, gdy wszystkie stacje radiowe i telewizyjne zapowiadają jednym głosem opady deszczu, w godzinach popołudniowych deszczu ze śniegiem, gołoledź, mgłę i zimowe ślizgawice?

Wiedza prognostyczna stoi na dwóch filarach: nauce i tradycji. Nauka wyposażona w stacje meteorologiczne, komputery wielkiej mocy i wymyślne systemy równań nieliniowych odkryła po długich badaniach, że chaos zjawisk pogodowych daje się opisać naukowo, konkretnie, w postaci czytelnej i rozumnej, jako godne zainteresowania zjawisko z dziedziny chaosu zjawisk pogodowych. Także i tradycja przynosi bogate, przekazywane z pokolenia na pokolenie, sięgające mroków niewiadomego początku informacje dotyczące poddających się algorytmizacji prawidłowości meteorologicznych. Mój były szwagier miał przodka, majątnego ziemianina, marszałka powiatowego szlachty, który przez całe życie prowadził dziennik z następującymi zapisami:

„25 lipca 1647

Rano polewka piwna zaprawiana węgrzynem, do tego kapłon w tokaju, a żem był spragniony, to jeszcze ździebko okowity.

Dziewki folwarczne snują się leniwie, bo niebo bez chmur i gorąc niemożliwy.

6 lipca 1647

Rano polewka piwna zaprawiana tokajem, do tego pularda w węgrzynie, a żem był spragniony, to jeszcze ździebko gdańskiej goldwasserki.

Chmury na niebie czarne, skłębione. Będzie padać. Dziewki dalej snują się jak muchy jakieś.

27 lipca 1647

Rano polewka piwna, a że zbrakło tokaju i węgrzyna, z kuścyczkiem siwuchy od Mośka żyda przekłętogo. Padało całą noc.

Na święty Antoni

Chmura chmurę goni.

28 lipca 1647

Nie padało. Tak sobie.

29 lipca 1647

Padło, ale trochę. Węgrzyn, tokaj, piwo, okowita, przy tym żur zawieszisty.

30 lipca 1647

Padło. We mnie suchość wielka.

O piękna, która przyjdiesz, by mnie wziąć do siebie,

Nie stawię oporu, choć masz dłoń kościstą...

31 lipca 1647

Niech pada. Albo niech nie pada. Wszystko jedno. Tak sobie.

1 sierpnia 1647

Rano polewka piwna zaprawiana węgrzynem, do tego kapłon w tokaju, a żem był spragniony, to jeszcze ździebko okowity.

Dziewki zwawe ponad miarę, bo niebo bez chmur i gorąc niemożliwy”.

Dzień po dniu, przez trzydzieści lat albo i dłużej, wychodził na ganek, przeciągał się, dziewczkę klepnął po zadku, za cyca złapał, spojrzął w niebo i miał temat do zapisania w diariuszu.

Mój były szwagier wykopał ten dziennik z ruin swej posiadłości rodowej na Litwie, otrzepał z kurzu i sprzedał Państwowemu Instytutowi Meteorologii za duże pieniądze, a oni powołali specjalny zespół, żeby zrekonstruować bezcenne z naukowego punktu widzenia obserwacje pogodowe. Naprodukowano tabel i wykresów, także parę prac doktorskich, a nikt nie zauważył, że już w trzecim roku prowadzenia dziennika przodek mego szwagra w jakoweś pomieszczenie popadł, złe go naszło czy co? 7 czerwca wzmiankował o świętej Melanii, kiedy wiadomo, że święta Melania występuje 31 stycznia, świętemu Filomenowi da Costa y Gallegos przypisał 31 czerwca, kiedy wiadomo, że 31 czerwca nie występuje w przyrodzie i nikt nie słyszał o świętym Filomenie da Costa y Gallegos. Nie wykluczam zresztą, że on to robił celowo, z myślą o odległych potomkach i potędze tradycji.

Zacząło się więc od pogody. Od chwili gdy wszystkie stacje radiowe i telewizyjne zapowiedziały jednym głosem opady deszczu, w godzinach popołudniowych deszczu ze śniegiem, gołedź, mgłą i zimowe ślizgawice, a tymczasem nad miastem zastygł rozświetlony słup gorącego, wilgotnego powietrza, w którym drżał cienki głos sygnaturki z kaplicy za ogrodem. Wyjrzałem przez okno. Przed kaplicą stała kolumna staruszek w grubych zimowych paltach. Wszystkie miały włochate włóczkowe berety na głowach, masywne torby w lewych dłoniach, a w prawych papierowe chorągiewki z fotografią płodu poddanego aborcji. Z kaplicy wyszedł młody ksiądz z lśniącym nowością głośnikiem firmy Pevey w dłoni.

– Raz, dwa, trzy, próba mikrofonu – zawołał śpiewnym głosem. – Niech będzie pochwalony... dziewięć, osiem, siedem.

– Na wieki wieków... – odkrzyknęły żwawo staruszki.

– Działa! – ucieszył się ksiądz. – Graj i śpiwej w firmie Pevey.

– Amen – uzupełniły staruszki.

– Teraz rozwiniemy transparent – zaśpiewał ksiądz. – I naprzód marsz.

Pochód wyszedł na ulicę. Na jego czele szły dwie ośmioletnie dziewczynki w białych sukniach, białych rękawiczkach i różowych wiankach, trzymające drzewca transparentu z napisem: „Nasze «nie» – prezerwatywie!”. Za transparentem sunęła kolumna czwórkowa staruszek, a dalej karne szeregi młodzieży skautowej płci żeńskiej pod nadzorem wysokiej kobiety w zielonym kapeluszu i zielonej pelerynie, szczelnie okrywającej jej ciało aż do kostek. Przechodząc pod moim oknem, zatrzymała się na chwilę i wyjęła spod peleryny aparat fotograficzny. W szczelinie rozchylonego płaszcza-pałatki zobaczyłem nogi długie, szczupłe i kształtne, co wzbudziło moje uzasadnione podejrzenia. Nie jestem pewien, czy generał Sir Robert Stephenson Smyth Baden-Powell of Gilwell i druh Andrzej Małkowski mieli tego świadomość, przewidzieli, zaplanowali, czy też wyszło im to jakoś przypadkowo, ale stwierdzam z ręką na sercu, po długich latach obserwacji i studiów, że do skautingu żeńskiego garną się dwa (i tylko dwa) typy młodych niewiast. Typ pierwszy – mała (do 155 centymetrów), żyłasta, wysportowana, krzywonoga, ciemnowłosa, z sypiącym się czarnym puszkciem na górnej wardze, krzykliwa, biegająca i chichotliwa, po wystąpieniu z harcerstwa używa jaskrawego makijażu i nerwowo pali papierosy – oznaczam mianem Zręcznej Łasicy. Typ drugi – duża (do 190 centymetrów), jasne puszyste włosy splecione w gruby warkocz lub w dwa grube warkoczki, nogi proste, masywne, charakteryzujące się brakiem pęciny i rozległym płaskostopiem, milkliwa, sentymentalna, po wystąpieniu z harcerstwa nie używa kosmetyków, studiuje biologię lub pedagogikę specjalną, po roku przerywa studia, by nieszczęśliwie wyjść za mąż – oznaczam mianem Pogodnej Słoniczki (nawiasem mówiąc, fotografie dowodzą, że małżonkę generała barona Baden-Powella i druhnę Olgę Małkowską można przypisać zarówno do Zręcznych Łasiczek, jak i Pogodnych Słoniczek, w zależności od czasu i miejsca zrobienia zdjęcia). Otóż maszerujące pod moim oknem karne szeregi młodzieży skautowej płci żeńskiej składały się po równi, jak trzeba, ze Zręcznych Łasiczek i Pogodnych Słoniczek, podczas gdy ich długonoga przełożona ani z tego gantunku, ani z tego, ani nawet jako hybryda lub mutant nie dawała się pomyśleć, co właśnie uczyniło

mnie podejrzliwym. Po zrobieniu mi fotografii ukryła aparat pod peleryną i zaintonowała przedwojenną pieśń marszową, którą natychmiast podchwyciło sto dziewczęcych głosów:

Pani dziś jest bez koszulki,
słońce mi zdradziło to.
Widzę dwie różowe kulki,
zakamarków innych sto...

Od czoła kolumny dochodził śpiew księdza:

Nasze nie –
prezerwatywie!

– z akcentem na ostatnią sylabę, a rzecz ciekawa i dziwna, obie melodie wdzięcznie z sobą harmonizowały.

Uniósłbym oczy ku niebu w poszukiwaniu wyjaśnienia i nawet zacząłem to robić, ale po drodze zobaczyłem, że na ścianie sąsiedniego domu czerni się nowy, dopiero co namalowany sprayem napis: „Będę księdzem jak mój tato!”, a na dachu siedzi dwóch kominiarzy w czarnych kombinezonach, czarnych butach i czarnych kominiarkach. Jeden z nich trzymał kamerę wideo. Drugi – skierowany w moją stronę karabin snajperski typu Mauser 86, kaliber 7,62, z pełnym oprzyrządowaniem snajperskim na dzień i noc.

– Siemanko – usłyszałem męski głos za plecami. – Dzieńdoberek. Bązurigutentag.

Odwróciłem się zaskoczony, bo przecież wszystkie zamki w drzwiach były zaryglowane.

Przede mną stał rosły młody listonosz w czarnym kombinezonie, czarnych butach, czarnej kominiarce, z nową skórzaną torbą na listy, z której wystawała lufa pistoletu maszynowego Uzi.

– Proszę pokwitować. Przekaz na dwa złote i pięćdziesiąt trzy grosze. Także list polecony z USA, z Bostonu – podsunął mi ołówek i kartkę.

– Pan tu chyba nowy, co? – zapytałem, bo dotychczas listy i przekazy przynosiła gruba listonoszka z brodawką na nosie, bardzo z niej (brodawki) dumna.

– Nagle zastępstwo – ryknął listonosz. – Zastępuję stryjenkę na okoliczność usunięcia brodawki na nosie...

– Ale jak pan tutaj wszedł? – zapytałem, wręczając mu napiwek w wysokości dwóch złotych i dwudziestu groszy.

– Poczta zawsze z klientem! Życzę miłego popołudnia! – ryknął jeszcze raz, podziękował, stuknął obcasami, zsalutował i wyszedł sprężystym krokiem, a ja pomyślałem, że choć ów wspomniany przez Wendy wrażliwy i żądny wiedzy półsierota w sumie okazał się mało roztropny i przyniósł ogrom kłopotów swej rodzinie, to jednak miał rację, twierdząc, że są takie rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się filozofom.

A suchość była we mnie tak wielka, że ją musiał złagodzić.

Odwołała. Nie wszystko, ale większość, lub inaczej: z przyczyn, o których napiszę dalej, postanowiła uzupełnić, nadać wymiar i barwę, na następnych czterdziestu stronach, drobnym, pochyłym pismem, wyjaśniała żartobliwie i zalotnie, że kobieta zmienną jest, la donna e mobile, co jej śp. małżonek podpułkownik L-icz nieodmiennie przez dwadzieścia lat przekładał na: „Kobieta jest ruchomą!” – i znacząco mrugał lewą powieką, do ostatnich chwil życia uważał się bowiem za człowieka wielkiego dowcipu, a był tylko chłopcem dosyć wesołym, niezbyt mądrym i chyba nieszczęśliwym, kto to zresztą może wiedzieć? Ale nie o nim, lecz o sobie chciała pisać Wendy. O tym, że po ukończeniu osiemdziesięciu lat i po uświadomieniu sobie, co z tego może wynikać na

najbliższą przyszłość, człowiek staje przed wyborem: albo kultywowanie godnej starości, albo uczciwe postawienie sprawy.

Kultywowanie godnej starości jest zajęciem wymagającym wysiłków, takich jak: zasiadanie w Komitetach, Prezydiach i Fundacjach, dzielenie się wspomnieniami z Młodzieżą w celu przekazania Wzorców, udział w uroczystych Mszach, Akademiach i Zjazdach, przyjmowanie Doktoratów Honoris Causa, czemu Wendy nie byłaby przeciwna, gdyby nie to, że w znanych jej Komitetach, Prezydiach i Fundacjach zasiadają osobnicy uporczywie zajęci kultywowaniem godnej starości ze szczególnym wskazaniem na samych siebie, co wzbudza w niej chęć uczciwego postawienia sprawy, bo po ukończeniu osiemdziesięciu lat wie, że osobnicy owi ręce i twarze mają unurzane w gównie i tym się szczycą; Wendy natomiast uważa, że człowiek cywilizowany od czasu do czasu powinien obmyć ręce i twarz, a nade wszystko własną pamięć z trwałych składników naszego gatunkowego uniwersum.

W tych okolicznościach Wendy pragnie stwierdzić, że zawarte w jej poprzednim liście streszczenie libretta opery Montparnasse 1949 było tendencyjnie ironiczne. Uczciwe postawienie sprawy wymaga zatem ponownego streszczenia, które idzie następująco: Do Brestu przybywa amerykański krażownik. Marynarze dostają przepustki i jadą do Paryża na jedną noc. Jest między nimi porucznik Will, który przed wstąpieniem do marynarki studiował historię. W czasie studiów przeczytał w pisaniu wiata Marco Polo opowieść o wyspie Zipingu, na której panuje wieczne szczęście i piękno. Dowiedział się też (o czym śpiewa), że ta wyspa nigdy nie istniała. Wymyślił ją Marco Polo. Tymczasem Jeanne, studentka filologii francuskiej na Sorbonie, zdaje egzamin z langue d'oeil właśnie na przykładzie tekstu Marco Polo o wyspie Zipingu. Oczywiście jest świadoma, że wyspa Zipingu nigdy nie istniała. Po zdaniu egzaminu Jeanne biegnie do klubu jazzowego, gdzie dorabia po nocach jako wokalistka. Przypadek sprawia, że Will wchodzi do tego lokalu. Jest zauroczony śpiewem Jeanne i jej urodą. Ją też zaciekawia amerykański marynarz. W drugim akcie Will i Jeanne spacerują w nocy po Paryżu. Jeanne opowiada mu o tajemnicach miasta i zabytkach oraz o swoim smutnym życiu w czasie okupacji niemieckiej. Will odwzajemnia się jej opowieścią o swym życiu w Ameryce, także niełatwym. Zawiązuje się między nimi głębsze uczucie. Postanawiają spędzić resztę nocy w hotelu. W trzecim akcie, który rozgrywa się w pokoju hotelowym, Will opowiada Jeanne o swych morskich przygodach, między innymi o tym, że w czasie bitwy na Pacyfiku jego okręt poszedł na dno. Fale wyrzuciły Willa na brzegu Zipingu, wyspy wiecznej szczęśliwości. Śpiewa arię o tej wyspie i zapewnia, że wie, jak do niej dopłynąć. Proponuje wspólną podróż. Jeanne godzi się, choć oczywiście wie, że Will puszcza wodze fantazji. Wzajemne kłamstwo wiedzie ich ku szczęściu. Epilog. Porucznik Will budzi się. Jest sam w pokoju. Znajduje list, w którym Jeanne żegna się z nim. Píše (to znaczy śpiewa), że zawsze będzie miała w pamięci podróż na Zipingu, wyspę nieistniejącą. Nie idzie bowiem o to, żeby sen się spełnił, ale żeby pozostał pięknym marzeniem, do którego można wracać przez całe życie. Zdaniem Wendy libretto wskazywało na ogromny talent, wrażliwość i wiedzę młodego autora. Warto dodać, że był absolwentem Uniwersytetu Harvarda, tak zresztą jak i jego ojciec, dziad, pradziad i prapradziad, co każdemu winno dać do myślenia.

Wendy pragnie też stwierdzić, że z szacunkiem odnosi się do działalności UNRRA, organizacji niosącej w latach 1943–1947 pomoc ekonomiczną ludności krajów zniszczonych przez drugą wojnę światową. Ona osobiście jest wdzięczna za poręczne metalowe flaszeczki z 4,4-dichlorodifenylotrichloroetanem, dzięki któremu uchroniła się od wszawicy głowowej i łonowej, jest wdzięczna za skondensowane mleko, jajka w proszku, wołowinę konserwową, kartony papierosów Chesterfield i Lucky Strike, herbatę w metalowych pudełkach, kostki cukru opakowane w nieprzemakalny karton, kompot z kalifornijskich brzoskwiń.

Obmywając pamięć, musi jednak przyznać, że pierwszy kontakt z kompotem brzoskwińowym wprowadził ją w irytację. Zimą 1946 roku, w stołówce Czerwonego Krzyża w Görlitz, okutana w pięć chust, lepiąca się od brudu sąsiadka zwróciła się do niej z jękliwą prośbą o pomoc w otwarciu

puszki. „Niech przeczyta instrukcję”. Nie umiała czytać. „Niech popatrzy na rysunki”. Sąsiadka odetchnęła z ulgą, otworzyła puszkę i ostrożnie macając paluchem wielkie kule brzoskwiń, zapytała, czy to aby na pewno do jedzenia. „Owszem! – powiedziała Wendy i rozzłościła się. – To są brzoskwinie”. I jeszcze bardziej się rozzłościła, widząc, jak ta kobieta zapycha sobie usta słodkim mięszem. Wydało się jej bowiem czymś bolesnym i niesprawiedliwym (w głębszym sensie), że brudna, niepiśmienna chłopka, która nie ma pojęcia o istnieniu brzoskwiń i reguł przyzwoitego zachowania się przy stole, została zrównana w prawach z nią, osobą wykształconą, elegancką i dobrze wychowaną.

Wendy nigdy nie była przeciw równości szans. Jej pradziadek finansował w swoich dobrach szkoły dla włościańskich dzieci. Obie babcie były aktywistkami organizacji filantropijnych, matka w młodości sympatyzowała z socjalistami, ojciec dbał, by we dworze panowała atmosfera przyjazna, zgoda demokratyczna, łożył na nauki Wicka, syna pokojówki, który ukończył gimnazjum i w 1938 roku zaczął studia inżynierskie... Idzie o formę. Gdyby istniały dwa rodzaje puszek wypełnionych takimi samymi brzoskwiniami, jeden rodzaj dla ludzi umiejących czytać, drugi dla analfabetów, zachowana zostałaby pewna podstawowa i zarazem nadrzędna zasada porządkująca. Wendy nie chce twierdzić, że między dworem i wsią panowały stosunki idylliczne. W 1918 roku chłopstwo wdarło się do pałacu, zatłukło cepami wiernego kamerdynera, zrabowało meble i żywność, doszczętnie zdeptało rosarium, a na koniec podłożyło ogień. Z drugiej jednak strony na widok jej ojca chłop zdejmował czapkę, nieśmiało przestępował z nogi na nogę, zawsze mówił „jaśnie panie”, niekiedy brał pod kolana, często całował w rękę. Ojciec zapędzał co bardziej rozgarniętych gospodarzy na kursy rolnicze, propagował snopowiązałki i budowanie sławojek, niestrudzenie krzewił postęp. Wieś powoli bogaciła się i cywilizowała.

Wendy pamięta swój przyjazd do rodzinnego domu w lipcu 1939 roku. Ojciec czekał na nią na stacji kolejowej. Wsiedli do samochodu. Po drodze wyprzedził ich motocykl prowadzony przez Wicka, syna pokojówki. Ojciec rzucił parę ciepłych słów o karierze czekającej młodego przedsiębiorczego człowieka, potem zamyślił się i wycedził, że mimo wszystko chama trzeba trzymać mocno za mordę. We wrześniu 1939 roku chłopstwo wdarło się do pałacu, zastrzeliło wiernego kamerdynera, zrabowało meble i żywność, doszczętnie zdeptało rosarium, a na koniec podłożyło ogień. Brzoskwinię w ustach tej niepiśmiennej, brudnej, okutanej w pięć chust chłopki Wendy traktuje jako symbol brutalnej i nieuchronnej agresji amerykańskiego demokratyzmu na europejskie poczucie hierarchii. Opróżniwszy puszkę, babina rozparła się na krześle, potoczyła śmiałym wzrokiem po sali i donośnie beknęła. I jeszcze raz beknęła. Widać było, że już nigdy nie odda swego prawa do brzoskwiń z puszki, analfabetyzmu i swobodnego bekania.

W przeciwieństwie do Karla Marxa, który uważał, że wszystko zaczyna się w sferze produkcji, Wendy twierdzi, że wszystko zaczyna się w głowie. W przeciwieństwie do Karla Marxa, który uważał, że dzieje są niepowstrzymanym procesem samodoskonalenia się ludzkiego gatunku, Wendy twierdzi, że skazanemu na wieczną głupotę gatunkowi ludzkiemu zasada samodoskonalenia się jest całkowicie obca. Gdyby Marx założył, że człowiek w swej istocie gatunkowej jest idiotą, komunizm nie poniósłby klęski, ale czy zakładając coś takiego, Marx byłby zdolny do napisania Kapitału?

Weźmy Antipatrosa, którego Marx cenił za dobroć i mądrość: „Antipatros, poeta grecki z czasów Cycerona, witał wynaleziony podówczas młyn wodny do mielenia ziarna, ten pierwowzór wszelkiej maszyny produkcyjnej, jako wyzwoliciela niewolnic i zwiastuna złotego wieku:

Oszczędzajcie swych rączek,
o młynareczki, i śpijcie
Słodko! Niechaj wam kogut na próżno zwiastuje poranek!
Deo dziewcząt robotę nimfom wodnym zleciła,
Które stopy lekkimi skaczą po kołach młyna,

Osie wśród wstrząsów się wiercą i obracają się szprychy,
Z nimi ciężkie kamienie obracają się wokół.
Żyjmy, jak żyli ojcowie, cieszymy się śmiało darami,
Które bogini łaskawa bez pracy naszej nam zsyła”.

Tyle Antipatros, poeta żyjący w drugim wieku przed Chrystusem, i – zdaniem Wendy – kretyn pozbawiony naturalnych ludzkich uczuć. Człowiek przeciętnie roztropny niewątpliwie cieszył się z wynalezienia młyna wodnego, ale bez związku z nimfami. Człowiek przeciętnie roztropny wiedział, że dzięki młynowi wodnemu uzyskuje możliwość zatrudnienia niewolnic na innych stanowiskach pracy – i pomnożenia swoich przychodów. Wszystko zaczyna się w głowie, a głowa jest głupia.

Wedle Wendy rejestr ludzkich potrzeb materialnych i duchowych jest skończony i niezmienny. Człowiek lubi być syty, bezpieczny od zagrożeń (woda, ogień, powietrze, zwierzęta i inni ludzie), zaspokojony seksualnie, zdolny do płodzenia zdrowego potomstwa – i żeby sąsiadowi nie było lepiej. Wytworzony w ciągu ostatnich ośmiuset lat przez plemiona europejskie system zaspokajania tych potrzeb oparty był na ścisłym połączeniu trzech porządków. Porządek pierwszy to hierarchia władzy. Porządek drugi to hierarchia dostępu do dóbr materialnych. Porządek trzeci to hierarchia dostępu do wartości duchowych. U szczytu tego systemu lokuje się władca: suweren, najbogatszy i najcnotliwszy, poniżej: stany lub klasy społeczne uczestniczące we władzy, konsumpcji i życiu duchowym, proporcjonalnie do trwałego miejsca w hierarchii. Pan z definicji musi być lepiej zapatrzoną od chama, nie jest możliwe, żeby Wicek kupił samochód, radio lub telewizor, zanim uczyni to ojciec Wendy. Dlaczego nie jest możliwe? Bo Wicek nie ma wystarczająco dużo pieniędzy (elitarny rynek narzuca wysokie koszty produkcji; obniżka kosztów i ceny musiałaby wiązać się z rozszerzeniem rynku, a więc ze złamaniem fundamentalnej zasady hierarchicznego dostępu do dóbr). Przyjmijmy jednak, że Wicek ma pieniądze i ochotę. Nie ośmieli się przekroczyć bariery, bo naruszyłby w ten sposób reguły uświęcone tradycją, wartości moralne, obyczajowe i społeczne. Przyjmijmy jednak, że Wicek się ośmielił. Wtedy trzeba go będzie dotkliwie wybatożyć. Tak skonstruowany porządek europejski pewnie potrwałby jeszcze parę lat, gdyby nie wyzwanie amerykańskie. W Ameryce mianowicie zauważono, że opłaca się produkować tanio i dla każdego, bez względu na stopień jego uduchowienia. Zauważono też, że wysiłek wkładany w batożenie chama jest niewspółmiernie duży w stosunku do uzyskiwanych efektów. Czy nie byłoby bezpieczniej, taniej i łatwiej, gdyby Wicek miał względnie swobodny dostęp do dóbr materialnych, niezależnie od swej niskiej pozycji w porządku wartości duchowych i w hierarchii władzy, bez irytowania sąsiada, który ma tak samo względnie swobodny dostęp? Europejscy umiarkowańcy konserwatywni i liberalni odpowiadali, że być może, owszem, ale to by oznaczało wielce bolesny przełom i zniszczenie tradycji, a ta święta jest. Z kolei komuniści i faszyci jęli pograżać się w marzeniach o rewolucji, która pogodzi społeczeństwo hierarchiczne z produkcją dla milionów. Ale że masowy rynek potrzebuje wolnego producenta i wolnego konsumenta, a w faszyzmie i komunizmie z wolnością jest słabo, więc wybuchła wojna, pojawił się Robert Dante V. z tym swoim no problem, a na jego spotkanie wyszła baba analfabetka z apetytem na brzoskwinie i wolą swobodnego bekania w towarzystwie. Europejczycy uważają pracę za przekleństwo; ich kultura jest wielkim marzeniem o bezruchu, a przecież czas płynie i nie oszczędza nikogo... Tak pisała Wendy, a ja, myśląc, że miał rację taksówkarz, łysemu nie jest łatwo, siwemu też nie, a baby to świnię, zaśmiałem się, tyknąłem odrobinę napoju i niepostrzeżenie zapadłem w drzemkę.

Wyrwało mnie z niej stukanie do drzwi. Założyłem okulary, spokojnie wypilem łyżeczek, może nawet i dwa lub trzy, spojrzałem na następną stronę listu od Wendy. Przeszło prawie pięćdziesiąt lat od samobójczej śmierci Christine i Roberta Dantego V., a ona wciąż nie może zrozumieć, dlaczego postanowili to zrobić. Kiedy zobaczyła ich po raz pierwszy, tamtego wrześnieowego ranka na rue de Seine, było przecież oczywiste, że porywa ich zachłanna, promieniująca radość. Ładnie to

opisywała, bez uszczypliwości, ale znów ktoś zastukał do drzwi, namolnie, uparcie, rzekłbym nawet, że po chamsku, jeśli uwzględni się późną porę, więc poszedłem otworzyć.

W progu stał młodzieniec płowy, niebieskooki, chudy, w dwurzędowym garniturze, trampkach i z serdecznym uśmiechem na twarzy.

– Dobry wieczór – powiedział i wręczył mi małą karteczkę. – Wezwanko!

– Jakie wezwanko?

– Na wczoraj, w południe.

– Już jest po północy.

– No właśnie – powiedział młodzieniec. – Już jest po północy. Poważne spóźnienie. Będę musiał pana doprowadzić. To jak, idziemy po dobroci czy zastosujemy przymus bezpośredni, bo tu, widzę, stan wskazujący na spożycie?...

Ponieważ zobowiązałem się obywatelskim słowem honoru i własnoręcznym podpisem do zachowania tajemnicy, nie będę opisywał budynku, do którego mnie wprowadzono przez stalowe, automatycznie rozsuwane drzwi i skomplikowany system czujników elektronicznych, pod nadzorem kamer i ponurych spojrzeń uzbrojonych wartowników. Nie będę opisywał korytarza, w którym kazano mi czekać na oficera dyżurnego, natomiast ujawnię, że oficer dyżurny miał jasne włosy, błękitne oczy, długie nogi i był odziany w zieloną pelerynę do kostek.

– My się znamy – powiedziałem. – Z lotniska się znamy. Pani zastępowała Halinkę.

Oficer dyżurny nie odpowiedziała.

– I potem też panią widziałem. Pod moim domem. Pani robiła mi zdjęcia, prawda? Dobrze wyszły?

Oficer dyżurny burknęła coś niewyraźnie i otworzyła przede mną drzwi do gabinetu.

– Melduję doprowadzenie figuranta – powiedziała dziarsko, stukając pantoflami na wysokich szpilkach.

Przetarłem oczy, przy biurku bowiem stała jej siostra bliźniaczka, pewnie jednojajowa, równie jasnowłosa, błękitnooka, długonoga i odziana w zieloną pelerynę do kostek.

– Proszę się rozgościć – zachęciła mnie powabnym gestem. – My tu jak w rodzinie.

Usiadłem w miękkim fotelu. W kącie pod sufitem niespokojnie poruszyła się kamera telewizyjna.

– Panie jesteście bliźniaczkami, nieprawdaż? – zacząłem rozmowę.

– Tak pan sądzi? – zaśmiała się błękitnooka. – To miłe. Może jesteśmy... Może nie, bez znaczenia. Ale do rzeczy, rozpoznaje pan?

Położyła przede mną zdjęcia, na których stoję w oknie mojego mieszkania i z wyjątkowo głupim wyrazem twarzy patrzę w obiektyw aparatu fotograficznego.

– To ja.

– Potwierdza pan? – ucieszyła się błękitnooka.

– Potwierdzam.

Podeszła do biurka, włączyła magnetofon, komputer i telewizor.

– Porozmawiajmy szczerze – zaproponowała. – Nikt nas nie podsłuchuje.

– Nie mam nic od ukrycia.

– Oczywiście, że nie – zgodziła się. – Czy znane jest panu nazwisko Wrinkle?

– Nie przypominam sobie.

– Alfred L. Wrinkle?

– Nie sądzę.

– Rozumiem – powiedziała błękitnooka. – A może znany jest panu misio?

– Nieznany.

– Albo ktoś, kto pod misia się podszywa? – ciągnęła bezlitośnie.

– Nie.

– Idziemy w zaparte, co? – skrzywiła się.
– Absolutnie nie – powiedziałem, idąc w zaparte.
– W takim razie ja wyjdę na chwilę, upudruję noskę, a pan niech sobie popatrzy, pomyśli, wspomina... Mamy czas. – Błękitnooka włożyła kasetę do wideofonu, nacisnęła klawisz i wyszła.

Z głośnika dobiegł przenikliwy gwizd. Spojrzałem na ekran telewizora. O wstydzie! o hańbo! Oni wszystko sfotografowali. Na galeryjce wiodącej ku wejściu do samolotu stał średniego wzrostu, śniady, niepospolicie elegancki, jedwabisty, ozdobny Alfred L. Wrinkle. Wysunął przed siebie ramię, wskazał na mnie wystudiowanym ruchem kapłana, oskarżyciela lub wieszczka, a potem, gdy na lotnisku zapadła śmiertelna cisza oczekiwania, używając środkowego wyprostowanego palca prawej dłoni, potraktował mnie gestem o charakterze obelżywym i poniżającym – wobec mężczyzn, kobiet i dzieci przyglądających się temu wydarzeniu najpierw z uwagą, a następnie z rozbaawieniem.

– Ależ wstyd! – usłyszałem za sobą głos błękitnookiej. – Że też pan na to pozwolił... Na oczach tyłu ludzi?

Ukryłem twarz w dłoniach.

– Więc skończyliśmy na tym, że pan idzie w zaparte... – powiedziała.

Uniosłem głowę i ze zdziwieniem zobaczyłem, że przede mną stoi osobnik mały, krzywonogi, długowłose, brodaty i wąsate, z kolczykiem w uchu, jedwabną opaską na czole i barwnym chińskim tatuażem na muskularnych ramionach. Błękitnookiej nie było.

– Zadaniowaliśmy funkcjonariuszy na okoliczność figuranta Alfred L. Wrinkle z użyciem techniki operacyjnej po pańskim temacie – rzucił nonszalancko włochaty. – I jak pan widzi, to przedsięwzięcie przyniosło na danym kierunku pozytywne rezultaty.

– Pragnę złożyć oświadczenie – powiedziałem. – Znam Alfreda L. Wrinkle tylko z widzenia.

– Tylko z widzenia? – zaśmiał się ironicznie włochaty. – A ten hańbiący palec skierowany aluzyjnie i metaforycznie w pańską stronę i w pańskim temacie?

– Protestuję! – krzyknąłem. – To prowokacja!

Włochaty sięgnął do kieszeni kwiecistej koszuli, wyjął z niej skręta, zapalił i zaciągnął się z lubością.

– Mam dobry towar. Marycha z konfiskaty. Może macha? – zaproponował ciepłym głosem. – Niech pan się nie denerwuje. Zadaniowaliśmy funkcjonariuszy na pańską okoliczność z użyciem obserwacji i techniki operacyjnej po temacie Alfred L. Wrinkle. Nasza realizacja dowodzi, że pan mówi prawdę.

– Nie chcę macha! – krzyknąłem. – Po co żeście mnie tu ciągnęli?

Włochaty zaciągnął się głęboko i aż zmrużył oczy z zadowolenia.

– Nie to nie. Ja proponowałem z sympatii. Narzucać się nie będę... A sprawę zaraz wyjaśnimy...

Zniknął.

W gabinecie pojawiła się staruszka w palcie z futrzanym kołnierzem, kapeluszu z piórkiem i gęstą woalką.

– Był tu włochaty? – wrzasnęła.

Kiwnąłem głową.

Spojrzała na mnie badawczo spod woalki.

– Palił trawkę?

Wzruszyłem ramionami.

– Idziemy w zaparte, co? – groźnie wycedziła staruszka, usiadła za biurkiem, założyła binokle i zaczęła szeleścić dokumentami. – To jak będzie z tym Alfredem?

– Znam go tylko z widzenia.

– W porządku! – powiedziała staruszka. – Zadaniowaliśmy funkcjonariuszy po tym temacie i się potwierdza. Ale nam idzie o coś ważniejszego. Nam idzie o kontrwywiadowcze zabezpieczenie terenu.

– Jakiego terenu? – jęknąłem. – Nie znam żadnego terenu.

– Naszego terenu – powiedziała staruszka i zaczęła mi objaśniać tajniki zabezpieczenia terenu przez ulokowanie agentury w miejscach narażonych na przeciek informacji, usytuowanie rozległej sieci informatorów, kontrolę rozmów telefonicznych, perlustrację listów, przeszła do antyhackerów, co w dzień i w nocy walczą z obcymi wrogimi hackerami, których zadaniem jest elektroniczne przeniknięcie do systemów komputerowych na danym terenie (zabezpieczonym fizycznie przez wartowników i złe psy), na koniec zapytała, czy wiem coś o hackerach parapsychologicznych.

– Nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– W niektórych przypadkach obce wywiady używają parapsychologów. Zadaniują ich na naszym kierunku po temacie telepatia. A my na obiekcie mamy swoich parapsychologów i zadaniujemy ich odwrotnie, rozumie pan?

– Telepatia jest to sporne i niewyjaśnione naukowo zjawisko mające polegać na przekazywaniu i odbieraniu myśli na odległość bez pośrednictwa zmysłów – zacząłem ostrożnie, podejrzewając podstęp. – Czy pani wierzy, że to jest możliwe, tak po prostu z mózgu do mózgu na dużą odległość bez zmysłów, generatora i anteny?

– Co ja głupia? – zaniósła się śmiechem staruszka. – Jasne, że nie wierzę. Ale wiemy, że obce wywiady zadaniują parapsychologów po naszym kierunku.

– Czyli że oni wierzą?

– Nie, oni też nie wierzą. Oni ich zadaniują, żeby nas wprowadzić w błąd – wyjaśniła. – Chcą, żebyśmy uwierzyli. Więc my udajemy, że wierzymy, i zadaniujemy naszych parapsychologów odwrotnie. W ten sposób udajemy, że wierzymy, że oni wierzą, że my wierzymy. A oni z kolei udają, że wierzą, że wierzymy, że oni wierzą. W sumie mamy najlepszych w świecie parapsychologów. Chce pan poznać jednego?

– Nie chcę.

– Na pewno nie?

– Na pewno nie – powiedziałem dobitnie. – Chcę do domu. Chcę spać. Jestem głodny i spragniony. Do domu!

– Szkoda – zmartwiła się staruszka i nacisnęła klawisz pod biurkiem. W gabinecie pojawił się mały, krzywonogi, długowłose, brodaty i wąsate, z kolczykiem w uchu, jedwabną opaską na czole i barwnym chińskim tatuażem na muskularnych ramionach. Przyjął postawę zasadniczą i zameldował się służbiście.

– Siadajcie, włochaty – powiedziała staruszka. – Siadajcie i jako nasz czołowy parapsycholog-telepata mówcie o swojej pracy.

Włochaty rozwalął się w fotelu i zadyszał:

– Co tu mówić? Człowiek tyra, a płacę marnie.

– Ja nie o tym – staruszka zastukała kościstym palcem w blat biurka. – O Alfredzie mówcie.

Włochaty obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem, zastanowił się i zapytał, czy wierzę w telepatię.

– Nie wierzę – odpowiedziałem. – Musiałbym mieć naukowe dowody.

Włochaty z ukontentowaniem pokiwał głową i stwierdził, że telepatia nie ma żadnych podstaw naukowych, a przekazywanie myśli na odległość bez zmysłów, generatora i anteny lub kabla nie jest możliwe. Wczoraj, dokładnie o północy, w trakcie dyżuru w sekcji ochrony kontrwywiadowczej po temacie telepatia poczuł zbliżanie się jakiegoś obiektu. Zgodnie z instrukcją wysłał zapytanie identyfikacyjne.

– Co to znaczy? – zapytałem.

Włochaty wyjaśnił, że kiedy dany dyżurny czuje zbliżanie się obiektu telepatycznego, winien przede wszystkim ustalić, czy to swój, czy obcy. W związku z tym wysłała się zapytanie o hasło. Jeśli nie ma odpowiedzi, to wysłała się następne zapytanie identyfikacyjne związane z kodem kulturowym, na przykład:

Kto ty jesteś,
Polak mały?

Jeśli odpowiedź brzmi pozytywnie, to znaczy, że obiekt jest polski albo się pod polskość podszysza.

– A jeśli się podszysza?

– Pytamy dalej – powiedział włochaty. – Na przykład tydzień temu jeden taki nadawał Biblię po aramejsku, potem, wzmacniając sygnał, oświadczył, że lubi dostawać nagietki o zmroku...

– Dziecinnie łatwe i banalne – wtrąciła staruszka. – Jak lubi dostawać nagietki w ciemności, to znaczy, że ma związek z Xochiquetzal, aztecką boginią kwitnienia i żyznej powierzchni ziemi, której raz do roku, na święto zmarłych Aztecy ofiarowywali kwiecie...

– No właśnie – ciągnął włochaty. – Czyli że albo Meksykanin, albo się pod Meksykanina podszysza. Pytam dalej, a ten zaczyna się wykręcać, kluczyć, cytuje fragmenty anglosaskiego poematu epickiego Beowulf na temat duńskiego króla Hrothgara.

– Czyli że Duńczyk albo się podszysza? – ożywiłem się.

– Otóż nie! – krzyknął włochaty. – Nie Duńczyk! Nie ma mowy o Duńczyku! Podszysza się.

– Skąd pan wie?

– Duńczycy już dawno rozpracowali nasze hasło.

– Więc kto to był?

– Skupiłem się, zebrałem siły i nadałem: Spadaj na drzewo, cienki leszczu.

– I co?

– Obiekt zapytał, czy idzie mi o rybę Abramis brama, zwaną leszczem, której szczęki mogą się poruszać nie tylko w górę i dół, ale także w przód i w tył. Znów się skupiłem. Tym razem komunikat brzmiał: Spadaj na drzewo, palancie!

– I co?

– Spadł – zaśmiał się włochaty i spojrzał ironicznie na staruszkę, która uniósłszy nieznacznie woalkę, pociągała wargi jaskrawoczerwoną szminką. – Spadł na drzewo. Uciekł. Umilkł. To był patrol kontrolny kierownictwa. Sprawdzali, czy działał zgodnie z instrukcją. Człowiek tyra, a oni płacą tyle co nic i jeszcze kontrolują.

Staruszka schowała szminkę do torby, poprawiła kapelusik.

– Rutynowe inspekcje służą podniesieniu poziomu gotowości bojowej – oschle skwitowała słowa włochatego. – Wróćmy do tematu.

Wczoraj, dokładnie o północy, w trakcie dyżuru w sekcji ochrony kontrwywiadowczej po temacie telepatia włochaty poczuł zbliżanie się jakiegoś obiektu. Zgodnie z instrukcją wysłał pytanie o hasło. Nie uzyskawszy odpowiedzi, podjął decyzję o rozpoczęciu emisji pomocniczych zapytań identyfikacyjnych. Warunki techniczne seansu były trudne. Sygnał ulegał znacznemu zniekształceniu, a chwilami zanikał. Niemniej jednak wiadomo, że na pytanie „Kto ty jesteś, Polak mały?” obiekt zareagował spazmatycznym śmiechem i okrzykiem: „Się, się, się!” Pytanie ponowiono. Odpowiedź brzmiała: „Sosik, chlebuś, maselko, Wandeczka, dupeczka, odruch warunkowy... nigdy się od tych głupot nie uwolnię”. Sygnał zaniknął. Po odzyskaniu kontaktu dyżurny zapytał: „Kim jesteś? Powiedz prawdę”. Odpowiedź: „Cóż jest prawda?” Pytanie: „Cóż jest prawda?” Odpowiedź: „Ból. Boli. Jak gwoździe. Bez litości. Bardzo!” Pytanie: „Powtórz definicję prawdy”. Odpowiedź: „Boli. Bardzo boli. Nie ma litości”. Pytanie: „Co to znaczy?” Odpowiedź: „Głos. Taka prawda. Rozpływa się. Jakiś głos. Za mocne leki. Nie ma słów. Chcę. Koniec. Szkoda. Szkoda, że tak się kończy”. Sygnał zaniknął. Kontakt odzyskano po dziesięciu minutach. „Już lepiej” – oświadczył obiekt.

– Panowie, dosyć. Nic z tego nie rozumiem – powiedziałem. – Jest czwarta nad ranem. Po co mnie tu trzymacie?

– Bo obiekt mówił o panu.

– Niemożliwe.

– Najpierw o Alfredzie L. Wrinkle'u, a potem o panu – wyjaśnił włochaty i wyciągnął z kieszeni koszuli następnego skręta. – Obiekt pytał, czy Wrinkle aby nie zapomniał o kupieniu panu butelki, ostatnio bowiem ma luki w pamięci, za dużo haszu wali, koki też sobie nie żałuje, zapomina o obowiązkach, choć o honorariach nie. Obiekt podał pana imię, nazwisko i dokładny adres.

– Nie wierzę!

– Są dowody.

– Proszę mi je pokazać.

– To są dokumenty tajne specjalnego znaczenia.

– Dobrze. Uwierzę na słowo, bo mi nie zależy – powiedziałem po rozważeniu okoliczności. – Co jeszcze obiekt o mnie mówił?

Włochaty ożywił się.

– Różne rzeczy. Intymne. Że jak pan dostanie butelkę od Wrinkle'a, to smutny jej los. Będzie natychmiast wyżłopana. Więc obiekt prosi, żeby nie żłopać tak od razu, tylko najpierw pogadać z Wrinkle'em o stanie obiektu. O jego zdrowiu.

– Kogo prosi obiekt? – zirytowałem się.

– Pana prosi. Po imieniu i nazwisku, zgodnie z adresem zamieszkania. Myśleliśmy, że to jakiś szyfr, ale analiza kryptologiczna niczego nie wykazała – powiedział włochaty. – Sprawdziliśmy, co się stało z Wrinkle'em. Rozległa sieć informatorów melduje, że po przyjeździe do Warszawy kupił butelkę, włożył do torby, napalił się haszu i polazł pod pański adres. Co się stało z butelką? Została natychmiast wyżłopana. Kto wyżłopał? Pan! Bez słowa. Bez rozmowy z Wrinkle'em. Następnie na ciężkiej bani udał się pan na lotnisko i podszywał pod misia... Co to znaczy? Musimy wyjaśnić, co, jak, kiedy, dlaczego i w jakim celu znaczy albo nie znaczy.

Mają mnie, pomyślałem. Będą pytać, męczyć i nudzić, wzywać, molestować, podsłuchiwać, perlustrować, wzbudzać wyrzuty sumienia, podstawiać rozległą sieć informatorów, lokować agenturę w rozmaitych miejscach, raportować i prowokować. Nie dam się! Stawię im opór! Ale jak? Co robić? Może złożyć następne oświadczenie?

– Pragnę złożyć następne oświadczenie.

– Na jaki temat?

– Przyznam się do wszystkiego, do czego chcecie, i pójdę do domu.

Staruszka klepnęła dłońmi w uda tak mocno, że z jej zimowego palta uniósł się obłoczek kurzu.

– Słyszysz, włochasiu? Cwaniaczek! Oświadczenie! To po to uruchomiliśmy rozległą sieć informatorów, ulokowaliśmy agenturę, przygotowaliśmy plan wezwań, przesłuchań, prowokacji i raportów, żeby figurant wykręcił się teraz oświadczeniem? Niedoczekanie! Mowy nie ma!

– Ja już nie mogę... – jęknąłem.

– Każdy by chciał do domu – powiedziała staruszka i po dłuższym namyśle złożyła mi propozycję następującej treści: – Składam panu propozycję następującej treści. Włochaty coś przeczyta i pan rozpozna albo nie rozpozna, a potem poświadczy podpisem albo nie poświadczy. Zgoda?

Zastanowiłem się. Rozpoznam albo nie rozpoznam, podpiszę albo nie podpiszę, ale czy to znaczy, że na pewno pójdę do domu? Może to pułapka? Może starucha za chwilę powie, że na pewno pójdę do domu albo na pewno nie pójdę? Wszystko jedno – pomyślałem zrezygnowany i natychmiast wprowadziłem poprawkę do mojego myślenia: Wszystko jedno albo nie wszystko jedno!

I kiwając głową na znak zgody, jednocześnie pokręciłem nią przecząco.

Włochaty sięgnął po plik kartek i zaczął czytać:

– „Z uwagi na przerwy i zakłócenia w emisji wypowiedź obiektu dotarła do nas jedynie we fragmentach. Poniżej przedstawiam usystematyzowane i zinterpretowane elementy wypowiedzi oraz wysnuwam wnioski dla dalszych działań operacyjnych.

Obiekt zadał samemu sobie następujące pytania:

– Dlaczego żółte nazywamy żółtym, a nie czerwonym? Czy żółte jest żółtym jedynie subiektywnie, czy też subiektywnie i obiektywnie zarazem? A jeśli tak – to kto mógłby temu dać świadectwo?

Udzielając sobie odpowiedzi na powyższe pytania, obiekt stwierdził, że:

po pierwsze – jedynym instrumentem ludzkiego pojmowania świata jest kultura, czyli system znaków, praw, wynalazków, wartości, nakazów, zakazów obejmujących całokształt materialnego i duchowego dorobku ludzkości,

po wtóre – jest oczywiste dla każdego, kto jako tako myśli i czuje, że kultura będąca jedynym instrumentem ludzkiego poznania nie zaspokaja ludzkiej ambicji poznania. Kultura jest bowiem systemem standardów, wzorów i stereotypów, które nie są w stanie wyrazić i przekazać doświadczenia jednostki w sprawach najważniejszych, takich jak miłość i śmierć,

po trzecie – przeczuwamy, że nasze poznanie jest w swej istocie ułomne i nie odpowiada rzeczywistości, ale weryfikacja tego przecucia wymagałaby przyjęcia pozycji obserwatora (stojącego ponad człowiekiem i ponad kulturą), co w obrębie kultury jest niemożliwe,

po czwarte – świadoma swej niewystarczalności kultura odwołuje się do absolutnej wystarczalności Stwórcy, jednakże wiedza nasza o Nim daje się streścić w akceptacji całkowitej naszej o Nim niewiedzy.

Z tego wynika, że wszelkie poznanie (porozumienie) ludzkie jest ograniczone, skazane na uproszczenia i niejasności – czyli jest nie-porozumieniem.

Są dwa stany graniczne, dwie sytuacje, dwa doznania, w których ujawnia się, zapewne, pełnia bytu i prawdy o bycie. Doświadczenie śmierci. Doświadczenie miłości. Zadanie śmierci. Zadanie miłości. Na gruncie kultury są one wyrażalne jedynie za pośrednictwem metafor i alegorii, a zatem wyrażających niewyrażalne, czyli niewyrażalnych. Być może wyjątkiem jest muzyka, ale Sebastian odszedł i zostawił obiekt w osamotnieniu (w tym miejscu pojawiły się zakłócenia w emisji; tożsamości Sebastiana nie ustalono).

Obiekt twierdzi, że nigdy nie zabijał, natomiast wielokrotnie przeżywał stany miłosnego upojenia w czasie stosunków seksualnych z mężczyznami. Na tej podstawie obiekt stwierdza, że kultura jako jedyny możliwy instrument ludzkiego poznania charakteryzuje się dramatycznie niskim stopniem efektywności, innego wszakże instrumentu nie posiadamy i posiadać nie możemy, żółte jest żółtym, choć być może jest czerwonym, ku naszej rozpaczy i na chwałę Pana.

Wnioski dla dalszych działań operacyjnych: obiekt podszywa się pod osobnika płci żeńskiej, z wykształceniem humanistycznym i skłonnością do rozmyślań na tematy ogólne”.

Włochaty donośnie chrząknął i schował plik kartek do tekturowej teczki.

– I co? – zapytała staruszka. – Czy znane jest panu nazwisko obiektu, jego imię i miejsce zamieszkania, ewentualnie numer telefonu?

Naruszyli tajemnicę korespondencji, przemknęło mi przez głowę. Czytali list Wendy o Sebastianie, o wrześniowym poranku na rue de Seine, o oczach malowanych przez Christine, o uśmiechu Roberta Dantego i teraz prowokują, ale ja nie wydam, ani mru-mru, to podłe, włączyć w jej myśli, uczucia i nastroje duchowe, nie wydam, ani słowa nie powiem. Należy też wziąć pod uwagę, że prawo stoi po mojej stronie. Prawo mówi wyraźnie: autor decyduje o pierwszym udostępnieniu utworu oraz sprawuje nadzór nad sposobem jego wykorzystania. Wendy jako autorka listu wskazała na mnie jako na adresata. Dalej ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych stanowi, że po śmierci adresata zgody na publikację korespondencji udziela małżonek, zstępni, rodzice i dalsza rodzina w odpowiedniej kolejności, ale ja żyję i z uporem powtarzam, że o publikacji listów Wendy nie ma mowy.

– Nie jest mi znane nazwisko obiektu ani miejsce zamieszkania.

– Nie?

– Nie. Numeru telefonu też nie znam.

– Czyli w zaparte... – pokiwała głową staruszka. – W takim razie niech pan sobie idzie.

– Jak to? – zdziwiłem się. – Po całej nocy? Po tym wszystkim? Tak – po prostu?
Włochaty wstał z fotela, poprawił kwiecistą koszulę i nachylając się nade mną, powiedział:
– Na pożegnanie powiem coś panu prywatnie...

– Włochaty, ostrzegam was... – zasyczała staruszka.

– Muszę powiedzieć – stwierdził włochaty głosem nie znośącym sprzeciwu. – Muszę i powiem, że kawał z pana świni. Czy pan nie czuje, że obiekt cierpi, że jego ciałem wstrząsa ból, że serce mu pęka z rozpacz? Czy pan nie czuje, że obiekt nadawał do pana, ale pan w swoim egoizmie nie był zdolny do otwarcia się na krzyk nieszczęśliwej duszy... Że to jest wołanie o pomoc, a do nas dotarło dlatego, że z obowiązku prowadzimy rutynowy nasłuch, podczas gdy pan źłapie, częstokroć w towarzystwie szemranych koleżków lub grzesznych niewiast... Jaki tam z pana adresat! Zwykła świnią i tyle!

Wyszedł z gabinetu, trzaskając drzwiami.

Zapadła cisza.

– Gorąco tu jakoś – powiedziała staruszka i rozpięła palto, odsłaniając kwiecistą koszulę. – Gniewa się pan?

– No cóż, przyjemne to nie było – wymamrotałem. – Nerwy go poniosły albo się naćpał...

– Niech pan się nie gniewa. Chłopak jest przejęty. Przeżywa tragedię. – Westchnęła głęboko i oparła skroń na dłoni, zsuwając niechcący woalę, kapelusz i siwą perukę.

Zobaczyłem czarne włosy, wąsy i brodę.

Nie ulegało wątpliwości, że po drugiej stronie biurka siedzi sobowtór włochatego.

– Peruka się pani zsuwa – zwróciłem mu uwagę.

– Kamuflaż podstawą sukcesów w pracy operacyjnej. W naszej robocie bez kamuflażu jak bez ręki – powiedział włochaty i wybuchnął gorzkim śmiechem. – Człowiek tyra za psi pieniądz, kamufluje się, ale na dobry klej do peruki nie ma pieniędzy w budżecie.

Zerwał wąsy i brodę. Przede mną siedziała błękitnooka.

– Porozmawiajmy szczerze – powiedziała. – Nikt nas nie podsłuchuje. Chłopak przeżywa tragedię, bo pod koniec seansu stało się coś dziwnego. Jak by to określić? No, po prostu, w czasie seansu wystąpiły zakłócenia w łączności. Pomyślał, że to koniec, i napisał raport z wnioskami, które panu przed chwilą odczytał. Niestety, obiekt pojawił się jeszcze raz i w niego wlaźł...

– Kto wlaźł w kogo?

– Obiekt – zasepiła się błękitnooka. – Obiekt wlaźł we włochatego.

– Jak to – wlaźł?

– Wlaźł i zaczął nim mówić. Straszne obscena zaczął nim mówić. Potraktował jako medium. Wlaźł, nie chciał wyjść i te świństwa nadawał. Uprzedmiotowił telepatycznie po kierunku seksualnym. Zgodnie z instrukcją, wszystko nagraliśmy na taśmie wideo. Teraz badamy okoliczności. No bo jak w niego wlaźł? Nie wiadomo. Może od przodu? Może od tyłu? Albo jeszcze inaczej? W każdym razie wlaźł i świństwa same gadał. Wezwaliśmy kapelana z myślą o egzorcyzmach, ale on stwierdził, że diabła, owszem, wygna, ale z obiektem nie da rady... Księżdz kapelana ćwiczone w Rzymie tylko na okoliczność diabelską, w sprawach telepatii nie wolno mu interweniować. Jednym słowem, tragedia dla funkcjonariusza, bo obiekt wlaźł i gadał. Księżdz kapelanowi też głupio. Po urzędzie poszła plotka, że się nie sprawdza.

– I ma to pani na taśmie?

– Mam. Wszystko nagrane. Włochaty siedzi na krześle, a obiekt nim gada takimi słowy, że aż wstyd. A na koniec spada na podłogę.

Za oknem pojawiły się pierwsze promienie jesiennego słońca. Łagodne światło poranka odsłoniło smutek rysujący się na twarzy błękitnookiej.

– Proszę mi pożyczyć tę taśmę – powiedziałem. – Może jakoś pomogę...

– Kiedy tajna! Specjalnego znaczenia! – błękitnooka rozłożyła ręce. – Nie wolno.

– Mam przyjaciół w kręgach teatralnych. Znam młode aktorki...
– ...dupeczki – ożywiła się błękitnooka.
– ...z dostępem do dobrego kleju. Jak taka założy perukę, to nikt jej nie ściągnie. Sam próbowałem. Coś za coś, droga pani... Sztama?
– Nawiasem mówiąc, jestem mężczyzną – powiedziała posepnie błękitnooka. – Ile będzie tego kleju?

Ponieważ zobowiązałem się obywatelskim słowem honoru i własnoręcznym podpisem do zachowania tajemnicy, nie będę opisywał budynku, z którego mnie wyprowadzono przez stalowe, automatycznie rozsuwane drzwi i skomplikowany system czujników elektronicznych, pod nadzorem kamer i ponurych spojrzeń uzbrojonych wartowników. Ujawnię natomiast, że po wyjściu na ulicę usłyszałem za plecami donośny gwizd. Odwróciłem się. W otwartym oknie budynku, którego nie będę opisywał, stał śniady, niepospolicie elegancki, jedwabisty, ozdobny Alfred L. Wrinkle. Wysunął przed siebie ramię, wskazał na mnie wystudiowanym gestem kapłana, oskarżyciela lub wieszczka, a potem pozdrowił przyjaznym machnięciem dłoni i krzyknął:

– Niech pan tylko nie zapomni o kleju!

Zmęczony, z obolałymi nogami, ciężką głową, podpuchniętymi oczyma, drżącymi dłońmi, suchością jakąś wewnętrzną i z kasetą w kieszeni powlokłem się do domu, marząc, by los...

I los mi tego nie poskąpił.

Żyjąc parę dobrych lat na tym świecie, nauczyłem się, że los to jest dokładnie i akurat to, w co wpadamy w ucieczce przed tym, co nazywamy losem. Można się oczywiście spierać, czy doświadczenie człowieka zmęczonego, z obolałymi nogami, ciężką głową, drżącymi dłońmi i suchością jakąś wewnętrzną jest wystarczające do wygłaszania tego rodzaju maksym, chętnie więc powołałbym się na przykłady bardziej wiarygodne, uświęcone tradycją i powszechnym rozgłosem, chociażby na dzieje syna Lajosa i Jokasty, ale tego nie uczynię.

Lajos, władca Teb i małżonek Jokasty, chciał się dowiedzieć od wyroczni delfickiej, z jakiej to mianowicie przyczyny nie ma potomka. – Bo twój syn cię zabije! – usłyszał w odpowiedzi. Wrócił więc do domu i odtrącił Jokastę, ale ta upiła go i zwabiła do swego łóża. Dziewięć miesięcy później Jokasta urodziła syna, którego Lajos okaleczył, a następnie porzucił na górze Kitajron albo też wsadził do skrzyni, którą wrzucono do morza. Znalezionym dzieckiem zaopiekowała się Periboja i jej mąż Polibos, król Koryntu. Edyp wychowywał się w pałacu przybranych rodziców, nie wiedząc o swym prawdziwym pochodzeniu. Jakiś dworak powiedział mu, że nie jest podobny do Polibosa. Edyp udał się więc z pytaniem do Pytii, a ta zadygotała ze strachu:

– Zabijesz swego ojca i poślubisz matkę!

Aby uniknąć przeznaczenia, Edyp uciekł z Koryntu i w ten sposób wpadł w sidła przeznaczenia, bo na ścieżce w wozie w okolicy Delf spotkał Lajosa, wszedł z nim w zatarg i zabił. Nie powołałam się zaś na ten przykład, bo opowieść o Edypie, zabójcy ojca i ojcu dzieci swojej matki jest pisana z punktu widzenia wieszczka Tejrezjasza. Ten ślepiec uchodzi za męża niezłomnej cnotliwości, godzi się jednak przypomnieć, że przedtem jako kobieta przez siedem lat sprzedawał swe ciało w okolicach góry Kyllene, więc ufałbym mu jako mężowi cnotliwemu raczej w niewielkim stopniu, natomiast jako nierządniczy zupełnie nie, szczególnie na starość, kiedy większość kurew popada w obsesyjne moralizatorstwo i opierając się bezboleśnie na belce we własnym oku, dostrzega najdrobniejsze ździebełko w źrenicy bliźniego swego, co widać w opowieści o Edypie przedstawianej dla wywołania atharsis – oczyszczenia przez trwogę i litość – u widza w teatrze. A co mnie obchodzi teatr, kiedy wiem, że Jokasta powiesiła się z rozpacz i wstydu, Edyp wykuł sobie oczy i przejechało psa; wtedy, wczesnym latem, leżeliśmy przy półotwartych drzwiach balkonu, szepcząc do siebie słowa, które podrywają do lotu w nieznanie i każą zapomnieć o wszystkim, także o słowach, byle tylko odczuć całym ciałem, które nagle przeistacza się w duszę, że stajemy się całością,

najpełniejszą, jaka może być. Miała szeroko otwarte oczy, wtuliłem się w nią, zacząłem zapadać w ciepłą ciemność, a wtedy dobiegł nas pisk hamulców rozpędzonego samochodu i długi skowyt psa umierającego pod kołami, i już nie było nic dalej, rozstaliśmy się bez słowa, więcej jej nie widziałem i nie chciałem widzieć, bo jest między nami ten skowyt, przylepiony do niej i przylepiony do mnie, i oboje przed nim uciekamy, w trwodze, litości i bez oczyszczenia. Nie ma wyboru: muszę snuć tę opowieść bez trafnych przykładów z literatury, bez wzniosłych odniesień i powołań, nie wierzę Tejrezjaszowi, dziadym sakramentkiemu, który za służalczość został wynagrodzony przez Zeusa siedmiokrotnym życiem! Edyp sam się oślepił! Pies zdechł! A ja znalazłem się przed ceglany murem z żelazną zardzewiałą furtką, na rozstaju dróg.

Każdy pamięta, że w baśniach i przypowieściach rozstaje dróg są symbolem losu, symbolem nieznanego przyszłości, symbolem przygody i podróży, miejscem, w którym trzeba podjąć decyzję nieodwołalną. Albo w prawo – albo w lewo! I inaczej nie można, chyba że się człowiek na miejscu powiesi, bo jak każdy pamięta z baśni i przypowieści, na rozstaju obowiązkowo rośnie drzewo z dyndającymi zwłokami tych, co nie umieli się zdecydować, czy w prawo, czy w lewo. Ale co mnie mogły obchodzić baśnie i przypowieści oraz zawarte w nich symbole, skoro wiedział, że jeśli pójdę w prawo, to po przejściu dwóch tysięcy trzystu dwudziestu metrów dojdę do mojego domu, w którym nie ma ani kropli czegoś, co pomoże zwalczyć dręczącą mnie suchość jakąś wewnętrzną, jeśli zaś pójdę w lewo, to po przejściu dwóch tysięcy trzystu dwudziestu metrów też dojdę do mego domu, w którym stoi zepsuty wideofon, nie będę więc mógł obejrzeć taśmy z włochatym – a wszystko dlatego, że ta droga w prawo potem skręca w lewo i jeszcze raz w lewo, ta droga w lewo skręca potem w prawo i jeszcze raz w prawo, i zbiegają się za parcelą, którą otacza ceglany mur z żelazną zardzewiałą furtką. Czy pójdę w lewo, czy pójdę w prawo, nie powinienem oczekiwać od losu żadnych olśnień, żadnych rozstrzygnięć, żadnych spełnień, w lewo czy w prawo, i tak źle, i tak niedobrze. Zdałby się jakiś wisielec dla wzbogacenia wyboru! – pomyślałem.

I wtedy zza zardzewiałej i skrzypiącej furtki w murze wyszedł mężczyzna w soczyście zielonym garniturze w kratkę różowo-niebieską, w koszuli w czerwone paski pionowe i krawacie w żółte paski poziome, przez lewe ramię miał przerzucony płaszcz z podpinką z pomalowanych na fioletowo syberyjskich soboli, na głowie prawdziwe borsalino, na stopach skrzypiące dostatkami angielskie buty, na palcach złote sygnety, na ustach grymas dogłębnego smutku. Był to dzielnicowy bogacz i dziwak, Lew Słowik, na którego wizytówce widnieje napis: „Lew Słowik – człowiek tragiczny”, ale sąsiedzi nazywają go Wisielec, ponieważ jakiś czas temu, miast wybierać pomiędzy drogą w prawo i drogą w lewo, postanowił pójść na przelaj, i pewnie by mu się udało, ale żona wróciła wcześniej z zakupów, odcieła go z żyrandola w salonie, wezwała pogotowie, uratowała bez serca i bez zastanowienia, za co Lew po powrocie ze szpitala wytoczył jej proces, bezlitośnie usunął ze swego życia i zaczął chodzić na codzienne długie spacerować za ceglany mur, za którym rozciąga się cmentarz będący – jak piszą z patriotyczną dumą autorzy przewodników turystycznych – jedną z największych nekropolii w Europie, a może i największą.

Legenda o Lwie Słowiku

W młodości, a było to że trzydzieści lat temu, a może nawet i dawniej, Lew Słowik studiował ekonomię polityczną na Uniwersytecie Warszawskim. Wykazywał się talentem, inteligencją i pracowitością, toteż adiunkci, docenci i profesorowie stawiali go za wzór studentom mniej utalentowanym, mniej inteligentnym i mniej pracowitym. Po wykładach i ćwiczeniach Lew Słowik chadzał do muzeów, bibliotek, teatrów i na koncerty w filharmonii, dbał o czystość ubioru, w stołowie elegancko posługiwał się nożem i widelcem, nigdy też nie widziano, by po cosobotniej zabawie studenckiej kiedykolwiek obrzygał schody w akademiku, jednym słowem, z daleka było widać, że Lew Słowik jest człowiekiem wybitnym.

Nie wywołało więc w kolektywie uniwersyteckim niczyjzego zdziwienia (choć przecież kolektyw uniwersytecki składa się z ludzi zawistnych i złośliwych), że praca magisterska Lwa Słowika na temat wyższości słusznych leninowskich koncepcji gospodarczych (od komunizmu wojennego, przez NEP, aż po to, co nazywamy realnym socjalizmem) nad wszystkimi innymi koncepcjami

gospodarczymi, z uwzględnieniem niesłuszności niewolnictwa, feudalizmu i kapitalizmu – zyskała uznanie recenzentów, ich pochwały, a nawet zachwyty.

Nadszedł dzień obrony pracy magisterskiej.

Jak zwykle czysty, dokładnie ogolony i schludnie odziany Lew Słowik zasiadł przed komisją egzaminacyjną. Profesorowie spoglądali na młodego człowieka ciepło. Byli przyjaźnie uśmiechnięci.

Przewodniczący komisji zadał pierwsze pytanie:

– No i jak tam, panie kolego?

– W porządku, panie profesorze – odpowiedział Lew Słowik po zastanowieniu.

– A zatem możemy zaczynać?

– Pewnie, że tak, panie profesorze – odpowiedział Lew Słowik. – Jestem gotów do odpowiedzi na każde pytanie, choćby najbardziej złożone i podstępne, gdyż obraz wyższości słusznych leninowskich koncepcji gospodarczych (od komunizmu wojennego, przez NEP, aż po to, co nazywamy realnym socjalizmem) nad wszystkimi innymi koncepcjami gospodarczymi, z uwzględnieniem niesłuszności niewolnictwa, feudalizmu i kapitalizmu, rysuje się w moim umyśle nadzwyczaj prosto i przejrzyście, co zawdzięczam wysiłkom dydaktycznym pana profesora, zasiadających obok niego docentów habilitowanych, a także nieobecnych – z uwagi na rozliczne obowiązki – innych pracowników naukowych naszej wszechnicy.

Słyszając tę odpowiedź, przewodniczący i członkowie komisji z zadowoleniem pokiwali głowami.

– W takim razie proszę nam powiedzieć krótko i węzłowato, z jakich to mianowicie powodów słuszne są leninowskie koncepcje gospodarcze i tak dalej, i tym podobne, z uwzględnieniem niesłuszności niewolnictwa, feudalizmu i kapitalizmu? – zapytał przewodniczący komisji.

Lew Słowik poprawił krawat, otworzył usta i powiedziawszy: – Odpowiadam krótko i węzło... – znieruchomiał, tępo patrząc przed siebie. Na jego czole pojawiły się krople potu, przez ciało przebiegł dreszcz, a z ust wyfrunął motyl w kolorze lilaróż, z tym, że nóżki miał zielone.

– Panie kolego, czy pan usłyszał pytanie? – spytał przewodniczący, śledząc z niepokojem lot motyla, który zaczął krążyć nad jego głową.

Lew Słowik po raz wtóry pokrył się potem i sięgnąwszy za lewe ucho siedzącego po prawej stronie członka komisji, wydobyl białą myszkę z różowym ogonem.

– Czy pan się źle czuje – zaniepokoił się przewodniczący. – Może wody?

Lew Słowik milczał.

– W takim razie powtórzę pytanie i proszę odpowiedzieć na nie krótko i węzłowato – powiedział przewodniczący i powtórzył pytanie.

Lew Słowik po raz trzeci pokrył się potem i sięgnąwszy za prawe ucho siedzącego po lewej stronie członka komisji, wydobyl brzuchatą świnkę morską, która natychmiast powiła sześcioro morskich prosiąt.

Wezwani funkcjonariusze organów bezpieczeństwa osadzili Lwa Słowika w areszcie, a prokurator rozpoczął żmudne przesłuchania, w czasie których podejrzany uparcie i tajemniczo milczał, jakby był głuchoniemy albo co.

Przez trzydzieści dziewięć długich dni i nocy, w ciemności izolatki, o chlebie i wodzie Lew Słowik zastanawiał się nad dotychczasowym swym życiem, na dzień czterdziesty doszedł do wniosku, że nie ekonomia polityczna jest jego powołaniem, lecz zawód prestidigitatora.

Nadeszło święto państwowe, wraz z nim amnestia i Lew Słowik odzyskał wolność. Z węzełkiem przerzuconym przez ramię ruszył w świat. Najpierw występował na jarmarkach i odpustach, potem widywano go w nocnych lokalach, gdzie zadziwiał podchmielonych gości pojawianiem gołębi z cylindra, a po dwudziestu latach, już jako zasłużony pracownik Państwowych Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych na etacie starszego prestidigitatora, uzyskał mistrzostwo kraju w

pojawianiu zwierząt średniej wielkości, na ten przykład nutrii, i wicemistrzostwo Europy w pojawianiu przedmiotów martwych. Żył w willi z małym ogródkiem, miał samochód, spore konto w banku, żonę w futrze oraz inne znamiona zbytku i luksusu, a sąsiedzi mówili z zawiścią, że los mu sprzyja ponad średnią uzasadnioną społecznie.

Pewnego dnia, nie tak znów dawno temu, wezwano go do samego dyrektora Państwowych Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych.

– Zdobyliście, Słowik, mistrzostwo kraju w pojawianiu zwierząt średniej wielkości, na ten przykład norki... – zaczął dyrektor i natychmiast poprawił się. – Mówiąc o norce, miałem na myśli nutrię...

– Rozumiem – powiedział Słowik. – Ale norkę pojawić łatwo, a w odniesieniu do nutrii trzeba być mistrzem przynajmniej w skali kraju europejskiego.

– Zdobyliście, Słowik, mistrzostwo kraju w pojawianiu zwierząt średniej wielkości, na ten przykład nutrii – zaczął dyrektor po raz drugi – zdobyliście wicemistrzostwo Europy w pojawianiu przedmiotów martwych, ale na tym nie wolno nam poprzestać. Wiosną przyszłego roku odbędą się w Indiach mistrzostwa świata w pojawianiu zwierząt dużych i kierownictwo zdecydowało, że pojedziecie tam z nowym numerem, który polega na pojawianiu owcy podhalańskiej. Co wy na to?

– Jako mistrz kraju i wicemistrz Europy twierdzą, że to niemożliwe – powiedział Lew Słowik. – Pojawić mogą gołębia, szczura, mysz, chomika i nutrię, ale owcy nie, bo jest za duża gabarytowo. Żeby pojawić owcę, trzeba być mistrzem świata.

– Oto nam właśnie idzie! – ucieszył się dyrektor. – Popracujecie nad pojawieniem owcy, osiągniecie sukces, otrzymacie tytuł mistrza świata w pojawianiu i rozślawicie naszą ojczyznę. Dla mnie dwadzieścia procent z każdego nowego kontraktu, co?

I tak się stało. Po miesiącach prób i błędów Lew Słowik opanował mistrzowską sztukę pojawiania owcy podhalańskiej, pojechał do Indii, założył smoking, wyszedł na estradę, pojawił owcę, która donośnie zabeczala i zrobiła kupę na dowód swego niekwestionowanego istnienia.

Owacjom nie było końca.

Jury, któremu przewodniczył pewien znany maharadża, podjęło decyzję. Lew Słowik został mistrzem świata, dostał złoty medal, dyplom uznania z podpisem znanego maharadży i szereg świetnych kontraktów do podpisu.

Podziękowawszy jurorom i publiczności, Słowik poszedł w stronę hotelu. Minął starego żebraka Javaharlalę z błagalnie wyciągniętą ręką, brodatego portiera, który mu zasalutował do misternie splecionego turbanu, wjechał windą na osiemnaste piętro, wszedł do swego pokoju, włączył klimatyzację i usiadł na tapczanie.

– Zdobyłem złoty medal – powiedział do samego siebie. – Zdobyłem dyplom z podpisem znanego maharadży. Jestem mistrzem świata. Mam lukratywne kontrakty. Osiągnąłem wszystko, co może osiągnąć człowiek w moim wieku i z moim doświadczeniem... Przedemną sława, bogactwo oraz...

Nie zdążył dokończyć tej myśli, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

– Kto tam? – zapytał po angielsku.

– To ja – usłyszał głos małego chłopca. – To ja, Javaharlal, syn starego Javaharlalę, żebraka spod hotelu.

Lew Słowik otworzył drzwi i wpuścił do pokoju nędznie odzianego chłopca.

– Jesteś synem starego żebraka Javaharlalę, który siedzi całymi dniami pod hotelem z błagalnie wyciągniętą ręką? Pochodzisz zatem z ubogiej rodziny. Widziałem wszakże w Indiach piękne pałace i bogatych maharadzów. Prowadzi mnie to do wniosku, że wasz kraj jest pełen ostrych kontrastów społecznych.

– Tak, panie – powiedział chłopiec ciekawym głosem – ale ja przyszedłem w zupełnie innej sprawie...

- Czego zatem chcesz, chłopcze? – zapytał Lew Słowik.
- Czy to pan zdobył mistrzostwo świata w pojawianiu?

– Pewnie przyszedłeś po mój autograf – domyślił się Słowik. – Dobrze, ofiaruję ci autograf i dodam parę rupii, aby wspomóc twą głodującą rodzinę.

– Nie chcę autografu, panie – powiedział chłopiec jeszcze cieńszym głosem. – Nie chcę też pieniędzy. Proszę cię jedynie, byś zamknął drzwi na klucz i usiadł wygodnie w fotelu.

Lew Słowik starannie zamknął drzwi na klucz i usiadł wygodnie w fotelu.

– Dostałeś, panie, tytuł mistrz świata za pojawienie owcy podhalańskiej, nieprawdaz? – zapytał chłopiec.

Lew Słowik potakująco kiwnął głową.

– A czy mógłbyś, panie, teraz powtórzyć tę sztukę?

Lew Słowik roześmiał się.

– Teraz?

– Tak – powiedział stanowczo chłopiec. – Teraz! Na moich oczach!

– Tu, w małym pokoju na osiemnastym piętrze, bez sceny z odpowiednim zapleczem technicznym, bez inspicjenta i bez owcy? – śmiał się Lew Słowik. – Nie, chłopcze, to absolutnie niemożliwe.

– W takim razie pozwól, bym ja, Javaharlal, syn starego Javaharlala, żebraka spod hotelu, mógł ci zaprezentować swe skromne chłopięco-żebracze umiejętności – szepnął chłopiec.

– Proszę cię bardzo – zgodził się Lew Słowik. – Zaprezentuj.

Chłopiec skrzyżował ręce na wątych piersiach i pojawił wielkiego słonia, który zaryczał donośnie oraz zrobił kupę na znak swego niekwestionowanego istnienia, a mimo że działo się to w Indiach, krainie pełnej słoni indyjskich, słoń pojawiony przez małego chłopca w pokoju hotelowym na osiemnastym piętrze był słoniem afrykańskim, a takie w Indiach zupełnie nie występują. Słoń indyjski (*Iephas aximus*) jest mniejszy, mniej dziki i mniej niebezpieczny od słonia afrykańskiego (*oxodonta fricana*).

Lew Słowik powrócił do kraju z wielkim złotym medalem na piersi i intratnymi kontraktami w kieszeni. Witano go uroczyście, przemówieniami i kwiatami, bo przecież pojawienie owcy podhalańskiej to nie byle co; nie w każdym kraju rodzą się takie talenty i nie każdy kraj umie je otoczyć właściwą opieką.

Lew Słowik godnie podziękował witającym go przedstawicielom władz państwowych i samorządowych oraz stowarzyszeń twórczych, pojechał do domu, wziął mocną linkę i powiesił się, ale żona wróciła wcześniej z zakupów, odcięła go z żyrandola, uratowała bez serca i bez zastanowienia, za co Lew po powrocie ze szpitala wytoczył jej proces, usunął ze swego życia i teraz chodzi codziennie na długie spacery za ceglany mur, na cmentarz, a potem wraca do domu i ogląda taśmy wideo z filmami pornograficznymi, które poddaje ostrej krytyce z pozycji moralnych.

– Jak zdrowie? – zapytał Lew Słowik i uściśnął mi rękę z miną pełną tak głębokiego współczucia, jakby mi ktoś bliski odszedł w niebyt.

– Nie ma nadziei... – odpowiedziałem. – Chyba że znajdzie się kropelka piwa...

– Rozumiem – szepnął Lew Słowik i dodał parę słów o tragizmie ludzkiego losu.

Wyjąłem kasetę z kieszeni, machnąłem nią przed oczyma Lwa Słowika:

– Przypadkowo niezły filmik się trafił... Ostry porno!

– A widział pan niemiecko-belgijsko-duńską wersję Dekameronu w wykonaniu młodych talentów z Polski, Ukrainy i Rosji? – ożywił się Lew Słowik. – Jakie straszne świństwa! Zwykła, ordynarna pornografia! Bezduśne uprzedmiotowienie! Odwołanie się do najniższych instynktów! Zredukowanie osobowości ludzkiej do prostych funkcji genitalnych. Całkowite i bezpowrotne odrzu-

cenie wartości. Że też człowiek może coś takiego uczynić człowiekowi?! Jednym słowem, cywilizacja śmierci!

– To może być jeszcze lepsze – postukałem palcem w kasetę. – Znajomi twierdzą, że pozostawia niezatarte wrażenie.

– Chodźmy do mnie na szklaneczkę piwa... – powiedział Lew Słowik. – Posiedzimy, popatrzymy, osądzimy...

Poszliśmy ani w lewo, ani w prawo, ale przed siebie, na przełaj, przez cmentarz będący – jak piśnią z patriotyczną dumą autorzy przewodników turystycznych – jedną z największych nekropolii w Europie, a może i największą. Ciekawe, za czasów komuny autorzy przewodników chętnie podkreślali fakt, że w Warszawie znajduje się największy plac defiladowy w Europie. Ale ja o polityce nie zamierzam rozprawiać.

Do domu wróciłem późnym wieczorem. Wiadomo, że aby wrócić, trzeba najpierw wyjść. Wyjścia są z zasady brzemienne nadzieją, niekiedy podniosłe, niekiedy nawet euforyczne, natomiast z powrotami jest różnie. Edyp wyszedł z Koryntu przekonany, że rozstając się z rodzicami, uratuje życie ojcu, oszczędzi hańby matce, a sobie samemu jako tako życie ułoży; o przygnębiających skutkach tego urojenia szczegółowo wypowiadali się przede mną Homer, Sofokles, Eurypides, Pauzaniusz i inni, więc nie ma co wdawać się w szczegóły, wiadomo jednak, że ślepy Edyp został zaszczuty przez Erynie, tak więc powrót miał raczej słaby. Kiedy Jazon ruszył po złote runo, świat aż westchnął z zachwytu nad składem załogi „Argo”, no bo jak się ma w drużynie syna Aresa, syna Dionizosa, syna Apolla, syna Hefajstosa, trzech synów Posejdon (przy czym najmłodszy z nich umie zmieniać swoją postać), a ponadto kilku książąt, dziewicę-myśliwego, poetę i Heraklesa, to oczywiście, że podróż upłynie wesoło, a cel będzie osiągnięty bez większych kłopotów. Prawdziwy powrót Jazona nastąpił po wielu, wielu latach. Stary zdobywca złotego runa chciał się powiesić z rozpacz na dziobie „Argo”, ale nie dano mu takiej szansy. Zginął przygnieciony przez kadłub ukochanego okrętu. Herakles wracał do domu dwa razy – i dwa razy źle. W czasie pierwszego powrotu wpadł w obłęd, zamordował żonę Megare, synów i młodszego kolegę. W związku z drugim powrotem otrzymał na powitanie od Dejaniry zatrutą koszulę i umarł w mękach. Po powrocie do domu stwierdziłem, że noc nade mną gwiazdzista, idzie mróz, kaloryfery przestały działać, zapewne z zapowietrzenia, a elektrownia wyłączyła prąd. Otuliłem się kocem, zapaliłem świecę i wróciłem do lektury listu Wendy, choć pochyłe literki rozpląwały mi się przed oczyma, ale wobec słów, których przyszło mi wysłuchać z taśmy w domu Wisielca, nie można już było inaczej.

W wypełnionym przygodami życiu Wendy otarła się (za przeproszeniem) o szereg postaci wybitnych. Od dawna podejrzewałem, że niejednen historyk byłby wdzięczny za możliwość zapoznania się z jej opiniami dotyczącymi dyrygentów z Filharmonii Berlińskiej, premierów, dyrygentów z Opery Wiedeńskiej, sekretarzy stanu, tenorów, ministrów, dyrygentów z Metropolitan, ambasadorów, sopranów koloraturowych, pewnego mistrza w boksie (waga ciężka), pewnego kardynała oraz pewnego zgorzkniałego wodza naczelnego, nie wspominając profesorowej K. (rzeczywiście straszliwego ścierwa) i generała S. (rzeczywiście złodzieja). Teraz miałem dowód na piśmie, barwny, jadowity, gotowy do publikacji. Wiedziała wszystko. Pamiętała wszystko. I widać było, że wspomnianie sprawia jej przyjemność – być może większą od niegdysiejszego przeżycia. Nawet na pewno większą. To, co kiedyś niosło jej smutek i ból – teraz przeobraziło się w ironiczną opowieść osoby, która wie, że całość jest czymś więcej niż sumą wszystkich części i nie ma co z tego powodu popadać w rozpacz. Być może życie jest snem, ale od czasu do czasu rządzi się dosyć łatwymi do pojęcia zasadami. Być może jest tragiczne od początku do końca, ale człowiek, który daje się uwieść takiemu przeświadczeniu, nie dostrzeże, że ono jest naprawdę tragiczne. Być może jest opowieścią idioty, ale to nie powód, by nadymać się z zachwytu nad własnym do niego dystansem lub nad własnym w nim zanurzeniem. Owszem – jesteśmy zabawni. Jesteśmy nieodparcie śmieszni – aż do łez.

Czy Robert Dante V. był istotnie Prostaczkiem, przybyszem ze świata łatwych rozstrzygnięć, uśmiechniętym chłopcem, którego naiwność wzbudzała w Christine i Sebastianie wzruszenie i poczucie wyższości? Niewykluczone, że tak go chcieli widzieć, ale Wendy uważa, że należałoby też rozważyć inne warianty. Dlaczego by nie założyć, że Robert Dante V., którego prapraprapradziad przeklął zdziczałą od wojen religijnych Europę i uciekł do Ameryki, którego praprapradziad budował zręby wolności, którego prapradziad umiał tej wolności zapewnić gwarancje na miarę rozsądku zwykłego człowieka, którego pradziad..., więc dlaczego nie założyć, że Robert Dante V. patrzył na Christine i Sebastiana jak na barbarzyńców? I że odkrył w nich szaleństwo, które wiąże się z zarażeniem śmiercią? I zachwyił się? Nimi i samym sobą w tym zachwyceniu. A kiedy już wszystko posprzątał, wymiółł kurz i spleśniałe skórki, nie pozostało mu już nic innego... Wszedł do pokoju, usiadł na skraju łóżka, promień słońca prześlizgnął się po twarzy Christine, otworzyła oczy, przywarł do niej, trwali w milczeniu, a potem któreś z nich powiedziało, że tak powinno być zawsze, ale żeby tak było zawsze, trzeba pójść o krok dalej, ku tej krawędzi, za którą czas przestaje być potrzebny, podał jej pistolet, zastrzeliła go, dwie kule w skroń, potem włożyła lufę do ust, kciukiem wcisnęła język spustu. Sebastian już więcej nie napisał ani jednej nuty; każdy z nas ma daną przez los paczkę z talentem i odwagą, z czasem wszystko się zużywa, wyczerpuje. Najodważniejsi stają się tchórzami, najbardziej utalentowani milkną, choćby Złota Trąbka... Wendy dostała niedawno płytę z archiwalnym nagraniem jego kompozycji icha oda, na pewno, bo melodyjka prymitywna, niewyobrażalnie prostacka, dla tłuszczy, chamstwa, nie ma cierpliwości słuchać, jest chora i będzie przez dłuższy czas w szpitalu, a tam czas płynie ze zdwojoną, prędkością w kierunku raczej niepożądanym.

Wisielec otworzył drzwi i wprowadził mnie do ciemnego przedpokoju, w którym stał ogromny, szczerzący kły i groźnie warczący owczarek kaukaski imieniem Wania.

– Bez strachu – powiedział gospodarz. – Jest wypchany. Pełna automatyka. Otwieram drzwi, włącza się fotokomórka, która uruchamia magnetofon z głosem wściekłego dobermana.

– Ale to jest owczarek kaukaski – zauważyłem.

– Dobermana nie lubiłbym trzymać. Złośliwa rasa, bez poczucia humoru – wyjaśnił Wisielec i wprowadził mnie do swego gabinetu osobliwości. – To orzeł, sokół, bażant, dzik i łoś, wszystkie wypchane dla ostatniego cara Wszechrusi, kupiłem w Paryżu, po mistrzostwach świata w pojawianiu przedmiotów martwych, od spadkobiercy księcia Jusupowa, zabójcy Rasputina. Ta parka figuerek porcelanowych pochodzi z dworu Augusta Saskiego. Stoją na skrzynce z mahoniu afrykańskiego, w której środku znajduje się pozytywka z zapisem muzyki sfer niebieskich według Keplera. Miedzioryt ukazujący pobieranie gipsowych odcisków pudendów Casanovie na zamku Dux. Przedśmiertny odlew pudendów Casanovy z mosiądzu. Rzadkość. Pośmiertny odlew pudendów Casanovy z brązu. Unikat. Puszka konserw zawierająca pasztet z mięsa kolibrów. Nader smakowite. A to jest żyrandol, z którego odcięła mnie była zona. Ładna robota. Klasycyzm. I tak dalej, długo by opowiadać... Niech pan siada.

Usiadłem koło półki, na której w wielkich szklanych słojach pogodnie kołysały się ciałka anacefali.

– Anacefale, co? – rzuciłem lekceważąco.

– Jedna z piękniejszych kolekcji prywatnych w tym zakątku świata – z dumą oświadczył Wisielec. – Wolę nie mówić, ile mnie to kosztowało. Ale niech pan się przyjrzy temu ostatniemu!

Podszedłem bliżej. W słoju promieniującym złocistą poświatą kołysało się ciało niemowlaka dosyć rachitycznego, męsko-żeńskiego, z dużą głową, otwartymi oczyma i złośliwym uśmiechem na starczych ustach.

– I co pan widzi?

– Anacefal to nie jest, bo ma głowę dobrze uformowaną... – zacząłem się głośno zastanawiać.

– Nie anacefal! Absolutnie nie anacefal! – wykrzyknął radośnie Wisielec. – To zwłoki homunkulusa stworzonego w 1644 roku przez Michała Sędzimira zwanego Sendivogiušem Polonusem...

Trudno, sam sobie jestem winien. Trzeba uważać! Trzeba się pilnować! Trzeba się wystrzegać kontaktów z nieznanymi. Ktoś wygląda na odciętego od żyrandola człowieka niezłomnych zasad etycznych, a potem okazuje się kolekcjonerem niemowlęcych zwłok w formalinie. Po co mnie tu zwabił? W jakim celu? – myślałem z niepokojem. – Co przede mną pojawi?

– Sam chciał pan przejrzeć taśmę i napić się piwa... – powiedział Wisielec z urazą w głosie. – Ja się nie narzucałem...

Włączył wideo. Włożyłem taśmę. Na ekranie telewizora pojawiła się twarz włochatego. Przez kilka minut bezmyślnie patrzył w obiektyw, kiwał głową, mruczając coś niewyraźnie, potem wyprostował się, uniósł dłonie nad głową i krzyknął:

– Jezu, ja nie mogę... Nie chcę! Jezusie Maryjo! Obiekt wlaż we mnie! Ludzie, pomocy! Koledzy! Koledzy, nie zostawiajcie mnie tak!

Po jego twarzy przebiegł bolesny skurcz. Dotknął palcami prawego policzka, otworzył usta, zamknął je, jeszcze raz otworzył, wytrzeszczył oczy z rozszerzonymi źrenicami i zaczął szeptać:

– Moi chłopcy, moi wszyscy biedni chłopcy ze spoconymi dłońmi, zawstydzeni, uwodzicielscy, tchórzliwi i odważni, mówili, że mnie mają, a przecież to ja miałam ich, miałam w sobie, miałam w sobie każdym porem skóry, każdym nerwem, aż do bólu, i pamiętam ciepło i zapach ich ciał, ich twardość, ich zapamiętanie w rozpędzie, po którym zapadali w półśmierć ledwie słyszalnego oddechu i ogłuszającego łomotu serca, a teraz nie mogę przypomnieć sobie ich twarzy, chciałabym, ale odpłynęły na zawsze, nie umiałam znaleźć dla nich miejsca w ciemności, która ogarnia moje oczy, tak mówił Percival, nie odchodź, bo ciemność ogarnia moje oczy, i przeraźliwie krzyknął, w szpitalu powiedzieli mi, że miał atak serca, właśnie wróciłam z Paryża, wygnało mnie światło poranka na rue de Seine, to światło, co rozjaśnia oczy i opromienia rzeczy; kiedy Christine i Robert stanęli w progu – nora Sebastiana zaczęła wypełniać się światłem ożywiającym przestrzeń, sterylna geometria ustąpiła miejsca grze cieni, w której do każdego przedmiotu, ruchu i dźwięku przywiązana jest tajemnica wiecznej gotowości i wiecznego niespełnienia; i wiedząc, że nie ma tam dla mnie miejsca, postanowiłam odejść, zostań, powiedział Sebastian, ale ja nie chciałam przy nim płakać, i nie płakałam w szpitalu, kiedy Percival wydał z siebie skowyt, zupełnie jak zając, który czuje na karku gorący oddech psa i płacze jak człowiek albo bardziej niż człowiek, nie odchodź, bo ciemność ogarnia moje oczy, a chcę iść za tobą, wzięłam go za rękę, jeszcze raz krzyknął i pies śmierci zagryzł go w jednej chwili, nie męczył się, powiedział lekarz, przynajmniej nie męczył się, a ja zapytałam, więc dlaczego krzyczał jak zając, czy pan kiedykolwiek uciekał, czując na swoim karku gorący oddech śmieci? i co pan nazywa cierpieniem? przecież może boleć bez bólu, we śnie, kiedy tylko śnimy ból, a to jest najgorsze, jak przepowiednia, która musi się spełnić, nie pamiętam ich twarzy, tak mi było pisane, żeby odchodzić w mrok w samotności, choć zawsze mi przyrzekali do końca życia, Pułkownik od tego zaczął, do końca życia, pani Wandeczko, i strzelił obcasami jak na garnizonowym raucie przed wojną, nie pamiętam twarzy, wiem, że uśmiechał się, duży, z wielkimi dłońmi, barczysty, i wciąż nadszakiwał, czy pan smali do mnie cholewki, pułkowniku? zachichotałam, zdenerwował się, przecież ja chciałabym do końca życia, tylko z panią, i potem siedzieliśmy w Waldorff-Astoria z jego wujkiem, proboszczem z jakiejś wiochy, którego wojna zagnała na drugi kraniec świata, i znów mówił, pani Wandeczko, ksiądz prałat i Bóg mi świadkami, że na zawsze, inaczej sobie życia nie wyobrażam, kupimy ziemię, ogród, mam odłożone pieniądze, może dzieci przyjdą na świat, wychowamy je zdrowo, na ułanów, ksiądz prałat zaczął sapać z przejęcia, ja przeniosłam spojrzenie w stronę kontuaru recepcji, przy którym stał Albert Einstein, i mówię do Pułkownika, że Einstein tam stoi, no i co z tego? pyta Pułkownik, żaden Żydek nam nie przeszkodzi, a jak spróbuje, to za kark parcha wyprowadzę, ksiądz roześmiał się, z czego ksiądz się śmieje, to wielki fizyk, co mu tam fizyk, rozochocił się klecha, nasz pułkownik weźmie za kark i wyrzuci, a ksiądz to bawi, zapytałam, przecież jak Żyd, to pewnie kuzyn Jezusa, krewny Najświętszej Panny, nie uczyli cię, wsiowy głupku? Pułkownik zbladł, jakże tak można, pani Wandeczko, łzy mu się pokazały w kącikach oczu, ktoś napisał, że Polacy wysysają nienawiść do Żydów z mlekiem matki, a to nie tak, oni rodzą się w strachu przed przecięciem pepowiny, bo wiedzą, że na świecie

pada deszcz i grad, chcieliby wrócić do środka, tam gdzie ciemne ciepło wód płodowych, ale nie można, i męczą się własnym lękiem i niepewnością, bo mają poczucie, że w tym lęku są gorsi od innych, słabsi, mniej przystosowani i im bardziej to czują, tym bardziej tak jest, a im bardziej tak jest, tym głośniejszą udają odważnych, i płaczą po nocach z tęsknoty za mateczką, a nad ranem ćwiczą przed lustrem bohaterskie miny, pozy i gesty, biedny żołnierz-samochwał, który pojawił się, że świat spogląda na niego ze sceptycznym uśmieszkiem, bo jakże inaczej traktować samochwał, dochodzi do wniosku, że taką mu rolę przypisano odwiecznym wyrokiem, pół błazna, pół bohatera, szarmanckiego głuptasa, zadzierzystego ułana, i gra ją z samozaparciem, choć chciałby inaczej, chciałby jak inni i im zazdrości, a że nie może się do tego przyznać, więc zaczyna gardzić samym sobą i jeszcze bardziej się bać, a nad tym wszystkim Bóg nieskończony i żydowski uśmiecha się do Einsteina, rozmawia z nim o Swoich tajemnicach, pani Wandeczko, proszę o wybaczenie, Pułkownik stał w progu mego pokoju z wielkim bukietem róż, niech pani nie odtrąca starego wiarusa, taki już jestem, i pozwoliłam mu wejść, a kiedy zapamiętał się w rozpędzie, od którego odpoczynek jest tylko w półśmierci, i przygarnęłam go mocno nogami, poczułam straszny ból, po prostu dysk mi wypadł! wada kręgosłupa, i wyjąc z cierpienia, podniosłam oczy, na jego twarzy rysował się triumfalny uśmiech czulego zwycięzcy, znów zawylałam z bólu, uśmiech nagrodzonego kochanka, ofiarodawcy miłości tak wielkiej, że wystarczy dla nas dwojga do końca życia albo i na dłużej, choć we mnie była tylko litość, więc musiałam z nim zostać na całe jego życie, do końca...

Włochaty stracił przytomność i spadł z krzesła. Koniec taśmy.

Wisielec Lew Słowik wyłączył wideo.

– Telepatia... – zastanowił się. – Wierzy pan w to?

– Nie wierzę.

– Pan ją znał?

– Kogo?

– No... tę kobietę?

– Chyba tak – powiedziałem po chwili milczenia. – Tak mi się wydaje.

Lew Słowik stanął przy oknie. Nie widziałem jego twarzy.

– Ona pojawiła słońca – powiedział cicho i zaszlochał.

Wyszedłem z pokoju. W hallu stał szczerzący kły, groźnie warczący i wypchany owczarek kaukaski o imieniu Wania. Pogłaskałem go. Machnął ogonem i otarł się o moje kolana.

– No co, pieseczku...

Położył się na grzbiecie, uniósł łapy do góry. Podrapałem go po gorącym brzuchu. Podniósł łeb i liznął mnie w policzek.

– Dobry wieczór – usłyszałem w słuchawce głos Alfreda L. Wrinkle'a. – Tu mówi Alfred L. Wrinkle. Mam nadzieję, że pana nie obudziłem.

– Dobry wieczór, panie Wrinkle.

– Telefonuję w związku z prośbą Wendy.

– Słucham.

– Prosi, aby pan zniszczył jej listy.

– Prosiła, bym je opublikował. Uważam, że są cennym dokumentem i zamierzam...

– Teraz prosi, aby pan je zniszczył... Myślę, że to jej ostatnia prośba.

– Nie rozumiem.

– Jest chora i obawiam się, że ma niewielkie szanse. Rak. Przerzuty. Sprawa dni. Prosiła, żeby powiedzieć. Przykro mi.

– Rozumiem.

– Przykro mi – powtórzył Alfred L. Wrinkle. – Żałuję, że nie mogłem z panem porozmawiać w Warszawie.

– Też żałuję.

– A tak przy okazji, czy pański lokaj... Czy pan mu ufa?

- Lokaj?
- Dziwny człowiek.
- Nie odnoszę takiego wrażenia.
- Wręczyłem mu butelkę whisky. Dla pana. Ale godzinę później widziałem go pijanego na lotnisku. Obawiam się...
- Butelkę whisky? Czy pan sądzi, że ją wypił?
- Przykro mi – powiedział Alfred L. Wrinkle. – W dzisiejszych czasach trudno o dobrą służbę.
- Bardzo trudno – odpowiedziałem. – Porozmawiam z nim. Dziękuję za ostrzeżenie.

Zgaśnij, świeco.

Nie ma co siedzieć w ciemnościach pustego mieszkania, w chłodzie, który pełźnie po stopach i dłoniach, skrada się ku sercu, powoli, niepowstrzymanie. Nie ma co czekać. O tej porze nikt już do mnie nie przyjdzie. I nie ma co wierzyć w nadejście brzasku, bo to nie jest sprawa wiary, ale obliczalnych obrotów ciał niebieskich.

W hotelu przynajmniej było ciepło.

Stary mężczyzna w przybrudzonym smokingu wycierał kontuar baru.

– Pamięta mnie pan? – zapytałem po wypiciu pierwszej wódki.

Spojrzał na mnie wyblakłymi oczyma z czerwonymi obwódkami. Zastanowił się.

– Pamiętam.

– Na pewno?

– Ja wszystkich pamiętam, ale lepiej się nie przyznawać.

– Trzydzieści lat temu, w sierpniu, kiedy pierwszy człowiek lądował na Księżycu, przyszedłem tutaj z piękną dziewczyną.

Pokiwał głową.

– Szmata czasu.

– Byłem zakochany. I dumny z tego zakochania.

– Szmata czasu – powtórzył.

– Zamówiłem dla niej gin z tonikiem, dla mnie wódkę, a pan zażądał okazania dowodu osobistego.

– Pamiętam – uśmiechnął się. – I co było dalej?

– Zaczerwieniłem się ze wstydu. Wyjąłem dowód. Pan sprawdził, dokładnie, podejrzliwie, i powiedział do barmanki, żeby mi nałała dziewiątkę.

– Mogłem tak powiedzieć... – zgodził się.

– Nie setkę, nie pięćdziesiątkę, nie musztardówkę, nie literatkę, ale dziewiątkę.

– Tak się mówi.

– Minęło dziesięć lat. Znow przyszedłem z dziewczyną. Znow byłem zakochany. Znow był gin z tonikiem dla niej...

– A dla pana wódka, pamiętam!

– Dziewiątka wódki, znow tak pan powiedział. Wtedy zapytałem, co to znaczy „dziewiątka”.

Dlaczego tak się nazywa? A pan zaśmiał się, że to dziecinnie proste, dziewiątka dlatego, że z litra wychodzi trzydzieści sześć kieliszków. Wróciłem do domu i zacząłem liczyć. Litr ma tysiąc centymetrów sześciennych. Tysiąc dzielone przez trzydzieści sześć równa się dwadzieścia siedem i siedemdziesiąt siedem setnych. Trzydzieści sześć razy dziewięć równa się trzysta dwadzieścia dwa...

– Trzysta dwadzieścia cztery – poprawił mnie barman.

– Dobrze, trzysta dwadzieścia cztery, ale to nie ma znaczenia...

– Dla mnie ma – powiedział barman. – Dolać?

– Za chwilę... Niech mi pan powie, gdzie tu miejsce dla dziewiątki? Dwadzieścia lat o tym myśle.

– Ale dzisiaj sam pan przyszedł – zamyślił się. – Dwadzieścia lat. Szybko minęło.

– Więc jak będzie... Powie pan?

Barman wyszedł na zaplecze. Kiedy pojawił się powtórnie, poprosiłem o następną wódkę i rachunek. Duży rachunek. I reszty nie trzeba.

– Z dziewiątką to jest niby tak, że... – nachylił się nad barem – ale co tu gadać.

– Dlaczego nie?

Zaczął przestawiać szklanki.

– Niech pan powie, dlaczego nie? – zapytałem ponownie.

– Dziewiątka z tej przyczyny, że z litra wychodzi trzydzieści sześć kieliszków – powiedział dobitnie. – Każdy ma taką myśl, która jest tylko jego. Z nią żyje i z nią chce umrzeć... I nikomu nie wyjawia. Ja mam dziewiątkę.

Zamówiłem butelkę, zapłaciłem z góry i czekam, pijąc powoli.

Może mi jednak powie?

Może się zlituje?

A jeśli nie, to dosiedzę do brzasku.

Potem trzeba będzie wracać do domu.

WIARA

Powaga osób i instytucji uwikłanych w te niezwykle zaiste wydarzenia nakłada na sprawozdawcę szereg obowiązków, pośród których wyróżnić należy takie, jak: przejrzystość słowa, w tych przynajmniej fragmentach, w których materia na to pozwala, a pozwala niechętnie; roztropna odwaga, dzięki której opis, stroniąc od szczegółów o charakterze nieobyczajnym lub zgoła gorszącym, nie odebrałby jednak całości przynależnych jej jaskrawych barw; i ostrożność wyrokowania – dowody bowiem są niekompletne i słabe, a nadzieja na ich uzupełnienie żadna, chyba że stanie się cud, który z góry winniśmy wykluczyć, jako że dotyczyłby on wyjaśnienia i ludzko-racjonalnego „sprowadzenia na ziemię” innego cudu, a zatem przeciwko tamtemu właśnie cudowi sprzed trzystu sześćdziesięciu siedmiu lat byłby skierowany, a przynajmy, że takich cudów nie ma, choć z drugiej strony, z niepojętej istoty cudu wynika, że niczego nie da się wykluczyć, niczego! – tak wierzmy, choć trudno uwierzyć – niczego!

*

Przystępując do dzieła, sprawozdawca pragnie zwrócić uwagę na trudności związane z rekonstrukcją wydarzeń, jakie za sprawą Mikołaja Piusa Sapiehy (ok. 1581–1644) doprowadziły do umieszczenia w kaplicy kodeńskiego zamku obrazu przedstawiającego Madonnę z Dzieciątkiem na lewej ręce i z berłem w prawej, który to obraz – wedle tradycji – jest namalowaną na polecenie papieża Grzegorza Wielkiego kopią figury Madonny z Gwadelupy. Tą figurą, jak wiadomo, papież Grzegorz I nagroził Leandra, biskupa Sewilli, za zasadnie bezlitosne trzebieenie arianizmu.

Leksykon Miejsca święte (Kraków 1997) podaje, że „właściciel Kodnia, Mikołaj Sapieha, podczas pielgrzymki do Rzymu doznał uzdrowienia po Mszy św. odprawianej przez papieża Urbana VIII przed (...) cudownym obrazem. Wdzięczność pątnika za doznanie łaski objawiła się w sposób szczególny. Ponieważ nie uzyskał zgody papieża na wywiezienie obrazu, postanowił go wykraść”.

Zofia Kossak-Szczucka w popularnej Błogosławionej winie (w pierwszej redakcji powieść nosiła tytuł *Beatum scelus*) twierdziła, że Mikołaj Sapieha udał się do Rzymu w nadziei doznania łaski uzdrowienia – co też się stało w bezpośredniej bliskości i pod wpływem obrazu Madonny. I że Mikołaj Sapieha, przejęty magicznym pięknem wizerunku Maryi z Dzieciątkiem oraz własnym uzdrowieniem, przekupił zakrystiana oratorium Jego Świątobliwości, niejakiego Baptystę Corbino, ten zaś wyniósł obraz z watykańskiej kaplicy. I że z chwilą wykrycia kradzieży Corbino przyznał się do wzięcia pieniędzy od Sapiehy i wydania mu obrazu. I że Sapieha, doświadczony, przebiegły żołnierz, umknął zbrojnej pogoni. I że papież Urban VIII obłożył pana na Kodniu wieczystą kłatwą. I że jakkolwiek Sapieha grzeszył przeciw Bogu z jasną świadomością i zarazem przy swej całkowitej zgodzie, to jednak późniejszy, wynikający z planu Opatrzności obrót spraw uzasadnia użycie pojęcia *beatum scelus*, które winie wielmoży (a też i karze mu wymierzonej) nadaje wyższy, usprawiedliwiający, dziejowo-sakralny, a także i polityczny wymiar. Wedle bowiem opracowań dewocyjnych z XVIII i XIX w., z których Zofia Kossak-Szczucka ufnie i z entuzjazmem korzystała, przygotowując się do pisania Błogosławionej winy, przywieziony do Kodnia obraz jał rychło powodować cudowne uzdrowienia wśród wiernych wywodzących się z pospółstwa, sam zaś Mikołaj Pius Sapieha, „wyklęty przez Kościół i za zmarłego uznany”, zyskał w 1634 roku miano Obrońcy Wiary, zrywając Sejm i uniemożliwiając przez to królowi zawarcie gorszącego małżeństwa z luteranką, co od swych heretyckich zabobonów odstąpić nie chciała.

„Opowieść jest najzupełniej autentyczna – pisała Kossak-Szczucka w przedmowie do Błogosławionej winy – oparta na licznych współczesnych dokumentach (...) Nie lada zatem gratką dla pisarza katolickiego staje się fakt autentyczny, udokumentowany, dostatecznie dawny, by wynik był przez historię osądzony i podsumowany, fakt, którego uczestnicy nie byli świętymi bynajmniej, a w którym, jak to ma miejsce właśnie w dziejach Mikołaja Sapiehy, miłosierdzie Boże kreśliło swe ściegi niemal widoczne na powierzchni doczesności”.

Sprawujący opiekę nad sanktuarium kodeńskim oo. oblaci czczą Sapię jako fundatora obrazu i kościoła, dodając, że jakkolwiek rzecz jest beatum, to wiąże się jednak ze scelus, czynem o charakterze przestępczym, bezbożnym, zgoła zbrodniczym. „Beatum scelus 15 września 1631” – brzmi więc podpis pod wizerunkiem Sapię na medalu bitym przez oo. oblatów w 1987 roku. Cóż jednak – zapytajmy – przestępczego i bezbożnego, a w swych dalekosiężnych skutkach błogosławionego dokonało się w Kodniu 15 września 1631 roku?

Wedle wiarygodnych źródeł tego właśnie dnia Mikołaj Sapię w obecności duchowieństwa i licznie zgromadzonych wiernych uroczyście, z fanfarami i wystrzałami armatnimi wprowadził obraz Matki Bożej z Gwadelupy do zamkowego kościoła. Nie ma tu zatem miejsca dla scelus.

Jednakże pielgrzym przekraczający próg bazyliki kodeńskiej dowiaduje się z broszur wydanych przez oo. oblatów, że Sapię „wykrał z kaplicy prywatnej papieża na Watykanie obraz Matki Bożej Gwadelupeńskiej, przed którym został cudownie uzdrowiony (...) Za swój czyn zostaje ekskomunikowany przez papieża Urbana VIII. Za zasługi dla kraju i dla Kościoła po trzech latach papież wycofał ekskomunikę i oficjalnie podarował obraz Sapię”.

Odminną wersję przedstawia Andrzej Tłomacki w monografii Sapię. Linia kodeńska (Warszawa 1996), opartej na źródłach z archiwów państwowych i kościelnych, w tym z zasobów Archiwum Diecezjalnego w Siedlcach oraz Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych. Wedle badacza – a wbrew liczny publicystom konfesyjnym – „powielona już od wielu wieków informacja o kradzieży przez Sapię obrazu z Watykanu nie znajduje potwierdzenia w najnowszych badaniach”. Nie wspominał o niej w raporcie słałym na ręce kardynała Barberiniego (zdaniu sprawy z nuncjatury z 15 lipca 1636 roku) nuncjusz papieski arcybiskup Visconti, a przecieź niewątpliwie kradzież obrazu będącego własnością papieża oraz ekskomunikowanie sprawcy – chorążego Wielkiego Księstwa Litewskiego, starosty żeźmorskiego i mołczackiego, a później wojewody mińskiego i wojewody brzeskiego – winny zapewne przyciągać uwagę zarówno autora raportu, jak i jego adresata. Pisze dalej Tłomacki:

„Już w ciągu pierwszych kilku lat pobytu obrazu w zamku kodeńskim rozchodzić się zaczęły po całym województwie brzeskim litewskim pogłoski o cudach uzdrowienia, jakich doznawano, modląc się przed obliczem Matki Boskiej. Mikołaj Sapię, chcąc udostępnić szerszej masie wiernych dostęp do obrazu, postanowił przenieść go do kościoła parafialnego. Obraz przeniesiono do drewnianego kościoła św. Anny 8 stycznia 1636 roku. Uroczystościom przewodniczył biskup łucki ks. Bogusław Radoszewski (...) Około 1640 roku zakończono wstępny etap budowy murowanej świątyni, także pod wezwaniem św. Anny. Do tak już przygotowanego kościoła Mikołaj Sapię uroczyście wprowadził obraz. Od tej chwili jego stałym miejscem była prawa boczna kaplica”.

Wątpliwe są teź przekazy, jakoby Sapię zerwał Sejm w 1634 roku, i to z pobudek natury wyznaniowej.

W tych okolicznościach Andrzej Tłomacki konkluduje:

„... jest bardzo prawdopodobne, że Mikołaj Sapię przywiózł do Kodnia zakupioną we Włoszech wierną mniej lub bardziej kopię Madonny de Guadelupe (...) wysunięte przeze mnie wątpliwości nie są w stanie i tak w niczym umniejszyć ogromnych wartości sakralnych obrazu (...) Śmiem twierdzić, iż Zofia Kossak-Szczucka nieświadomie wprowadziła w błąd wielbicieli swojego pisarstwa, jak i rzesze pielgrzymów rokrocznie nawiedzających kodeńskie sanktuarium”.

*

Sprawozdawca dobrze zna Kodeń. Nieraz przed wizerunkiem Matki Bożej doznawał ukojenia duszy, którego nie sposób zapomnieć i nie sposób wysłować; potem przez bujne trawy przylegające do ziemi za sprawą częstych tu podmuchów zachodniego wiatru kierował się ku brzegom Bugu i patrząc w leniwy nurt rzeki, wracał, a przynajmniej starał się wrócić pamięcią do tego, co tkliwie doświadczone i boleśnie niepojęte, aż nadchodziła ciemność przydająca otuchy samotnemu istnieniu, ciemność jak nieme objęcia matki, jak dotyk jej szorstkich dłoni i ledwie wyczuwalne ciepło

oddechu; także w wieku dojrzałym prowadził przed ukoronowane oblicze Madonny swoją córeczkę. Znając więc dobrze Kodeń, zna też rozliczne wersje legendy o błogosławionej winie Mikołaja Sapiehy, którymi, nie wnikając w różnice, bo te są mało ważne, rządzi motyw miłosnego oddania o tak ogromnym napięciu, że może się ono wyartykułować tylko i jedynie w akcie gwałtownym, niekiedy naruszającym uznane normy obyczajowe, nawet przestępnym i wystawiającym się na karę sprawiedliwą, a przecież niezasłużoną. Tak chce to widzieć legenda przekazywana z ust do ust, z ojca na syna, z doświadczenia na doświadczenie, w których czystość duszy jest ceną, jaką trzeba zapłacić za rozpacz miłości.

Dodajmy jednak, że sprawozdawca, prawnik wykształcony przed półwiekiem w katolickich uczelniach, często stający w obronie i ku pomnożeniu doczesnych dóbr Kościoła, zna dobrze pokrętnie ścieżki ludzkiej myśli, która dla władzy, zysków, dla splendorów i światowej chwały gotowa jest wszystko usprawiedliwić i wszystkiemu zarazem zaprzeczyć. Jest prawdą, że papież Urban VIII chętnie posługiwał się ekskomuniką jako instrumentem w sprawach natury politycznej i militarnej, a dla powiększenia dochodów swego – Barberinich – rodu gotów był na wiele, z odwołaniem ekskomuniki włącznie. Jednakże byłoby nieroztropnością wykluczać, że scelus to wymysł augustianów z Brześcia Litewskiego, którzy w przemożnej chęci zdobycia ziem sapieżyńskich graniczących z klasztorami Kostomłotami chętnie posługiwali się obmową i fałszywym świadectwem. Wielką w istocie była zaciekłość, pycha i żebracza pazerność braci augustianów, bo spór z panami na Kodniu toczyli przez sto albo i więcej lat, a jego pokłosie przetrwało kasatę polskiej prowincji zakonu. Zatem po namyśle, w którym pamięć wieczorów nad brzegiem Bugu, szelestu traw i śmiechu małej dziewczynki z jasnymi warkoczykami nie przesłania prawdy faktów w kształcie nadanym im przez zachowane dokumenty, sprawozdawca gotów byłby uznać, że nie było ani kradzieży, ani kary, ani nagrody, a tajemniczy obrazu nie da się tłumaczyć tak, jak to dotąd czynili bezkrytyczni wyznawcy legendy, albo też że kradzież nigdy nie została ukarana, bo rzecz leży nie w winie, lecz w zasłudze, której tajników ludzkie pomieszanie oraz złośliwa małość odsłonić nie chcą i nie umieją.

*

Sprawozdawca czuje się tedy w obowiązku przedstawić osądowi czytelników fragmenty publikowanych oraz niepublikowanych dotychczas prac doktor Elżbiety Kodeńskiej (1952–1980), zmarłej tragicznie w wieku lat dwudziestu ośmiu absolwentki uniwersytetu w Bolonii, która krótką, a przecież niezwykle owocną działalność naukową poświęciła losom Mikołaja Sapiehy w związku z obrazem Maryi.

Doktor Elżbieta Kodeńska obdarowana była nie tylko instynktem poznawczym, charakteryzującym wybitnych historyków, ale też i wysokimi umiejętnościami polemicznymi. Dała temu wyraz w jednej ze swych prac wcześniejszych (Czy kardynał Barberini oszukał Mikołaja Sapiehę? Przyczynek do sceny rozmowy kard. Barberiniego z M. Sapiehą w powieści Zofii Kossak-Szczuckiej pt. „Błogosławiona wina”, Biuletyn Akademickiego Klubu Historycznego nr 2/1, Warszawa 1973).

Tematem rozważań Autorki była wiarygodność dokonanego przez Kossak-Szczucką opisu rozmowy kardynała Francesco Barberiniego z Sapiehą. Przypomnijmy: po Mszy św. odprawianej przez papieża Urbana VIII, Mikołaj Sapieha, wpatrując się w wizerunek Matki Bożej z Gwadelupy, doznał nagłego uzdrowienia z nekającej go od szeregu miesięcy ciężkiej choroby. W czasie audjencji u papieskiego nepota kardynała Barberiniego uparczywie prosił o podarowanie obrazu. W odpowiedzi Barberini zaoferował mu szereg relikwii, takich jak palec św. Tomasza, zęby św. Wincentego i kostka z ramienia św. Łucji, stanowczo odmawiając dalszej dyskusji na temat przekazania wizerunku Madonny w ręce Sapiehy. Wedle Kossak-Szczuckiej wypowiedź Barberiniego brzmiała następująco:

„... św. Łukasz Ewangelista, kunsztem malarskim i rzeźbiarskim obdarzony, pozostawił kilka cudownych wyobrażeń Najświętszej Panny (...) Ostatnim wizerunkiem była duża, ludzkiej wielkości statua (...) przybyła do Rzymu w 585 roku (...). Papież Grzegorz Wielki kazał wymalować najwierniejszą kopię posągu. (...) Jego wykonanie zlecił opatowi benedyktynów, św. Augustynowi, późniejszemu apostołowi Brytanii. Augustyn nie był malarzem (...), zlecenie papieskie przyjął przez posłuszeństwo i gorąco się modlił o umiejętności (...), świadkowie opowiadali, że św. Augustyn, malując, miał oczy zamknięte, a jakaś niewidzialna siła posuwała dłoń jego po płótnie. W ten nadprzyrodzony sposób w ekstraordinaryjnie krótkim czasie powstał przedziwny obraz Madonny. (...) Bóg nie zwlekał z okazaniem, że łaski przywiązane do posągu przelał na obraz według niego namalowany (...) Roku Pańskiego 601 wybuchła w Rzymie zaraza morowa, złośliwsza niż wszystkie, jakie pamiętano (...) O owym czasie bardzo już sędziwy papież Grzegorz Wielki (...) z obrazem Madonny ruszył procesjonalnie wokół zapowietrzonego miasta (...), kto żyw, szedł za Matką Bożą (...) Gdy procesja dosięgła grobowca Hadriana, ujrzeni wszyscy obecni Anioła stojącego na szczycie i miecz ognisty, miecz gniewu Bożego, chowającego do pochwy. Od tej godziny ani jeden człowiek nie padł od zarazy”.

W dalszej części rozmowy Barberini proponuje Sapiesz wykonanie kopii obrazu, a więc kopii kopii, sugerując, że łaska udzielona pierwszej kopii stanowi rękojmię, że analogiczny cud może się powtórzyć w odniesieniu do kopii drugiej.

Sapieha nie godzi się na takie rozwiązanie.

W jakiś czas potem namawia zakrystiana Corbino do kradzieży obrazu. Po otrzymaniu płótna ucieka z Rzymu.

W eseju Czy kardynał Barberini oszukał Mikołaja Sapię? Elżbieta Kodeńska, wówczas studentka drugiego roku, wytknęła Kossak-Szczuckiej szereg omyłek, a w tym m.in. błędne („rażący anachronizm”) przypisanie św. Łukaszowi Ewangelistcie autorstwa bizantyjskiego posągu Maryi i niczym nieuzasadnione twierdzenie, jakoby malarska kopia posągu była dziełem św. Augustyna z Canterbury. Ponadto Kodeńska przypominała, że do związanej z zarazą procesji i ukazania się anioła z ognistym mieczem doszło nie w 601 roku, lecz jedenaście lat wcześniej, bez zauważalnego wpływu na naturalny cykl wybuchu i ustępowania epidemii.

Młoda badaczka zwróciła też uwagę na „nazbyt łatwy i pośpieszny sposób”, w jaki Kossak-Szczucka tłumaczy na stronicach swej powieści tajemnicze oddziaływanie malarskiego wizerunku na Sapię. Każdy, kto jako tako przyglądał się obrazowi Matki Boskiej Gregoriańskiej (późniejszej Kodeńskiej), wie, że namalowany został nie z zamkniętymi, lecz z otwartymi oczyma, przez kogoś, kto świadom był swych malarskich możliwości, a przede wszystkim – swych ograniczeń. „Różnice między posągiem Madonny z Guadelupe i kopią malarską są uderzające, tak jakby jej autor chciał nam przekazać, że w obliczu majestatycznego piękna rzeźby może być tylko niezręcznym, pozbawionym talentu kopistą”. Siły duchowego promieniowania sztuki nie mierzy się miejscem twórcy w hierarchiach niebiańskich, lecz wibrującym napięciem, które niekiedy rodzi się pomiędzy dziełem i odbiorcą wyczekującym i zgłodniałym znaku miłości, współczucia, grozy lub nadziei.

„Tajemnica cudu zawarta jest w ludzkich sercach – pisała Elżbieta Kodeńska. – W sercu autora i w sercu odbiorcy. Bóg nie dyktuje rozwiązań. Bóg tworzy przestrzeń spotkania. Wiedział o tym kardynał, właściciel sławnej kolekcji dzieł sztuki w pałacu przy Quattro Fontane. Wiedział też i Mikołaj Sapieha, którego autorka Błogosławionej winy opisuje jako prymitywnego, nieobytego szlachciurę ze skłonnością do fanatyzmu, podczas gdy w istocie był człowiekiem tolerancyjnym, dobrze wykształconym i, co najważniejsze, obdarzonym smakiem artystycznym”.

Do tematu rozmowy kardynała Barberiniego z Sapię powróciła Elżbieta Kodeńska w pracy Kardynał i magnat. Dwie strategie dialogu, napisanej w Bolonii w 1979 roku. Dzieło to, będące

wynikiem żmudnych a odkrywczych badań archiwalnych, odtwarza szczegóły pobytu Mikołaja Sapiehy w Rzymie wiosną 1631 roku.

Wydobywając na światło dziennie dokumenty i świadectwa współczesnych, młoda badaczka udowodniła, że na św. Prudencjusza strudzony podróżą Sapieha zatrzymał się wraz z liczącym dwadzieścia osób orszakiem w gospodzie „Fortuna di Vienna”. Opuścił ją w nocy, oburzony śmiechem, piskami i wrzaskami dobiegającymi z komnat, w których pewien popularny w Rzymie prałat obchodził swe trzydzieste szóste urodziny w towarzystwie trzydziestu sześciu cortigiana onesta.

Za radą przewodnika ruszył ku lubianej przez Polaków gospodzie „Orso”, tam wszakże był tłok, a grupa polskiej młodzieży natrętnie namawiała go do wzięcia udziału w biesiadzie, ostatecznie więc zatrzymał się w „Purgatorio”, gdzie była cisza i nie znalazłbyś ani jednego pijanego pątnika. Rano na św. Afrahata doznał bólu głowy i innych słabości. Ksiądz (kapelan) towarzyszący Sapiesze posłał tłumacza- -przewodnika (niejakiego Luppolo z Mediolanu) po pomoc. Sprowadzony medyk (Francesco Grazzini) postawił pijawki, radził też brać w godziny parzyste chłodne okłady na głowę, a ciepłe na nogi, w godziny zaś nieparzyste ciepłe na głowę i chłodne na nogi, oraz pić wino zmieszane z utartą wątrową mureny, po którą trzeba było słać umyślnego do Ostii.

Pod wieczór kapelan, stroskany przygnębieniem rysującym się na twarzy Sapiehy, dopuścił przed jego oblicze jednorękiego Cesare Pasqualiniego, właściciela przybyłej z Neapolu trupy aktorskiej. Tu badaczka przedstawia świadectwo tłumacza-przewodnika Luppolo (dotychczas znane historykom jedynie z fragmentów cytowanych w pamflecie *Traites singuliers et nouveaux contre le paganisme culturelle* par S.M.B., Paris 1682):

„Cesare Pasqualiniego zwano Wielki Nochal lub Trzy Nogi, z podziwu dla jego pudendów nadnaturalnej wielkości. Był to wielki łotr. Za młodu franciszkanin, potem rzucił zakon i zaciągnął się do wojska saskiego, gdzie stracił rękę w pijackiej burdzie. Widywałem go często z aktorami i grajkami w lupanarach na Zatybrzu.

Stanąwszy przed obliczem Księcia, wygłosił mowę, która poruszyła przybyszów z dalekiej Polonii, mnie przyprawiając o śmiech z trudem skrywany. Książę, biegły w łacinie i niemieckim, nie znał rzymskiego dialektu i prosił o pomoc. Rzecz więc Pasqualini, ja zaś tłumaczę:

– Słyszac, że do naszego miasta sławny wódz polski, Saracenów i Tatarów pogromca zawitał, ja, ubogi żołnierz Cesare Pasqualini, który postradał rękę w potrzebie wojennej, przychodzę złożyć swój hołd i wyrazy uszanowania. Los oddał pod moja opiekę grono dziewic cnotliwych i świętobliwych młodzianków, którzy niegdyś z domostw swoich przez Turków-pogan porwani, wielkich doświadczyli cierpień, a wykupieni z niewoli, na chleba kawałek zarabiają, w pocie czoła przedstawiając wzniosłe, przerażające, a niekiedy ucieszne obrotы swego życia w theatrum przeze mnie ułożonym. Theatrum owo dzieli się na części, aktami zwane. Po pierwsze –Domowe Szczęście. Po wtóre –Napad Pogan i Porwanie. Po trzecie –Nieszczęścia Młodzieńca i Łzy Dziewicy w pogańskiej Niewoli. Na koniec Apotheosis – Wykupienie i Wolność. Tuszę, że zechcesz JW Książę theatrum moje odwiedzić, a znajdując zadowolenie, szcudrobliwie, jak to w Twym sławnym na cały Rzym zwyczaj, wynagrodzisz nasze wysiłki służące oświeceni Luđu Bożego.

Zrazu Książę był niezbyt chętny, ale po naleganiach Kapelana oraz dzielnego szlachcica imieniem Januariusz, którzy ze wszystkich sił chcieli melancholię od swego pana odgonić, uśmiechnął się gorzko i szydlerzo.

–Theatrum ci się zachciewa, klecho?

– Ja tylko zamyślam melancholię od JW Księcia odgonić – odrzekł na to Kapelan i spojrział na Januariusza, spodziewając się odeń pomocy, lecz ten przebiegle milczał, mając, jak mniemam, coś zupełnie innego na myśli.

Książę jeszcze raz zaśmiał się gorzko i szydlerzo, kazał przywołać lektykę i ruszyliśmy do miasta w otoczeniu sześciu zbrojnych.

Towarzyszył nam też medyk Grazzini, który Księciu wielce przypadł do gustu.

Dzielny szlachcic Januariusz miał chytre niebieskie oczka, siworudą brodę i brzuch ogromny, wzbudzający zaciekawienie niewiast czekających chętnie-zasobnego miłośnika. Dowiedziawszy się, że ceny ladacznic są wygórowane, jak to zwykle bywa na wiosnę, gdy do Rzymu zaczynają sphywać tłumy spragnionych pańników, Januariusz zasmucił się, jał trzaskać zakrzywioną szablą, sapać, wreszcie na głos nazywać niewiasty pomiotem diabelskim, bramą Piekieł i kurwisonami francowatymi, te zaś odwzajemniły się mu piosenką:

Rośnie brzusio,
leży kusio...

W theatrum Księżę zasiadł w podsunętym mu przez Pasqualiniego rzeźbionym fotelu, medyk Grazzini na prostym zydlu po prawej stronie, Kapelan i Januariusz po lewej, ja zaś z tyłu, za Jaśnie Wielmożnym, jak tłumaczowi wypada. Za nami stali zbrojni.

Pasqualini odstłonił kurtynę i składając głęboki ukłon, wykrzyknął:

– Domowe Szczęście, pogodna Młodość, która upływa na modlitwie i myślach wzniosłych!

Na scenie pojawiła się grupa umalowanych Młodzianków i Dziewic w luźnych opończach. Dłonie mieli złożone do modlitwy, oczy wzniesione ku niebu. Na ich twarzach rysowały się łagodne uśmiechy dorastających aniołów. Młodziankowe szli po prawej stronie, Dziewice po lewej, następnie Dziewice przeszły na prawo, Młodziankowe zaś na lewo. W końcu wzięwszy się za dłonie, utworzyli koło i zaczęli pisać w takt muzyki. Wtedy Pasqualini znów ukazał się na scenie i wrzasnął:

– Napad Turków, gwałcicieli saraceńskich!

W rzeczy samej na scenę wbiegli groźni Saracenowie i z okrzykiem «Ałła-ałła! ałła-ałła!» Młodzianków bili knutem po plecach i głowach, a piszczące Dziewice powalili na ziemię. Sapieha na to (każąc mi tłumaczyć) zwrócił się w prawo do medyka Grazziniemu i patrząc mu w oczy, mówi:

–Theatrum owo prawdziwe, a rzekłbym nawet, że bardziej jak prawdziwe. Samo życie przez nie przemawia. Pamiętam, nieopodal Chocimierza A.D. 1624 roku Kantemir ze swoją ordą wszystkie szlachcianki i niewiniątka tak właśnie, za włosy i na ziemię rzucał, a potem na arkan i do niewoli. My tymczasem ruszamy z odsieczą. Potem jak się szło, to krew spod butów tryskała. Dobrze przedstawione! Z natury wzięte!

Księżę dalej opowiadał o swych wojennych przewagach medykowi Grazziniemu, gdy tymczasem na scenie Saracenowie niecznych czynów zaczęli się dopuszczać z płcią odmienną, ale nie tylko, ku wyraźnemu zadowoleniu obnażonych teraz Dziewic i także obnażonych Młodzianków oraz zgorszeniu Kapelana, który krzyknął wniebogłosy:

– Hańba! Na Boga! Zgorszenie sodomskie i hańba!

Księżę przerwał rozmowę z medykiem i pyta:

– A cóż ty, katabasie, za krzyki z siebie wydajesz? Ogłady trochę by się zdało, jako że w theatrum przebywasz, a nie w zakrystii.

Kapelan na to:

– Krzyczę ja, JWKsiężę, bo oni kuśki mają.

– Każdy ma – zaśmiał się Księżę. – Niektórzy nawet czynią z tego pożytek, ale cóż ja z tobą będę o tym dysputy prowadzić. Mają, bo mają mieć.

I zwrócił się do Grazziniemu, by dalej mu opowiadać o wojnie, ale Kapelan mu nie pozwolił, krzycząc, co następuje:

– Nie w theatrum!

– Co takiego? – zdziwił się Sapieha.

– Ale nie w theatrum! – krzyknął jeszcze głośniejszym głosem Kapelan. – Patrz, nieszczęsny! Patrz na te przyrodzenia wielkie a sterczące!

Kiedy Książę zobaczył, co się dzieje na scenie, kazał Januariuszowi i zbrojnym batem aktorów potraktować, a Pasqualiniego natychmiast powiesić, mówiąc mu:

– Za to, coś uczynił, szubienica cię nie minie.

I własnymi rękoma zaczął szykować sznur z pętlą.

– Tu jest theatrum, a nie życie – rzecze na to Pasqualini, puszczając krew z uszu, ust i nosa. – Nie z przymusu przybyłeś do mnie, Książę, lecz z wolnego wyboru.

Książę odpowiedział:

–Theatrum to nie jest, bo nagie białogłowy i nadzy młodziankowie po scenie biegają, by się na członka nadziać, i nijak się to ma do wolnego wyboru.

Pasqualini wykrzyknął wtedy z triumfem:

– Wszak członek jest sztuczny!

– Sztuczny? – zdziwił się Książę.

– Sztuczny! – upierał się Pasqualini. – To dzieło rzeźbiarza, którego ojcu układał rękę sam Michał Anioł. Przyczepia się go aktorowi dla stworzenia iluzji, czyli artystycznego pozoru.

– Mnie kłam zadajesz? – uniósł się Książę, aż mu twarz poczerwieniała. – Oczu nie mam? Przyrodzenia wielkie i siejące zgorzenie! Wisieć za to będziesz, jak amen w pacierzu.

Jednakże Kapelan, nie chcąc dopuścić do najgorszego, pomacał jednego z aktorów i stwierdził per contactus i ad oculos, że w rzeczy samej przyrodzenie jest z drewna, udatnie wyrzeźbione, co też Księciu śpiesznie doniósł.

– A zatem kuśka jest sztuczna... – rzekł po namyśle Książę i zatroskał się. – Ja też udawałem, że cię chcę powiesić. Theatrum jest jak życie, życie zaś jak theatrum, trzeba wszakże jedno od drugiego oddzielać.

Rzucił Pasqualiniemu mieczek ze złotymi skudami i wyszliśmy, a ścigał nas jego krzyk:

– Jestem wolnym człowiekiem! Jestem artystą! Poskarżę się kardynałowi!

Odniosłem wrażenie, że krew, którą puszczał Pasqualini z nosa, ust i uszu, nie służyła stworzeniu iluzji, czyli artystycznego pozoru, ale że szczwany z niego był przechera, to wszystko jest możliwe.

Dodam jeszcze, że dwa lata potem Pasqualini z męską częścią swojej trupy występował w teatrze Barberinich w sztuce Święty Aleksy z muzyką Stefano Landiego i w komedii Chi soffre, sperri, zarobił dużo pieniędzy, z których trzecią część przegrał w kości z mną, trzecią część przepił z włóczącym się po Rzymie angielskim heretykiem i wierszokletą Johnem Miltonem, resztę zaś wydał na dziewczki, zaraził się francą i umarł, ale to nie ma związku z tematem.

Może się mylę, ale wyglądało, że Książę od początku działał z rozmysłem.

Chodziły słuchy, że umyślił był sobie przywieźć z pielgrzymki wyschnięte ciało świętego Juliusza męczennika, senatora rzymskiego, z inskrypcją i lampką, którą ten wielki święty przy modłach zapalał. Pieczę nad owymi szczątkami sprawował kardynał Francesco Barberini, bardzo dumny ze swoich zbiorów i na dodatek zawistny.

Mając więc sprawę do kardynała, Sapieha przyjął zaproszenie od Pasqualiniego, bo ów (co w Rzymie wszyscy wiedzieli) dzielił się zyskami z wszetecznych przedstawień z kasztelanem zamku Świętego Anioła, Taddeo Barberinim. Potem kazał wybatożyć bezrękiego rajfura i straszył go powieszeniem, przewidując, że ten pójdzie ze skargą do padrone. W ten sposób narzucił kardynałowi Barberiniemu styl, porządek i poziom przyszłej rozmowy. Odegrał rolę prostaka, któremu obce są arkana sztuki. Osłabił tym samym czujność kardynała, mistrza fortelu i intrygi. Z drugiej strony suto opłaciwszy pobitego i przerażonego Pasqualiniego, dał Sapieha do zrozumienia, że nie jest mu obca myśl o kompromisie.

Kardynał Francesco Barberini boczył się wtedy na swego brata Antonia, też kardynała, pełen obaw, że ten osłabi jego władzę i dochody, toteż imał się każdej okazji powiększenia majątku. Zawarł więc układ z trzecim bratem, Taddeo, generałem Kościoła, prefektem Rzymu, gubernatorem Borgo i kasztelanem Świętego Anioła. Potem wszyscy bracia się pogodzili, a ich fortuna była tak wielka, że stryj papież zwołał komisję do zbadania jej źródeł.

Wracając do Sapiehy, nazwałbym Księcia człowiekiem mądrym, gdyby nie to, że zbyt często zapadał w przygnębienie. Mówił mi Kapelan, że po opuszczeniu theatrum jego pan przez całą noc wzdychał ciężko i kilka razy zaszlochał, a z oczu tryskały mu łzy. Ja tego nie widziałem, bo wraz z dzielnym szlachcicem Januariuszem udaliśmy się do miasta.

Powiedziano przedtem, że Januariusz był rudobrody, sapiący, wielkobrzuchy i porywczy, a teraz dodam, że choć w podeszłym wieku, z sześćdziesiąt pięć lat mu minęło, to wielka w nim była nie-nawiść do grzechu, w szczególności obżarstwa, opilstwa, cudzołóstwa i sodomii we wszystkich odmianach i równie wielka ciekawość świata, w szczególności obżarstwa, opilstwa, cudzołóstwa i sodomii we wszystkich odmianach. Ponadto był ciężki, co stwierdziłem, pomagając mu wrócić do gospody. Tam padł na ziemię i zasnął, chrapiąc niczym dzika bestia.

Księżę cały poranek spędził w komnacie. Był przy nim medyk Grazzini, ale mnie tymczasem nie wołano, więc przy winie słuchałem opowieści Kapelana o dziwnych sprawach. Twierdził ksiądz, że w dalekiej Polonii mieszkają odmieńce, które nocami, gdy miesiąc sprzyja, nachodzą chaty, krowom odbierają mleko, psują zboże, kobiety rozkoszami nęcą. Zapytałem, czy widział kiedyś takiego odmieńca na własne oczy. Kapelan odparł na to, że odmieńce są niewidoczne dla ludzkiego oka i stąd bierze się ich siła, wszakże jego wuj znał pewnego szlachcica ze starożytnego rodu, który był świadkiem, jak orszak szatański złożony ze stu pięćdziesięciu czterech demonów pędził mór przed sobą. Zapytałem o rodzaj moru, bubonalny czy też płucny, mając w pamięci zarazę mediolańską z A.D. 1625 oraz z A.D. 1629, którym przeżył zdrowo za wstawiennictwem – jak mniemam – św. Torpeta męczennika, ale Kapelan odrzekł, że nie pytał był o to wuja, bo starzec jest słaby na rozumie i głupstwa plecie, sicut jakoby łasica, znalazłszy jamę bazyliuszka, zabija go wonią rozlanego moczu, a woń tego moczu zabija nawet często samą łasicę. Że ja zaś o takiej właśnie naturze łasicy wiem ze sławnego i uczonego dzieła Fiore di virtu che tratta i vitti humani et come si deve aquistare la virtu, więc dojść musiałem do wniosku, że Kapelan sam głupi albo pijany.

W oczu mu tego nie mówiąc, grzecznie przeprosiłem i udałem się za potrzebą. Na podwórzu widzę dzielnego szlachcica Januariusza, jak siedzi na czarnym ogierze. Zdjęło mnie to zdumieniem, bo przecież przed chwilą widziałem go był śpiącego. Okazało się wkrótce, że ów szlachcic na koniu nie jest Januariuszem, lecz przybyszem z Anglii i że choć ma chytre niebieskie oczka, rudą brodę i brzuch ogromny, wzbudzający zaciekawienie niewiast czekających chętnie-zasobnego miłośnika, to nazywa się Sir John Ratcliffe.

Zaprowadziłem go śpiesznie do Sapiehy, który zdziwił się, że jest w świecie dwóch mężów takich samych, choć od różnych rodziców się wywodzą. Wtrącił się na to Kapelan, mówiąc, że mamy przed oczyma przykład niepojętej cudowności zwykłych wydarzeń, czyli jak powiada św. Augustyn – miracula quotidiana. Medyk Grazzini odrzekł, że im więcej ludzi na świecie, tym większa pewność spotkania dwóch lub więcej osobników podobnych do siebie, tyczy to zresztą wszystkich zjawisk naturalnych i nie masz tu żadnego cudu, tylko rozumne prawo liczb, odnoszące się do materii. A o tym św. Augustyn miał niewielkie pojęcie albo nawet wcale nie miał.

Na te słowa Kapelan, nie tając złości, wykrzyknął, że liczby nijak się mają do natury, co zostało dawno udowodnione przez Ojców Kościoła. Matematyka jest wymysłem szatana i początkiem wszelkiej herezji, słusznie to wytyka brat Tommaso Caccini od dominikanów niedoukowi Galileo Galilei, który twierdzi, że wokół Jowisza krążą księżycy i że ziemia nie jest środkiem wszechświata. Grazziniemu lepiej byłoby zająć się stawianiem pijawek niż mędrkowaniem, niechybnie wiodącym go przed oblicze św. Oficjum, a potem być może na tortury i stos, czego mu życzy z całego serca, na krew i rany Pana naszego, Zbawiciela.

Bardzo był bowiem Kapelan zazdrosny o uprzejmości czynione medykowi przez JW Księcia.

Wzięliby się obaj do bitki, ale Sapieha kazał im umilknąć i łamiącym się z bólu głosem rzucił pytanie:

– Jeśli jest prawdą, że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Tego, co panuje w Niebiosach, to czy dany nam został los gorszych kopii?

Rzekłszy tak, pograżył się w melancholii, co natychmiast zauważył Sir John i mówi:

– Widzę, że JWKsiążę pograża się w melancholii.

– Owszem, pograżam się – powiedział Książę. – Pograżam się i nie masz na to lekarstwa.

– Owszem, jest lekarstwo – powiedział Sir John. – Udzielę ci, Książę, dobrej rady, za którą będziesz mi wdzięczny.

(...) Papież miał przyjąć Sapiehę w prywatnym oratorium na dzień św. Teodory dziewicy, ale zanim do tego doszło, Sir John udzielił Księciu rady, lecz nie spotkał się z wdzięcznością”.

*

Do czasu podjęcia badań przez doktor Elżbietę Kodeńską postać Sir Johna Ratcliffe'a nie była bliżej znana ani historykom włoskim, ani brytyjskim. Skromną o nim notę – w związku z pobytem w Loudun w 1634 roku, w okresie szaleństwa matki Joanny od Aniołów – można znaleźć w aneksie do drugiego wydania Laicnel-Lavastine'a i Vinchona *Les malades de l'esprit et leurs médecins du XVI au XIX siecle*, wraz z fragmentem dokonanego przezeń opisu ekscentrycznych („jak samice w rui, obrzydliwe, tajemnicze, zachwycające”) zachowań urszulanek.

Dzięki odkryciom dokonanych przez Kodeńską możemy stwierdzić, że John Ratcliffe był postacią niewątpliwie godną wydobycia z mroków przeszłości. Kupiec, podróżnik, pisarz, autor licznych pamfletów, w których poddawał krytyce politykę Karola I Stuarta, po rozwiązaniu parlamentu w 1629 roku wyruszył w podróż do Indii. W Rzymie zatrzymał się na zaproszenie papieża, który chciał go zachęcić do przetłumaczenia na angielski swych parafraz psalmów biblijnych. Prawdopodobnie Urban VIII sądził, że publikacja jego wierszy przyczyni się do umocnienia wpływów katolickich w Londynie. Była to jednak twórczość poetycka raczej niskiego lotu, czemu Ratcliffe dawał wyraz w listach pisanych do przyjaciół w Anglii.

„Ponieważ umie rymować – papież uznał się za poetę; ponieważ w jego bibliotece mieści się teraz zbrojownia – uznał się za wielkiego wodza. Jest szczodry, gdy mu schlebisz, zawistny, mściwy, gdy okaże się, że ośmielasz się mieć inne zdanie, choćby w błahej materii. Na widok ładnej dziewczynki rumieni się i uśmiecha, po jej odejściu powtarza, że kobiety son d'angoscia e di morte armi funeste (są straszną bronią troski i śmierci). Nadmiar temperamentu każe mu wciąż maszerować, biegać, kucać i skakać. Kiedy okoliczności zmuszają go do zatrzymania się w jednym miejscu – wpada w nieopanowane gadulstwo. To zaś rychło wzbudza w nim wściekłość, bo doprawdy trudno być władcą połowy świata (a za takiego pragnie uchodzić) – nie umiejąc władać samym sobą...”

– tak pisał Ratcliffe do filozofa Hobbesa w liście, który miast do adresata dotarł do rąk urzędnika Sant'Uffici, ten zaś, choć zobowiązany do dyskrecji i lojalności wobec Urzędu, nie omieszkiał złożyć stosownego doniesienia kasztelanowi Taddeo Barberiniemu. Od tej pory korespondencja Anglika była kopiowana dwukrotnie, najpierw w pałacu Inkwizycji przy kościele Minerwy, potem przez ludzi Taddea, którego tajne archiwum zostało ukryte w bibliotece zamku Monte Rotondo.

Sapiesz poświecił Sir John dwa listy. Pierwszy z nich adresowany był do znanego alchemika Sendivogiusa Polonusa (Michała Sędziwoja, 1566–1636), dotyczył zaś zawiązania spółki handlowej sprzedającej w Polsce wytwarzane przez Galileusza teleskopy i compasso geometrico e militare, urządzenia do rozwiązywania zadań arytmetycznych i geometrycznych.

„Książę S[apieha] chętnie spojrzął w teleskop, a na widok compasso gotów był sięgać po sakiewkę, ale klecha, który go nie odstępował, wtrącił się, że teleskop jest to urządzenie szatańskie służące do siania zwątpienia w słusność wiecznie żywych nauk Arystotelesa i taka jest też opinia Sant'Uffici. Mówił dalej, że sam nigdy by do teleskopu oka nie przyłożył, choćby go kuszono lub zadawano męki, na koniec ukląkł i modlił się, prosząc o wstawiennictwo św. Maksyma Wyznawcę. Na szczęście Książę kazał temu czarnemu krukowi zamknąć dziób i zapytał o cenę compasso, ja zaś odpowiedziałem, że przyrząd kosztuje tysiąc czterysta złotych skudów, gdyby jednak znalazł w Polsce kilku chętnych nabywców, to obniży cenę do tysiąca dwustu pięćdziesięciu. Książę twier-

dził, że zna w Polsce co najmniej siedmiu, którzy byliby zainteresowani zakupem, i zaproponował sześćset skudów. Przypominając, że papież uznaje tezy Galileusza za słuszne (ale z obawy przed pokrzykiwaniem tępych mnichów tego nie rozgłasza) i sam bez lęku popatruje w teleskop, po targach przystałem na dziewięćset pięćdziesiąt. Powiedział też Książe, że na pewno chętni będą: Rafael Leszczyński, Jan z Tenczyna i Gabriel z Tenczyna.

Udaj się do nich, zawrzyj szybko umowy. Galileo sprzedaje compasso po trzysta pięćdziesiąt skudów, tak więc moglibyśmy zarobić rozsądną sumę, dzieląc ją w sprawiedliwej proporcji sześćdziesiąt od sta dla mnie, a czterdzieści od sta dla Ciebie, jeśli znajdziesz dwudziestu nabywców, bo jak będzie ich mniej, to mnie przypadnie siedemdziesiąt od sta”.

Nawiasem mówiąc, panowie z Tenczyna i Rafał Leszczyński kupili compasso, nie wiemy jednak, czy za pośrednictwem spółki Ratcliffe-Sędziwój, czy też wprost od Galileusza.

Adresatem drugiego listu Sir Johna był pastor i wykładowca oksfordzki Robert Burton, autor popularnej i wielokrotnie wówczas wydawanej Anatomii melancholii (*The Anatomy of Melancholy*). W notatkach Kodeńskiej znajdujemy liczne uwagi dotyczące poglądów Burtona. Pisząc o jego „głębokich i odważnych, bo pełnych wiary w Boże miłosierdzie, rozważaniach związanych z aktem samobójstwa”, Kodeńska przypominała, że perspektywie stworzonej przez Burtona „myśli o uwolnieniu się od nieznośnej udręki życia wychodzi naprzeciw łaska przyzwolenia lekarza niebieskiego; samobójstwo nie jest więc zbrodnią, lecz odejściem ze stanu, w którym życie jest nieustannym potępieniem życia i bolesnym wobec niego sprzeciwem”.

Młoda badaczka obaliła też pogląd, jakoby Robert Burton popełnił samobójstwo, by spełnić przewidywania horoskopu astrologicznego określającego dzień jego śmierci. „Człowiek nie roztaje się z życiem dla zakładu – pisała. – To świadkowie żądają uzasadnień. Biorą więc byle jaki pretekst za przyczynę, by nadać śmierci sens, to znaczy opatrzeć ją wystarczająco logicznym objaśnieniem. A przecież nie śmierć jest tu istotna. Śmierć jest tylko progiem, po przekroczeniu którego otwiera się nie-życie jako wartość sama w sobie”.

Po śmierci Elżbiety Kodeńskiej niektórzy powierzchowni interpretatorzy usiłowali twierdzić, że słowa o „nie-życiu jako wartości samej w sobie” odnoszą się nie tyle do dzieła Burtona, ile raczej do postawy samej Autorki. Pisano o ogarniającym Ją „poczuciu nicości”, o „uwielbieniu mroku”, o „obsesyjnej fascynacji rozkładem materii”. Nic bardziej błędnego. Obdarzona wielkim poczuciem humoru, pogodnie i ufnie patrząca w przyszłość, powtarzała często, że „mrok jest zapowiedzią jutrzeńki”, a „poczucie nicości”, choćby doświadczane najboleśniej, jest stanem (psychicznym), dzięki któremu jest możliwe określenie „własnego zadania duchowego”. Więcej – Kodeńska często powtarzała, że materia poddana nieuchronnemu procesowi rozkładu przybiera kształty niekiedy pokraczne, niekiedy groteskowe, ale zawsze rozśmieszające; śmiech jest bowiem naszym trwałym gatunkowym (genetycznie uwarunkowanym) instrumentem przystosowania się do rytmu życia i twórczego ogarnięcia bogactwa jego odmian.

*

Wróćmy do dzieła Kodeńskiej.

„Z drugiego listu Sir Johna wynika, że przybył do Rzymu jako agent literacki Burtona, a to mianowicie z zamiarem opublikowania Anatomii melancholii z przedmową generała Taddeo Barberiniego, promującą dzieło na terenie Włoch i południowej Francji. Jako że Anatomia melancholii odnosi się ze zrozumieniem dla samobójstwa, potępianego przez Kościół od VI wieku, sir John zamierzał przełamać obiekcje wyznaniowe generała Barberiniego w dwojaki sposób. Primo – wciągnięciem go do dyskusji na temat Tertuliana, który – jak pamiętamy – zachęcał chrześcijan, by raźniej i skwapliwiej poddawali się męczeństwu z rąk pogańskich, gdyż dzięki temu zyskają pewność zbawienia. Secundo – przekazaniem w generalskie dłonie weksli wystawionych bez pokrycia przez arcybiskupa Viscontiego, z którym Barberini prowadził spór o posiadłość w Toskanii. Do

spotkania Sir Johna Ratcliffe'a z Taddeo Barberinim miało dojść wieczorem 25 kwietnia. Tegoż dnia w godzinach porannych Sir John odbył rozmowę z Mikołajem Sapiehą, o czym tak napisał w liście do Burтона datowanym 26 kwietnia:

«...Oparłszy głowę na ramieniu, wpatrując się boleśnie znieruchomiałym wzrokiem w pełgający płomyk lampki oliwnej, Książę nie zwrócił uwagi na moją obecność.

Przyboczny Księcia, starzec imieniem Januariusz, gruby i cuchnący rozpustą, szepnął, bym postąpił parę kroków przed siebie, co też uczyniłem, nadeptując psa skrywającego się w ciemnościach. Zwierzę wydało z siebie skowyt. Wtedy Książę ocknął się z zapatrzenia i ciężko westchnął. Na jego twarzy rysowały się: ból, cierpienie i rezygnacja. Zrazu sądziłem, drogi Burtonie, że idzie tu o znany mi wiosenny ból głowy, co zaczyna się nad brwią, potem zaciemnia oczy, a opuściwszy się z jednej strony ku zębom, z drugiej zaś aż po tył czaszki, pozbawia człowieka woli istnienia na parę godzin lub zgoła cały dzień, chyba że się zażyje maści z grzybków zmieszanych z indyjską szałwią i dobrym miodem lub młodej wyćwiczonej dziewczki, albo jednego z drugim, a wtedy wola istnienia powraca w całej krasie barw, ale Januariusz znów zionął na mnie źle przetrawionym winem, mówiąc, że to melancholia spycha jego pana w czeluść piekielną. Ucieszyłem się z uwagi na Ciebie i nasze melancholiczne interesy, ale nie dałem tego poznać po sobie.

Pytam Księcia:

– Widzę, że JWKsiążę pograża się w melancholii?

– Owszem, pograżam się – odpowiada Książę. – Pograżam się i nie masz na to lekarstwa, bo od dawna jestem pograżony. Myślałem, że znajdę tu w Rzymie jakieś miejsce w klasztorze, złożę ślubu wieczystego milczenia, ale jakiś głos wciąż mi powtarza, że nie masz lekarstwa i już... Chyba że na św. Teodory dziewicy u papieża... coś się wydarzy... ale co? Nie wiem. Ogólnie rzecz biorąc, brak mi nadziei.

– Owszem, jest lekarstwo – mówię na to. – Udzielę ci, Książę, dobrej rady, za którą będziesz mi wdzięczny.

Sięgnąłem tedy, drogi Burtonie, po twoją Anatomię i słowo po słowie tłumacząc, przekazałem Księciu, że melancholia wywodzi się z nadmiaru czarnej żółci w organizmie i nie ma lekarza w świecie, który by umiał ów nadmiar usunąć lub rozpuścić.

– Cóż więc czynić? Gdzie pociecha? – zapytał Książę.

– Z Anatomii melancholii wynika, że od okrutnych cierpień, od udręki, której dusza znieść nie może, najlepiej uwolnić się drogą, na której zgwałcona natura odpowiada gwałtem i wyzwala się ku wieczności – mówię ostrożnie.

– To znaczy jak? – zaciekawił się Książę.

– Cnotliwy Seneka twierdził, że dróg na wolność jest wiele. Twoja szyja, twoje gardło i serce – wszystko to drogi ucieczki z niewoli. Można podciąć sobie żyły lub strzelić w łeb. Można też skoczyć ze skały. Można zarzucić sznur z pętlą na gałąź dębu. Nie najgorsze są jady oraz trucizny i te osobiście bym polecał, skoro jesteśmy w Rzymie.

– Toż to grzech, co na dno piekiel mnie ześle – obruszył się Książę, dodając, że Seneka może i cnotliwy, ale poganin, tak więc słuchać go nie wypada.

– Wszelako uznajesz autorytet św. Tertuliana, ojca łaciny kościelnej, nieulekłego wroga wszelkiej herezji... – zacząłem, nie wiedząc, że za moimi plecami czai się Kapelan z książęcego orszaku.

Musisz wiedzieć, że straszny to człowiek. Z pozoru chudy, a przecież nabity w sobie. Z pozoru prostak, ale umie być uprzejmy. Z pozoru nieuk – ale kształcony. Z pozoru kształcony – ale w jego umyśle panuje wielka ciemność.

– Tertulian sam heretyk! – krzyknął za moimi plecami tak głośno, że się przestraszył i po raz wtóry nadeptnąłem psa, który znów wydał z siebie skowyt. – Tertulian sam heretyk i jeśli zwalczał obcą herezję, to tylko po to, by własną krzewić! – krzyczał dalej Kapelan w języku, który nazwałbym łaciną, gdyby nie polskie szelesty, miauknięcia i chrząknięcia przylepione do każdego słowa. – Tertulian montanistom przewodził, ci zaś potępiali jako dzieło szatana:

filozofię,

sztukę,
literaturę,
kobiece ozdoby,
cudzołóstwo,
służbę wojskową,
mięso,
sok z owoców
i ucieczkę przed prześladowaniami.

– A ty nie potępiasz? – zapytałem.

– Potępiam! Bezwarunkowo potępiam, ale z innych pozycji! – powiedział klecha i na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiešek. – Ze słusznych pozycji potępiam i w odpowiednich proporcjach.

– Ale nie zaprzeczysz, że św. Tertulian twierdził, a zgadzał się z nim Orygenes, że Pan nasz, będąc przybitym do krzyża, oddał ducha świadomie...

– No i co z tego?

– A to, że woła męczeństwa wiodąca nas ku szybkiej śmierci nie tylko pozwala naśladować Pana, ale też przez skrócenie obecności na tym padole zepsucia pozwala nam uniknąć filozofii, sztuki, literatury, kobiecych ozdób, cudzołóstwa, służby wojskowej, mięsa, soku z owoców i ucieczki przed prześladowaniami, które – jako dzieło szatana – potępiasz, oczywiście ze słusznych pozycji i w odpowiednich proporcjach.

Na to Kapelan podskoczył ze złości, a opadając na ziemię, przydeptał psa. Ten rzucił się na niego z paszczą pełną zębów i obaj wybiegli na podwórze. Korzystając ze sposobności, postanowiłem przejść do sprawy donatystów, którzy marząc o męczeństwie, przekupywali sędziów do skazywania ich na śmierć, a także circumcellionów paskudnych, ale Księżę mi przerwał:

– Sir Johnie, jesteś szlachcicem światowym, nie jakimś tam zaściankowym szarakiem, tedy domyślasz się, że mało mam serca do donatystów. Mało też mam serca do morderczych circumcellionów-samobójców, bo i o nich zapewne chciałeś dysputować. Przejdźmy do rzeczy...

– Taki też miałem zamiar – odrzekłem.

– Czy wiesz, jakie koszty musiałem ponieść na pielgrzymkę do Rzymu? Policz tylko! Postoje w oberżach, jadło i picie dla mnie, sług moich i orszaku zbrojnego, pasza dla koni, dary dla kardynała de Torres, dary dla kardynała Francesco Barberiniego, dary dla jego brata generała, dary dla ich kuzynów i kuzynek, wynajęcie tłumacza, opłacenie medyka, a jeszcze czeka mnie powrót i zakupienie darów dla żony, dzieci, znajomych tudzież sąsiadów... Nie zapomnij o wydatkach nadzwyczajnych. Dwie noce temu Januariusz grał w kości z niecnym Luppolo i stracił do niego dwieście siedemnaście złotych skudów. Chętnie bym go batogiem potraktował, ale szlachcic to przecie, z własnej kieszy dług musiałem pokryć, żeby zgorszenia nie było. Ksiądz kapelan też nie trzyma węża w mojej kieszeni... Czy myślisz, że ponosiłbym tak wysokie koszty w nadziei szybkiego skonania – i to z własnej ręki?

– Chciałem jeno zaciekawić JWKsięcia dziełem Roberta Burtona Anatomia melancholii, a to z myślą o wydrukowaniu go w Polsce z policzalną korzyścią dla Autora i JWKsięcia – odrzekłem, bo wiedz, Burtonie, że Twoje interesy zawsze leżą mi na sercu.

Dodam, że wedle słów cuchnącego rozpustą Januariusza, w Polsce szybko rozwija się przemysł drukarski. Dawniej paru panów składało się i wysyłało umyślnego do Amsterdamu, by zakupił ryminy z nagimi wszetecznicami, bo nic tak nie rozgrzewa serc w ośnieżonych kniejach i nieprzebytých bagniskach Polski, jak nadzieja, że gdzieś w słonecznym świecie żyją dziewczki piękne a rozpustne. Teraz umyślny przywozi sztance z miedzi, resztę zaś robi się na miejscu.

Ksiądz milczał.

Na podwórku Kapelan wciąż uciekał przed psem, choć głowy bym nie dał, może to pies uciekał przed Kapelanem, bo okna były zasłonięte, więc tylko jazgot słyszałem i szczenie.

– Owszem, przybyłem do Rzymu w sprawie śmierci – powiedział nagle Książę. – Ale nie o moją śmierć tu idzie! Nie o moją śmierć! Idzie o istotę i źródło naszej udreki. Idzie o winę, której nie ma, i karę, której być nie powinno...

I zapłakał.

(...) Następnie Książę dopytywał się o papieża, u którego ma być 28 kwietnia. Ciekawiło go, czy wywodzi się z dobrej szlachty, która wie, co to honor. Być może – tak sobie myślę, ale z niedowierzaniem – Książę Sapieha przybył do Rzymu, chcąc wyzwać papieża na pojedynek, ale tego wprost nie powiedział, tylko znów pogrążył się w melancholii, a z oczu toczyły wielkie łzy.

Z tego wysnuwam taki wniosek: cierpienie każe mu myśleć o jakimś wielkim dokonaniu, ale kiedy się do niego zabiera, to samo cierpienie pozbawia go woli walki. Coś by chciał, ale nie wie co, a kiedy już wie – to mu się odechciewa.

(...) Książę, choć bogaty, nosi się skromnie. Suknie na nim wiszą. Je jak ptaszek, chudnie i narzeka na obstrukcję. Widać, że dużo przeżył, słaby, skurczony, ręce mu się trzęsą, ledwie chodzi, ale melancholia nie zmąciła bystrości jego umysłu. W Polsce ma krzesło w Parlamencie. Jest też przyjmowany u Króla. Utrzymuje dobre stosunki z legatem Viscontim. Postanowiłem zaryzykować, oferując mu część weksli wystawionych przez Viscontiego. Ucieszył się i nie targując, kupił, choć uprzedziłem, że są bez pokrycia. Suma wystarczy, by sownie opłacić autora wstępu do twojej Anatomii, a jeszcze czterdzieści funtów sterlingów zostanie, z których trzecią część prześlę Ci w najbliższym czasie, czekając niecierpliwie chwili, gdy Cię ujrzę, infandum, regina, iubes renovare dolorem ...»

*

Pisała Elżbieta Kodeńska w cytowanej już wyżej pracy pt. Kardynał i magnat. Dwie strategie dialogu:

„Św. Teodory dziewicy przypada 28 kwietnia. Tego dnia Mikołaj Sapieha był widziany w Watykanie. Świadczą o tym oświadczenia ustne złożone komisji śledczej Sant'Uffici przez zakrystiana Corbino i medyka Grazzinię oraz notatka kardynała de Torres. Nie ulega też wątpliwości, że w czasie mszy odprawianej przez papieża Urbana VIII przeżył wstrząs, w wyniku którego ustąpiły symptomy dręczącej go choroby.

Wyniszczająca Sapiehę długotrwała melancholia zniknęła nagle i, jak twierdzą liczni autorzy, w związku ze szczególnym nań oddziaływaniem obrazu Matki Bożej Gregoriańskiej. Nagłość, a więc odczuwalna różnica w psychicznym i fizycznym stanie Sapiehy przed mszą i kilka godzin po mszy uzasadnia użycie słowa «cud» w potocznym jego rozumieniu. Wiemy z przekazów, że Sapieha przybył do Rzymu nękany ogólną niemocą. Chodził o lasce, a jeszcze częściej podtrzymywany przez służbę. Miał kłopoty ze wzrokiem. Doznawał zapaści. Podlegał coraz dotkliwszym stanom depresyjnym. Płakał z byle powodu. Odmawiał przyjmowania posiłków. Nagły przyływ sił życiowych był dla tego pięćdziesięcioletniego mężczyzny, bitnego żołnierza i zawołanego myśliwego niewątpliwym cudem. Ale czy radosna nagłość zmiany wystarczy, by przypisać jej znamiona prywatnego objawienia, tak jak je definiuje Katechizm Kościoła katolickiego?

Nie znamy żadnych dokumentów świadczących o tym, że «cud sapieżyński» z 28 kwietnia 1631 roku zyskał (zgodnie z postanowieniami V soboru laterańskiego w 1516 roku i soboru trydenckiego w 1563 roku) aprobatę Stolicy Apostolskiej lub diecezjalnej komisji teologów pod przewodnictwem biskupa. W tych okolicznościach niech dalszy kierunek naszych badań wyznaczą wskazania papieża Benedykta XIV, który głosił i pisał, że «można bez szkody dla swej wiary katolickiej takich prywatnych objawień nie uznawać, bez lekceważenia przecież przemawiających za nimi relacji».

Nie lekceważąc zatem niczego, co godne wiary i namysłu, przyjmijmy, że obraz Madonny Gregoriańskiej uzdrowił Sapiechę błagającego o łaskę serca. Przyjmijmy, że pan na Kodniu rzeczywiście przeżył prywatne objawienie. W takim razie – z punktu widzenia normy – był to cud podwójny. Jest bowiem niemal regułą, że objawienia tego rodzaju dokonują się nie we wnętrzach sakralnych, lecz na odległych pastwiskach, w górach czy w puszczech, dotyczą zaś wywodzących się z klas niższych kobiet w menopauzie oraz chłopców i dziewcząt w okresie pokwitania, najczęściej mało piśmiennych. Tu zaś prywatne objawienie było udziałem światłego magnata, a doszło doń w kaplicy watykańskiej, w obecności papieża, a być może – przeciw papieżowi? W tym zapewne należy szukać źródeł społecznej atrakcyjności legendy o Sapieszce, w której wieśniak i pan zostają zrównani za życia tak w winie i związanej z nią rozpaczą, jak i w nadziei rozgrzeszenia”.

W tym miejscu Elżbieta Kodeńska skonfrontowała dwie hipotezy dotyczące okoliczności dokonania się „sapieżyńskiego cudu”. Pierwszą znamy ze źródeł, którym kształt powieściowy nadała Zofia Kossak-Szczucka w *Błogosławionej winie*:

„Cicha msza papieska dawno się skończyła. Ojciec Święty odszedł, udzieliwszy błogosławieństwa obecnym, kościelny gasił świece i tylko dym z kadzielnicy snuł się błękitnie pod stropem. Chory pan nie ruszał się z miejsca. Czy nie zasłabł? (...)

Pan Sapieha nie omdlał przecież, choć działy się z nim dziwne rzeczy. Od chwili, w której przy akompaniamencie prześlicznych chórów chłopięcych i dźwięków fletu podniosła się złocista zasłona, odsłaniając oblicze Bożej Rodzicielki, stracił poczucie czasu, rzeczywistości i samego siebie. Patrzył w ołtarz niby urzeczony, oczu nie mogąc od niego oderwać. Jużci nie pierwszy raz modlił się przed obrazem Najświętszej Panny (...) Tak się składało jednak, że – ilekroć znajdował się w tych Maryjnych sanktuariach – czuł się bardziej senatorem niż zwykłym pokornym czcicielem. Głowę miał zaprzątniętą politycznymi kabałami, świeżymi nominacjami, groźącymi powikłaniami znacznie więcej niż nabożeństwem. (...) Dziś było całkiem inaczej. Chore ciało, chora dusza nie znajdowały dawnych upodobań i jedyną rzeczą, której mogły się ucześcić, było miłosierdzie Boże (...).

(...) Skoro, zapomniawszy o własnych sprawach i sobie, pograżył się w te rozmysły, wydało mu się, że wkracza w nieznaną głąb bez dna i bez kresu (...) Szedł myślami niby przez mroczny, lecz pełen woni ogród, w końcu którego skroś zieleni przebijało światło. Tym światłem była Ona, Maryja, i biegł ku niej. Odnajdował ją, poznawał, zrodzoną wcześniej, niż powstały światy, wdzięcznego świadka wytyczania granic morza i określania przepaści. (...)

Pan Sapieha spojrział w obraz i boleśnie odczuł smutek tchnący ze świętego oblicza. Uprzytomnił sobie, że nigdy nie spotkał obrazu, na którym artysta ośmieliłby się przedstawić Matkę Bożą wesołą. Uśmiechają się wprawdzie Madonny, lecz tylko wtedy, gdy wpatrzone są w Dzieciątko. Znajdują szczęście w adoracji Zbawiciela. Ilekroć Matka Boża spojrzy na śmiertelnych, wzrok Jej zaćmiewa się łzami. Tych łez złość ludzka przyczyną, niedocena ofiary (...) Teraz płacze, widząc, że świat nadal grzęźnie w grzechach, nie pragnąc wiedzieć nic o odkupieniu...

Matka jeszcze się nie zraża. Powstrzymuje z wysiłkiem ramię Boga podniesione w gniewie. Wzywa wszystkich ludzi, by ich z Synem swoim pojednać, Synowi swojemu ich polecić, swemu najmilszemu Synowi ich oddawać. Pomna, że od wieków nie słyszano, aby ktokolwiek, co się pod Jej obronę uciekał, o Jej wstawiennictwo błagał, miał być od Niej opuszczony, zstępuje z niebios, by ratować dusze. Kołacze do naszego serca, wyciąga ręce pełne łask. Ludzie kołatania nie słyszą, dłoni podawanych nie widzą, łask zbawczych nie potrzebują...

– Matko! Przebacz! – jęknął wojewoda, bijąc się potężnie w piersi. Ogarnęły go żal, wstyd, skrucha i gorące pragnienie jakiegoś zadośćuczynienia. Zaprzagnął oddać z radością życie, ciało, duszę, by tą daniną pocieszyć Matkę Bolesną, rozścielić się u jej stóp przebłagalnie...

Ocknął się niby ze snu pod dotknięciem dłoni (...).

Południe dawno minęło. Pan Sapieha przetarł oczy. Poszukał wzrokiem oblicza Maryi i zdumiał się. Obraz był zasłonięty, prawdopodobnie od dawna. Widział Ją więc przez zasłonę, a może Ona wyszła z ram i stanęła przed nim? Chwiejąc się jak pijany, wstał z klęczek i ruszył ku drzwiom (...)

Szybkim krokiem ruszył naprzód przez długie krużganki, komnaty, aż wyszedł na dziedziniec, gdzie stali jego ludzie z lektyką. Patrzył na nich nie widząc, olśniony niewiarygodną, a niezbitą świadomością. Zawrócił nagle i pędem pobiegł, skąd przyszedł. Potracony kanonik zatoczył się aż pod ścianę.

– Wasza Dostojność zapomniał czego w kaplicy?! – wołał. – Co zostało?!

– Co zostało? – zagrzmiął pełną pierś wojewoda, przystając. – Choroba została!... Do nóg Pa-nience Przenajświętszej chcę paść!... Ja zdrow!...”

Pisała Kodeńska (w: Kardynał i magnat...):

„W jednym przynajmniej aspekcie hipoteza Kossak- -Szcuckiej ma pewien związek z rzeczywistością. Tam mianowicie, gdzie pisarka każe Sapiesze sądzić, iż «Madonna wyszła z ram i stanęła przed nim». Istotnie w dobie barocco, czasie gwałtownego rozwoju kultu obrazów, Madonny pojawiające się w objawieniach prywatnych miały postać Maryi z ostatnio widzianego i zapamiętanego wizerunku malarskiego.

Przedstawiony natomiast przez autorkę Błogosławionej winy opis zachowań Sapiehy rozmija się z prawdą świadectw. Wiemy bowiem z zeznań złożonych (pod torturami) w Sant'Uffici przez zakrystiana Baptystę Corbino, że «...po wyjściu Ojca św. z kaplicy polski Książę padł na ziemię i leżał bez ruchu i wszyscy myśleli, że nie żyje; wtedy po raz pierwszy go widziałem». Trzeba było wezwać lekarza Grazzinię, który «wraz ze sługami Księcia czekał za bramą, a pilnowało ich trzech uzbrojonych strażników». Sapiechę odniesiono do pracowni medyka przy Porta Septimana, gdzie po zastosowaniu zimnych okładów na głowę i nogi odzyskał przytomność.

Sam Grazzini (w raporcie z 21 maja 1631 roku do generała Taddea Barberiniego) pisał, że u wejścia do kaplicy Sapieha został zatrzymany przez patrol gwardii papieskiej i dokładnie przeszukiwany. (Nie możemy wykluczyć, że rewizja została spowodowana przez sugestie zawarte w liście Sir Johna Ratcliffe'a do Roberta Burtona, jakoby Sapieha zamierzał pojedynkować się z papieżem). Następnie oficer dowodzący patroliem zażądał okazaniabolletino di sanite, czyli zaświadczenia o stanie zdrowia, grożąc zatrzymanym czterdziestodniową kwarantanną w lazeretto. Sapieha posiadał dwie takie fede, jedną wystawioną na siebie, drugą na siebie i swoją świętą. Oficer uznał, że drugie zaświadczenie jest nieważne, w dodatku być może wystawione za łapówkę (tak było w istocie), przepuścił dalej tylko Sapiechę, a groźnie sapiącego i trzaskającego szablą Januariusza poinformował o warunkach panujących w celach u Św. Anioła. To spięcie załagodził Grazzini, który – jak się okazało – był znajomym szwagra srogiego oficera.

A zatem nikt ze świty nie towarzyszył Sapiesze w czasie mszy św.!

Jedyna znana nam relacja naocznego świadka o wydarzeniach wewnątrz kaplicy w dniu 28 kwietnia 1631 roku wyszła spod pióra Eduardo de Rusana. Wiadomo o nim niewiele ponadto, że filozof i poeta (przyjaciel Giambattisty Marino), w 1611 roku w czasie dysputy nad dziełem Alfonsa Rodrigueza oskarżał autora sławnych *Exercicio de perfeccion y virtudes cristianas* o «danie posłuchu złym podszeptom przeciw prawdzie kontemplacji biernej», czym naraził się władzom Towarzystwa Jezusowego, oraz że z polecenia Stolicy Apostolskiej uczestniczył incognito (zgoła w przebraniu) w pogrzebie Sapiehy w Kodniu w 1644 roku.

Relację Eduardo de Rusana odnalazłam w zespole Petrusa Serrariususa (Biblioteka Uniwersytetu w Amsterdamie, Rkps Bc 76). Nawiasem mówiąc, Eduardo de Rusan występuje jako Eduardo de Rosan w *Reformateurs. Geschiedkundige studiën over de godsdienstige bewegingen uit de nadagen onzer gouden eeuw* C.B. Hylkemy, Haarlem 1900–1902, wydanie drugie poprawione, 1928.

Pisał Eduardo de Rosan:

«Było tego dnia zaproszonych kilku znacznych panów z Niemiec i Niderlandów, jeden książę z Rusi i ambasador hiszpański, z którym nikt się nie witał (...). Przybyła też kuzynka biskupa Giacinto Centino (tego samego, co chciał potem doprowadzić Papieża do śmierci i został ścięty na Campo di Fiore 22 kwietnia 1635 roku) – pani Giulia z dzieckiem, które przyciągało spojrzenia

wszystkich obecnych, ubrane bowiem było w długą suknię ze złotogłowi wysadzanego szmaragdami i rubinami (...)

Siedziałem wtedy obok pana Sapiehy. Średniego wzrostu, o twarzy śniadej, pociągłej, z brodą krótko ostrzyżoną, posiwiałą, grzeczny w obejściu, ale jakby nieobecny, zatopiony w myślach (...)

Kiedy Ojciec św. skończył mszę i ruszył ku zakrystii, pani Giulia uklękła przed nim i z płaczem wykrzyknęła: – Ojciec św., zmiłuj się! Jak długo ta dziecina niewinna ma cierpieć męki, których nikt nie zniesie?! – I drżącymi dłońmi zdejmując z maleństwa strojną szatę, pod którą ciało całe pokryte wrzodami ciekącymi, pełnymi ruchliwego robactwa, gnijące do kości, a może kości też zgniłe, co świadczy, że kres cierpień szczęśliwie już niedaleki. Ojciec św. bez trwogi na ten obraz straszliwy spogląda. Widzi, że dziecina ręce błagalnie składa, patrząc Jego Świątobliwości prosto w oczy, a matka dalej krzyczy: – Uczyń cud! Uczyń cud!

Na to Ojciec św. mówi surowo i sprawiedliwie: – Nie bluźnij, niewiasto!

Ale ona w szaleństwie na ziemię pada i za nogi go chwyta, krzycząc: – Uczyń cud! Przenieś chorobę na mnie!

Na to Ojciec św. podniósł głos, mówiąc jeszcze raz: – Nie bluźnij, niewiasto! – Pobłogosławił ją znakiem krzyża i bez słowa podążył w stronę zakrystii.

Wtem widzę, że pan Sapieha zrywa się, jakby obca moc go podniosła, twarz ma zmienioną, żyły nabrzmiałe na skroniach, nad głową pięści gotowe do ciosu, z zaciśniętego gardła jakiś charkot się dobywa i chce biec za Ojcem św., ale w pół drogi padł na ziemię bez przytomności. (...)

Zakrystian wezwał lekarza, choć wszyscy myśleli, że zda się to na nic (...)

Parę dni ledwie minęło, a dochodzi mnie wiadomość, że dziecina zmarła, a za nią strapiona matka też, choć sama chorą nie była, ale zupełnie zdrowa, a zmarła z powodu felo de se, podcinając sobie gardło».

Nie jest naszym celem kwestionowanie prawdziwości «sapieżyńskiego cudu». Chcemy natomiast, opierając się na relacji Eduarda de Rosana, stwierdzić, że prywatne objawienie Mikołaja Sapiehy nie wzięło się z «nadprzyrodzonego oddziaływania obrazu Madonny», lecz było wynikiem głęboko przeżytego uczestnictwa polskiego księcia w dramacie matki błagającej o uzdrowienie śmiertelnie chorego dziecka, w dramacie samego dziecka, w dramacie bezradnego papieża, w wiecznym misterium cierpienia i śmierci, na które jakże głuchy, jakże obojętny jest nasz świat – niezdolny do ujrzenia łez w oczach Maryi”

*

Dokonane przez Elżbietę Kodeńską odkrycie relacji Eduarda de Rosana mogłoby być tematem reportażu lub zgoła powieści, gdyby uwaga świata mediów kierowała się ponad czarnym chaosem gwałtu, dewiacji seksualnych i zbrodni – ku afirmacji życia, ku afirmacji prostoty i piękna. Trudno zrozumieć, dlaczego brud grzechu przyciąga większe zainteresowanie ludzi parających się piórem niż cicha stanowczość cnoty? Dlaczego w ich oczach wyuzdanie liczy się bardziej niż wstrzeźliwość? Dlaczego w tak rzadkich i zasługujących na zainteresowanie przejawach czystości z uporem doszukują się śladów zła? Być może niektórzy czytelnicy pamiętają, jak haniebnie, nie stroniąc od plotki, obmowy i interpretacji podszytych jawnie złą wolą, potraktowały śmierć Elżbiety Kodeńskiej wpływowo środki przekazu, te same, co przy innych okazjach mienia się strażnikami ludzkich sumień i serc, głosem woli powszechnej, ważnym filarem mądrej władzy.

Pytam: czy będzie im to wybaczone?

W czasie poszukiwań i odkrycia listu Eduarda de Rosana doktor Elżbieta Kodeńska była w stanie błogosławionym. Wciąż słyszę jej cichy śmiech, niemal taki sam, jak przed laty, gdy nasyciwszy oczy i serca widokiem Maryi, ruszaliśmy przez morze gęstych kodeńskich traw ku brzegowi Bugu: – Zostałam podwójnie nagrodzona! – powtarzała. – Jej to zawdzięczam! Maryi! – Ale nagroda bywa też niekiedy i ciężarem. Obraz matki bezskutecznie błagającej o cud uzdrowienia dziecka zapadł głęboko w pamięć badaczki. Wracała do niego często, z nadzieją, choć i nie bez

obaw. Właśnie w tym przejawiała się jej odpowiedzialność za dar macierzyństwa. Nie bacząc na kłopoty związane ze zbliżającym się pologiem, Kodeńska nieustrudzenie gromadziła świadectwa dotyczące „sapieżyńskiego cudu”.

*

Powróćmy do stronic Kardynała i magnata...:

„Jest popołudnie 28 kwietnia 1631 roku. Nieprzytomny Sapieha został przeniesiony do pracowni Francesco Grazziniego, mieszczącej się przy Porta Septimana.

«Badałem go z zewnątrz i od środka.

Ciało ma kształtne, czyste, mięśnie sprawne, blizny na piersi i lewym ramieniu od cięcia szablą albo mieczem, co do reszty, żadnych osobliwości nie zauważyłem. Wprowadziwszy dwa palce do odbytnicy, stwierdzam kamień pęcherzowy, który przysporzy mu cierpień w przyszłości (...)

Ocknął się wkrótce. Mówił, że w czasie Mszy doznał olśnienia, modlitwa skierowana wprost do Madonny Gregoriańskiej siły mu powróciła i że teraz już wie, co winien zrobić.

Z tej przyczyny wyglądał, jakby bóle i smutki melancholijne zupełnie go odeszły. Na wszelki wypadek ordynowałem purgację, której chciał się sprzeciwić obecny obok łoża Kapelan, pytając, czy enema narusza post. Odrzekłem, że o postępowaniu z melancholią radziła św. Teresa z Avila w Księdze fundacji, także André de Laurens w Discours de la conservation de le veue; des maladies melancholiques; des catharres et de la vieillesse zauważa związki między melancholią i obstrukcją, sławny zaś Bauhin z wydziału medycznego w Paryżu głosi, iż płyn wprowadzony do odbytnicy nie narusza postu, a to dzięki zastawkom w kiszce wydalniczej. Tak Natura jest urządzona, jak to chciał Pan w dniu Stworzenia i zgodnie z prawami matematyki, czym się Kapelan nieco stropił, ale tym razem nie protestował.

W czasie purgacji śmiał się Książę, radował i pytał o różne sprawy.

I pytał mnie jeszcze, czy znam zakrystiana Corbino, który nie czekając, wezwał mnie z pomocą, bo chciałby go nagrodzić talarzem złotym albo nawet i kilkoma talarami...»

– pisał Grazzini w cytowanym już wyżej raporcie z 21 maja 1631 roku do Taddea Barberiniego.

O podobnym, choć nie identycznym przebiegu wydarzeń zeznawał tłumacz Luppolo przed komisją śledczą w kościele Minerwy 23 maja 1631 roku:

«...Twierdzi też Luppolo, że gdy Książę radował się zażywaną purgacją, Grazzini rzekł, że zakrystian Corbino okazał się pomocnym w ratowaniu zdrowia i życia Księcia. Dzielny to człowiek, a ubogi – mówił medyk. I należy się za to nagroda jeden talar złoty albo kilka dla Corbino, wedle woli i dobrego obyczaju.

Następnie napomnieliśmy Luppolo, by w imię krwawych ran Jezusa Chrystusa mówił prawdę i tylko prawdę.

I powtórzył to samo».

Jeszcze inną wersję wydarzeń przedstawiał Grazzini w prośbie o ułaskawienie skierowanej w styczniu 1640 roku do Urbana VIII. Zanim ją jednak przedstawimy, wypadnie nieco dokładniej pochylić się nad dziejami tego lekarza humanisty.

Kiedy w maju 1631 roku okazało się, że wizerunek Madonny został wycięty z ram i skradziony, Ojciec św. nakazał kardynałowi Francesco Barberinemu i jego bratu, generałowi Taddeo Barberinemu, wszczęcie śledztwa mającego na celu wykrycie włoskich współników pana na Kodniu. Przesłuchiwano co najmniej trzy osoby: Grazziniego, tłumacza Luppolo i zakrystiana Corbino. Ten ostatni wziął całą winę na siebie. Z uwagi na dawniejsze dla papieża zasługi, Corbino nie stanął przed trybunałem. Zabito go (prawdopodobnie uduszono) w celi u Św. Anioła. Luppolo i Grazzini

wyszli co prawda na wolność (za wstawiennictwem generała Taddeo Barberiniego) – ale nie była to wolność bezpieczna. Ciężyło na nich podejrzenie o współudział w zuchwałej kradzieży obrazu.

Luppolo, uzdolniony lingwistycznie szalał, trochę aktor, trochę literat, na pewno pijak i hazardzista, przemieszkał dwa lata u swojej siostry w Toskanii, czekając na przyschnięcie sprawy, potem, nie nękanym przez donosicieli Inkwizycji, wrócił do Rzymu.

Inaczej rzecz się miała z medykiem Grazzinim, który w pracowni na Porta Septimana prowadził od lat badania nad budową trzustki i oka. Jesienią 1631 roku nieopatrznie wystąpił z twierdzeniem, że zaćma ma swoje siedlisko w soczewce, nie zaś w szkodliwej materii wznoszącej się z żołądka („katarakta żołądkowa”) lub spływającej z mózgu („katarakta głowiasta” lub inaczej „katarakta mózgowa”). Nowatorski pogląd ściągnął nań oskarżenia o herezję ze strony jezuita Christopha Scheinera, tego samego, który miał potem wielki wkład w postawienie Galileusza przed trybunałem Inkwizycji. Grazzini przeląkł się i w grudniu 1631 roku uciekł do Florencji. Tam badał tajniki choroby św. Antoniego i dorobił się majątku, wytwarzając wodę florencką (winny wyciąg z jaszczurek, sproszkowanej czaszki ludzkiej, zęba dzika i mandragory), która cieszyła się znacznym wzięciem w Bawarii. Część zysków przeznaczył na pomoc dla mieszkającej w Rzymie rodziny nieszczęsnego zakrystiana Corbino. Na wieść o tym, że Urban VIII wycofał ekskomunikę i przywrócił Sapię na łono Kościoła, Grazzini zaczął starać się (zresztą bezskutecznie) o zgodę na bezpieczny powrót do Rzymu. W jego prośbie skierowanej na ręce Urbana VIII czytamy m.in.:

«I wyznaję, że było inaczej, niż pisałem i mówiłem wtedy w sprawie Sapię, chociaż w sprawie katarakty trwam przy swoim. Nie ma bowiem i nigdy nie było katarakty żołądkowej, jak twierdzi nieuk Scheiner, i nie ma też katarakty głowiastej lubo mózgowej, jest tylko schorzenie soczewki – i przed każdym Trybunałem będę bronił tego poglądu.

A wracając do Sapię, to prosiłem go, by dał talar złotego albo kilka talarów Corbino za to, że nie czekając, wezwał mnie na pomoc omdlałemu Księciu. Sapię zbył moją prośbę milczeniem. Potem żądał pokazania anatomii na przykładach. Że akurat dzień wcześniej przywieziono mi z Civitavecchia piękne świeże zwłoki, krajałem je na oczach Księcia, okazując:

Serce

i mówiąc, że to najsilniejszy z mięśni, który powoduje, że posiadająca ciężar krew może wytrysnąć do żył, zwiększyć je i wydać,

item Wątrobę i Trzustkę,

item Płuca,

item Nerki,

item Żołądek z Treścią, co w nim była,

item inne Wnętrznosci,

item Jądra pełne Nasienia.

Potem przeszedłem do zwłok kobiecych, w których Książę chciał obejrzeć Macicę, ale niedługo na nią patrzył, bo najbardziej był ciekaw Oka, tylko chciał wiedzieć, jakie soki z Macicy karmią płód ludzki, kiedy w niej przebywa. Powiedziałem zgodnie z prawdą, że mało o tym wiem. Musi tam być flegma, która przemienia się w dobrą krew przez naturalne ciepło cielesne, choć z drugiej strony istotą humoru flegmy jest wilgotność i chłód. I dlatego jeśli ktoś chce utrzymać przy życiu niemowlę za wcześnie narodzone, powinien wziąć świnie żywą, rozciąć jej brzuch, usunąć wszystkie wnętrznosci z wyjątkiem Macicy i niemowlę do środka włożyć; czekać, aż świnia wystygnie, i tak powtarzać dni siedem, ale droga to kuracja, świń mało, a dzieci dużo. Wtedy Sapię zapytał, czy miast świnie może być krowa. Odpowiedziałem, że krowa jest droższa (...)

Kroiłem Oko, tłumacząc, że sfera szklista służy w środku Oka do sprostowania obrazów, które przecinają się w otworze Żrenicy, i że Natura ścieśnia Żrenicę, jeśli razi ją zbyt światło, a jeśli razi ją ciemność, to rozszerza Żrenicę. W ten sposób Natura stosuje ustawiczne wyrównanie, miarkowanie i regulowanie. Dlatego Oko mniej się myli w swojej służbie niż każdy inny zmysł.

Sapieha zapytał, czy jest stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, że ludzie nieokrzesani i tępego umysłu posiadają równie piękny organizm i taką samą różnorodność narządów jak ludzie wielkiego rozumu.

Kiedy potwierdziłem, pytał dalej, czy jest możliwe, żeby dwaj ludzie trzeźwi i rozumni, stojący obok siebie i patrzący na ten sam przedmiot albo osobę, widzieli coś innego. Na przykład pierwszy – że przedmiot lub osoba nie rusza się i milczy, drugi zaś – że przedmiot rusza się i mówi albo płacze.

Słyszał bowiem o jednym zacnym szlachcicu, który ponoć widział Postać w malarskim obrazie jakby ożywioną, ale obecni przy tym inni świadkowie, też zacni szlachcice, niczego takiego nie widzieli, choć sława Postaci, Jej powaga, Jej znaczenie tu na ziemi, a także w niebiosach wymagałyby widzenia, chyba że ten, kto patrzy, albo oczu nie ma, czyli że patrzeć nie może, albo widzieć nie może z innych powodów, ale jakie to powody, nikt nie wie.

Wyjąłem więc drugie Oko i pokazałem Księżciu nerwy wzrokowe wiodące do Mózgów, które mało są nam znane, ale wiemy, że tam mieści się władza przyjmująca wrażenia i je sądząca – zwana Imprensiva, co w dawnych czasach Hipokrates nazbyt może śpiesznie ujmował, że nasze odczuwanie przyjemności, wszelka radość, śmiech i wesołość, podobnie jak ból, zgryzota, troska i łzy, to wszystko bierze się z Mózgów.

Obejrzawszy Mózgi, którem rozpołowił, Sapieha najpierw długo milczał, jakby coś rachując, potem chodził po pracowni i raz spluwał zafrasowany na podłogę, raz znów zacierał ręce i mrucał coś pod nosem, aż rzekłszy: Credo, ut intelligam, rozpogodzony zawołał Kapelana i pokazał mu Serce, Wątrobę, Trzustkę i inne Wnętrznosci oraz Jądra:

– Jest stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, że ludzie nieokrzesani i tępego umysłu posiadają równie piękny organizm i taką samą różnorodność narządów jak ludzie wielkiego rozumu, więc raduj się, klecho! – i głośnym śmiechem wybuchnął, na co Ksiądz podziękował Maryi i Jej Dzieciątku, że Księżcia melancholia cudownie odstała.

U wyjścia Księżę przypomniał sobie o Corbino i powiedział, że pośle mu przez umyślnego nagrodę. Kapelan też zadowolony mówił Księżciu, żeby przeprowadzić się z 'Purgatorio' do 'Fortuna di Vienna' albo innej gospody, gdzie można godnie uczcić uzdrowienie, bo tam kucharz musi być lepszy, ale Księżę powiedział, że ma jeszcze ważną sprawę i musi w tej materii poradzić się Madonny.

I wyszli.

Ale nad ranem Księżę mnie wezwał, żeby prosić o leki na spokojny sen, bo choć uzdrowiony, to wciąż ma przed oczyma obraz dzieciny niewinnej, do której zbliża się śmierć, a on przez tę niesprawiedliwość odczuwa cierpienie.

Dałem mu wodę teriakową uzupełnioną wyciągiem z maku i ćwiercią uncji wywaru ze sporyszu. Potem spał dzień, noc i jeszcze pół dnia następnego, trochę był tylko sztywny.

Miał istotnie Sapieha sprawę ważną i poufną, o której nie wspomniał Grazziniemu. W bezsennej noc z 28 na 29 kwietnia napisał list do Francesco Barberiniego z błaganiami («...na łzy Maryi Rodzicielki») o udzielenie mu jak najszybszej audiencji, w czasie której chciałby wyjawiać kardynałowi- -padrone «wielką tajemnicę». Gdy spał – ludzie kardynała przygotowywali dossier dotyczące jego pobytu w Rzymie.

Potwierdzał to pośrednio Luppolo w rozmowie z Sir Johnem Ratcliffem (który zapewne nie był świadom, że jego listy do Sendivogiusa, Burtona i Hobbesa podlegają ustawicznej perlustracji, choć kto wie?):

«Udałem się więc za Twoją radą, drogi Burtonie, do bazyliki, aby obejrzeć dopiero co namalowane Męczeństwo św. św. Processusa i Martiriana Valentina de Boulogne i Męczeństwo św. Erazma Nicolasa Poussin. Obaj artyści szczerze się nienawidzą w wyścigu do łask, zamówień i pieniędzy kard. Barberiniego, co dziełom wyszło na dobre, bo męczeństwo jest tam przedstawione nadzwyczaj pięknie i groza od niego bije, nad wszystkim zaś fruwią aniołowie, u Poussina ledwie

urodzeni i pupki mają pulchne, u de Boulogne wąs im się znacznie sypać, ale pełni naturalności przez harmonię kolorów, tak że nawet się wzruszyłem.

Rad spotkać malarza Poussina, proszę Luppolo o pomoc. Ten zna w Rzymie wszystkich, bo i ucieszne wiersze układa, i wie, gdzie można cudowną miksturę dostać, którą Arabowie zwą sianem, a daje ona duszy chrześcijańskiej ulgę i rozkosz. Ma też dobre źródło dochodów. W Civitavecchia kupuje od piratów biżuterię zrabowaną pielgrzymom płynącym z Ziemi Świętej i sprzedaje ją pielgrzymom, którzy zamierzają popłynąć do Ziemi Świętej, z czego odejmuje na podatek, a jeszcze mu sporo zostaje (...)

Otóż słysząc o moich zamiarach, Luppolo radził, bym się od Poussina trzymał z daleka, bo on, liżąc bezwstydnie zadek kardynała-padrone, zajął się ostatnio donosicielstwem. Wypytywał onegdaj Luppolo, czy to prawda, że Sapieha chciał się pojedynkować z papieżem. I czy to prawda, że Sapiesz pokazała się w trybie nadprzyrodzonym płacząca Matka Boska Gregoriańska i obiecała mu wyzwolenie z melancholii, ale pod jakimiś warunkami? I jakie to warunki? Czy Sapieha ma jakieś kontakty z Filipem, królem hiszpańskim, delirykiem gnijącym za życia? I dalej pytał, czy to prawda, że Sapieha wyzdrowiał i zamierza prosić papieża o podarowanie mu obrazu Madonny? I czy to prawda, że Sapieha jest stronnikiem cesarza austriackiego, jebańca?

(...) Tak mi to przedstawił Luppolo, o którym wiadomo, że przyjaźni się z de Boulogne i chciałby ode mnie coś wyciągnąć za pośrednictwo przy zakupie jego obrazu, ale ja wolę Poussina, choćby nawet i był kardynalskim donosicielem, nie mam bowiem nic do ukrycia, wiesz przecież...».

*

Badania Elżbiety Kodeńskiej wykazały, że Mikołaj Sapieha czekał na audiencję u Barberiniego aż do 6 maja. Papież wyruszał właśnie na inspekcję nowych bastionów w Castelfranco. W związku z tym na kardynała spadły rozliczne i czasochłonne obowiązki proceduralnej natury i dwukrotnie przesuwiał rozmowę z księciem. Doszło do niej wczesnym porankiem w Kwirynale, dokąd kardynał przeniósł swój sekretariat na czas pobytu Urbana VIII poza Rzymem. Mówi o tym relacja Luppolo. Dodajmy: w trakcie prac nad źródłami Kodeńska ustaliła, że cytowane przez nią dzieło *Traites singuliers et nouveaux contre le paganisme culturelle* par S.M.B., zawierające świadectwa Luppolo, jest wyciągiem z rękopisu, który spoczywa w „skarbcu herezji” archiwum kijowskiego Muzeum Ateizmu Akademii Nauk USSR.

Kodeńska dowiodła, że pełny tekst wspomnień Luppolo został przywieziony na Wschód przez Quirinusa Kuhlmana, pochodzącego z Wrocławia mistyka i wizjonera. Oskarżony o bluźnierstwo Kuhlman spłonął na stosie w Moskwie w 1680 roku, a jego zbiory uległy konfiskacie. Oto fragmenty wersji „kijowskiej” przeniesione na karty Kardynała i magnata...:

„Jeden lubił grać, a drugi jeszcze bardziej, obaj mieli z tego radość, ale ja największą, bo musiałem tak tłumaczyć, żeby każdy był zadowolony z osiągniętego celu.

Pierwszy był Barberini, który uśmiechając się lewą częścią twarzy, podczas gdy prawa była nieuśmiechnięta – był to sławny w Rzymie tak zwany uśmiech Barberinich – powiedział do mnie:

– Czyżeś poinstruował Księcia, że jeśli chce mnie widzieć w dobrym nastroju, to winien używać tytułu Eminenza?

– Owszem, Eminencjo – odpowiadam i tłumaczę.

Sapieha skinął głową i powtórzył:

– Tak, Eminenza.

– Bo widzisz, mój drogi Sapieho, mówiono dawniej do kardynałów Eccellenza jak do książąt, ale to żaden zaszczyt. Potem Illustrissimus, zaszczyt wielki, owszem... Jednakże z uwagi na naszą szczególną pozycję umysłową, polityczną i artystyczną oraz światowe wpływy taka nazwa mi nie odpowiada. Niech Illustrissimus mówią, ale do zwyczajnych kardynałów. Zgodzisz się chyba? A do nas niech mówią Eminenza!

- Odmówić nie wypada – odrzekł Sapieha, co ja przetłumaczyłem: – Zgadzam się całkowicie.
- Bardzo łaskawys, Książę – skrzywił się Kardynał, a ja przetłumaczyłem: – Eminencja kontent i raduje się.
- Ja też się raduję – dopowiedział Sapieha.
- Radujesz się, doprawdy? – zaśmiał się Kardynał prawą częścią twarzy, podczas gdy lewa była smutna. – Sapieha, przecież wiemy, że radości w tobie mało... Pisziesz do mnie o jakiejś tajemnicy.
- Tak napisałem.
- I cóż to za tajemnica?
- Chciałbym słów parę powiedzieć o tym, co mi się przydarzyło, gdy w czasie Mszy świętej Madonna di Guadelupe z Dzieciątkiem w lewym ręku i z berłem w prawej łączyła toczyć dla mego uzdrowienia.
- I myślisz, że to tajemnica? – zaśmiał się Eminencja. – Rzym jest małym miastem. Wszyscy wiedzą o wszystkich. No, może nie wszyscy, ale nasz urząd z pewnością. Dziwak z ciebie, mości Książę. Toż o twym uzdrowieniu słyszeliśmy i żadnej z tego tajemnicy czynić nie zamierzamy.
- Był to cud! – powiedział Sapieha.
- Cud, powiadasz – odrzekł po chwili milczenia Barberini. – Owszem, wyglądasz tego i mnie mam, żeś uzdrowiony, ale rzecz wymaga wyjaśnienia. Byłeś chory, jesteś zdrowy, ale z jakiej przyczyny? Wymaga to czasu, badań i uczonego namysłu.
- A cóż tu myśleć! Byłem chory! Byłem skonaniam bliski, a teraz zdrow! Stało się tak za sprawą Madonny, co z obrazu łączyła toczyć ją! – wykrzykiwał dziarsko Sapieha. – Teraz chcę wrócić do kraju...
- Wracaj, wracaj!
- Ale biada mi, gdybym miał wracać na próżno...
- Na próżno... nie rozumiem.
- Po to was, Eminencja, prosiłem o widzenie... – Sapieha zerwał się z krzesła, przebiegł parę kroków i runął na kolana. – Błagam o zezwolenie zabrania wizerunku...
- Wizerunku?
- Tego wizerunku, co zaświadczać będzie, że gdy Ojciec Święty odszedł od ołtarza... i dziecina niewinna z matką dłonie błagalnie składały... zobaczyłem łączy... – krzyczał Sapieha.
- Sapieha, nie rycz mi tu niczym zwierz dziki.

- Toż ona płakała!
- Madonna?
- Madonna!
- Idzie ci o obraz Madonny Gregoriańskiej? No i co...
- Tak! Płakała! Chcę Madonny Gregoriańskiej! Błagam, Eminencjo!
- Kardynał powstał z fotela, podszedł do klęczącego Sapiehy i przyjrzał mu się z taką uwagą i zdziwieniem, jakby oglądał jakieś dziwadło.
- Powiedz mi, Sapieha, czyś spotkał kiedyś wielbłąda? – zapytał po dłuższej chwili milczenia.
- Widać było, że to pytanie zaskoczyło Księcia i zbiło go z tropu, choć szczwany z niego lis oraz bóbr.
- Wielbłąda, Eminencja?
- Wielbłąda – powtórzył Barberini.
- Pokazywano mi różne stwory. Elefanta z trąbą, ogon Bazyliszka, a też w naszych Kostomłotach Cielę dwugłową. Miałem w ręku kopyto Jednorożca... – Sapieha starał się wyraźnie zyskać na czasie, ale bez rezultatu.
- Mówmy o wielbłądzie – rzekł Kardynał. – Wzywam cię, żebyś powiedział prawdę. Widziałeś wielbłąda czy nie widziałeś?
- Widziałem.
- Wielbłąda! Widziałeś wielbłąda czy nie?!

- Tak!
- Zaprawdę! Zaprawdę! To nam ułatwia zadanie. Widziałeś wielbłąda i temu nie zaprzeczasz.
- Nie zaprzeczam.
- Aby na pewno?
- W żadnym przypadku!
- A czy wiesz, że wielbłąd jest najchutniejszym zwierzęciem, jakie istnieje, i poszedłby tysiąc mil za swoją samicą, wszelako będąc ze swą matką lub siostrami, nie tknie ich nigdy, tak bardzo umie się miarkować. Widzisz więc, mój Książę, że miarkowanie jest cnotą naturalną i łączącą wszelkie stworzenia Boże. Jednakże ja z kolei widzę, że twoja uwaga kieruje się ku zjawiskom, które jako wykwit braku pomiarkowania skazane są na żywot krótki i wątpliwy.
- Moja uwaga, Eminenza? – zdziwił się Sapieha.
- Czyż nie wspominałeś przed chwilą o Bazyliżku, Jednorożcu i Cielęciu dwugłowym?
- Eminencja widzi, że Sapieha, miast na perskim dywanie, ukląkł na kamiennej podłodze i bolał go kolana. Grzechem byłoby nie wykorzystać sprzyjającej sytuacji. Kładzie więc Barberini ciężką dłoń na ramieniu Księcia, opiera się nań całym ciałem i ból mu zadaje.
- Umiar, Sapieha, umiar i jeszcze raz umiar. Jak tu żyć bez umiaru? Pokaż mi tego, kto na własne oczy widział Bazyliżka lub Jednorożca. Toż to bajki i nie ma co sobie głowy nimi zaprzętać. Umiar ponad wszystko! Umiar, umiar i jeszcze raz umiar. A tobie go brakuje.
- Nie brakuje!
- A ja ci mówię, że brakuje. Przyjeżdżasz do Rzymu złożony wielkim cierpieniem ciała oraz duszy i opowiadasz wkoło, że chciałbyś znaleźć sobie miejsce w klasztorze...
- Bo chciałem do klasztoru... – jęknął Sapieha. – Bardzo chciałem. Do końca żywota mego...
- I poszedłeś do theatrum, w którym młodziankowie i dziewice sztuczki wszeteczne wyczyniają?
- Nie wiedziałem...
- Być może... Choć ludzie rozmaite rzeczy plotą... Byłeś w «Orso»?
- Chciałem tam stanąć, ale wielki ścisk...
- Ale byłeś!
- Mgnienie oka.
- A tu piszą do mnie twoi krajanie, młodzieńcy bogobojni, z dobrych rodów, Radziwiłł między nimi, żeś w «Orso» mówił im:

Żeby życie miało smaczek,
Raz dziewczynka, raz chłopaczek...

- Potwarz to! Potwarz! – zapewniał gorączkowo Sapieha. – To nie ja! To oni tak mówili!
- Groziłeś śmiercią temu łotrowi Pasqualiniemu, prawda to?
- Toż jego młodziankowie kuśki ku zgorszeniu świadków pokazywali publicznie.
- Kuśki, powiadasz? – zdziwił się Kardynał.
- Za przeproszeniem.
- Niech będzie, że kuśki, choć mnie mówili, że instrumenta rzeźbione. Nie to jest ważne. Ważne jest natomiast, dlaczego mu zapłaciłeś?
- Miałem nie płacić?
- Przecież płacąc, uznałeś tym samym, że Pasqualini jest w prawie. A czy może być w prawie łotr, który dziewice i młodzianków niewinnych ku zgorszeniu popycha? Odpowiedz.
- Nie może.
- Ale mu zapłaciłeś.
- To przez niemoc, co mi we łbie wszystko pomieszała.
- A zatem niemoc i wynikające z niej pomieszanie sprawiły, żeś wkrótce zaczął poniekórych wypytywać, czy Ojciec Święty z dobrej szlachty się wywodzi?

- To i o tym wiesz, Eminenza?
- Czy wiem? Pytałeś o korzenie rodu! Nie byle jakiego rodu, ale Barberinich! I po cóż ci to wiedzieć, nieszczęsny? Z jakiej przyczyny? W jakim celu? Gdzie tobie mierzyć się z nami?
- To z pomieszania w moim łbie głupim, Eminencjo.
- Też tak sędzę. Ale idźmy dalej. Twoje nagłe uzdrowienie...
- Cud to był, Eminencjo.
- Być może, być może... Ale miast krzyżem leżeć przed wizerunkiem świętym i dziękować za niespodziewany dar Madonny, każesz odnieść się do Grazziniego, krajacza trupów, który wedle naszej wiedzy ku herezji się skłania. I o czym toczy się rozmowa? O właściwościach oka. I o tym, czy twoja niezwykajna iluminacja nie wzięła się aby ze skrzywienia soczewki lub innej przypadłości fizycznej.
- Nie ze złej woli, Eminencjo. – Sapieha uderzył się w piersi. – Pytałem o oko, by zyskać pewność, że cud uzdrowienia...
- A więc nie miałeś pewności!
- Miałem i mam! Zdrow jestem na ciele i duszy. Innych dowodów mi nie trzeba. O jedno tylko błagam. Pozwól mi, Eminencjo, żeby obraz był ze mną! Na zbawienie... Nie chcę ani wotów drogocennych, ani złotych szat, którymi Matka Boża jest ozdobiona, tylko Jej wizerunku. W nim zawarta jest moja pewność.
- A czy wiesz, Książę, że ten obraz ma swoje miejsce wyznaczone przez samą Madonnę od setek lat?
- Jakże to? – zafrasował się Sapieha.
- Kiedy cudowna statua Maryi stworzona przez świętego Łukasza Ewangelistę przybyła do Rzymu w 585 roku, papież Grzegorz Wielki kazał wymalować najwierniejszą kopię posągu. Jej wykonanie zlecił opatowi benedyktynów, świętemu Augustynowi, późniejszemu apostołowi Brytanii. Augustyn nie był malarzem – zlecenie papieskie przyjął przez posłuszeństwo i gorąco się modlił o umiejętność. Świadkowie zapamiętali, że święty Augustyn, malując, miał oczy zamknięte, a jakaś niewidzialna siła posuwała dłoń jego po płótnie. W ten nadprzyrodzony sposób powstał obraz Madonny. Bóg nie zwlekał z okazaniem, że łaski przywiązane do posągu przelał na obraz według niego namalowany. Roku Pańskiego 590 wybuchła w Rzymie zaraza morowa, złośliwsza niż wszystkie, jakie pamiętano. Papież Grzegorz Wielki z obrazem Madonny ruszył wokół zapowietrzonego miasta. Gdy procesja dosięgła grobowca Hadriana, ludzie ujrzeli Anioła stojącego na szczycie i miecz ognisty, miecz gniewu Bożego, chowającego do pochwy. Od tej godziny obraz Madonny jest na zawsze związany z Rzymem. Sapieha, zrozum, sama chęć zabrania wizerunku z tego miejsca jest obrazą Matki Bożej!
- Obrazą? Nigdy! Ja nie proszę dla siebie! Nie dla własnej chwały! Ja proch i pył! Ja nicość! Ja dla wielkiej sprawy! Ziemia, gdzie mieszkam, pełna jest demonów. Na bagnach żyją, w puszczech i na drogach. Niektóre w biały dzień wędrowcom na plecy skaczą i krew z gardła piją. W ostępach poganin hołd zaskrońcowi składa! Mlekiem go poi! W miastach luter żąda przywileju, rękę po władzę wyciąga.
- A ty chcesz go wizerunkiem Maryi pokonać?
- A chcę!
- Dobry z ciebie człowiek i prawy chrześcijanin, ale porywasz się na sprawy nie swojej miary. Z końca świata do nas przybyłeś i pewnie nie wiesz, co Rzymowi dziś najbardziej zagraża. Udzielę ci zatem krótkiej lekcji. Że luter groźny jest – nie przeczę. Ale dziś nie on nam zagraża najbardziej.
- Kto zatem?
- Powikłanie interesów światowych sprawiło, że bliższy jest nam dziś protestant Gustaw Adolf ze Szwecji, który Niemcy pustoszy, niż cesarz austriacki, który zwąc się Apostolską Mością, chce doprowadzić do wyboru swego syna na rzymskiego króla, a klasztory przekształcić w kolegia. Czy wiesz, że jego sługa Wallenstein nie tak dawno obiecywał złupienie Miasta Świętego? A jeszcze ci dodam, że Hiszpania, nie lękając się gniewu Jego Świątobliwości, porozumiewa się potajemnie z

hugenotami, ażeby dywersję we Francji czynić, dając w ten sposób sposobność do wzmocnienia w Anglii sił nam przeciwnych... Nie na twoją głowę to wszystko!

– Moja głowa?! Przybyłem do Rzymu w cierpieniu, wracam w zdrowiu. Eminencjo, toż to są fakta, które stwierdzasz naocznie!

– Nie neguję. Ale i nie sadzę zarazem, by te fakta miały wpływ na stan rzeczy. Wybacz szczerść... ale wieści o cudownych uzdrowieniach, o widzeniach ekstraordinaryjnych i iluminacjach co dzień do nas docierają. Dużo jest serc gorejących. Dziękujemy za to Bogu. Mają jednak one to do siebie, że skażone pychą, zbyt często wikłają się w spór z rozumem, przeczą mu i w ten sposób łatwo ulegają podszeptom szatana.

– Ja jestem zdrów, Eminencjo!

– Wiem. Wracaj tedy do kraju z naszym błogosławieństwem. Służ dalej Pannie Najświętszej! Po to cię uzdrowiła! Służ, nie szczędząc sił! Ojciec Święty szczerze się wzruszył na wieść o łasce, która na ciebie spłynęła. Postanowił cię obdarować relikwiami, jako to palec świętej Cecylii, ząb świętego Wincentego, stopa świętego Kasprycjusza i wyschnięte ciało świętego Juliusza męczennika, senatora rzymskiego, z inskrypcją i lampką, którą ten wielki święty przy modłach zapalał...

Tłumaczę słowo po słowie, ale Sapieha ledwie mnie słucha. Spogląda z ukosa na Kardynała, szepcze coś do siebie, widzę, że układa w głowie nową kombinację. Jakoż po chwili odezwał się:

– Czy mogę wstać, Eminencjo?

– Wstać? – zdziwił się Kardynał, nie przywykły, by mu zadawano takie pytania.

– Kolana mnie bolą od klęczenia.

– Jeśli musisz... – rzekł Kardynał, ale jak go znam, nie był zadowolony.

Natomiast na twarzy Sapiehy zarysował się wyraz triumfu.

– Eminencjo, serce moje przepelnia się wdzięcznością dla Ojca Świętego, a także dla ciebie za te niezwykle dary. Jako że jednak rozum mój jest uzdrowionym, muszę zadać pytanie.

– Zadaj!

– Sługa mój, dobrego rodu szlachcic, wysłanym przeze mnie będąc na Malte, widział tam prawą dłoń Jana Baptisty, świeżuchną, jakby dopiero od ciała odjętą...

– Prawda, na Malcie mógł widzieć. W kryształowej ampule tam spoczywa.

– Sługa mój w drodze powrotnej płynął statkiem do Wenecji, gdzie mu też pokazano prawą dłoń Jana Baptisty, świeżuchną, jakby dopiero od ciała odjętą...

Zapadło milczenie, które przerwał rozzłoszczony Kardynał:

– Jak brzmi pytanie?

– Dlaczego nie chcesz mi wydać obrazu, Eminencjo?

– Jesteś uparty, Sapieha.

– Jestem uzdrowiony!

– A gdybym uprosił Ojca Świętego, by zlecił któremuś z naszych malarzy wykonanie kopii obrazu? Valentin de Boulogne niezgorzej trzyma pędzel. Albo Nicolas Poussin. Obaj chętni do pracy... Nie wykluczałbym, że prawem analogii także i na tę kopię spłynąć może cudowne tchnienie...

– Rozumiem, że Ojciec Święty zatrzymałby kopię, mnie dając dzieło świętego Augustyna?

– Oszalałeś?! Żadna moc ludzka nie zabierze z Rzymu Madonny di Guadelupe.

– Dlaczego?

– Chcesz wiedzieć? – krzyknął pobladły Kardynał.

– Po to przybyłem!

– Taka jest wola Madonny.

– A skąd to wiadomo, Eminencjo?

– Ja wiem!

– Miałebyś widzenie? – podniósł nagle głos Sapieha.

– Fakta, Książę – powiedział cicho Barberini. – Fakta naoczne.

– Jakie fakta?

- Wspomniałeś przed chwilą dziecinę, co wraz z matka błagała Ojca Świętego o uzdrowienie.
- Do końca życia ich nie zapomnę. To one skierowały moje oczy na oblicze Maryi.
- Wiedz w takim razie, że wczoraj dziecina odeszła z tego świata w wielkich mękach. Jej matka za nią. W straszny sposób, choć przecież była zdrową...

Wypowiedziawszy te słowa, Kardynał zaszlochał i wyszedł z komnaty. (...)

Wracaliśmy do domu w ponurym milczeniu. Dopiero u progu gospody zaśmiał się cicho Sapiaha i powiedział:

– Quod erat demonstrandum, Luppolo. Tyle ci tylko powiem... – I zażądał, bym go spotkał z Baptystą Corbino, zakrystianem. (...)

A potem ukradł wizerunek Madonny i uciekł z Rzymu”.

*

Podziw dla umiejętności badawczych, podziw dla duchowej odwagi, podziw dla piękna stylu – cóż innego mógłby odczuwać sprawiedliwy czytelnik Kardynała i magnata...? Rzecz w tym, że zbrakło w świecie człowieka, który by przyłożył sprawiedliwą miarę do prac Elżbiety Kodeńskiej. Jej eseje przyjmowano z rezerwą, niechęcią zgoła. Środowiskowa małoduszność? zawiść? złośliwość? Wskutek intryg szefa katedry, skądinąd zasłużonego historyka, kilka renomowanych wydawnictw odmówiło wydania książki Kardynał i magnat.... Ale Kodeńska nie poddała się jałowej rezygnacji. W maju 1980 roku (a była wtedy w piątym miesiącu ciąży) bolońska oficyna Corvus Albus ukończyła druk jej dzieła. Niestety, cały nakład Kardynała i magnata... uległ zniszczeniu w czasie pożaru drukarni. Mimo że istniały dowody podpalenia magazynu, prokurator umorzył śledztwo z powodu niewykrycia sprawców. Ten cios boleśnie dotknął młodą autorkę. Komplikacje zdrowotne zmusiły ją do dłuższego pobytu w szpitalu, ale nawet i tam nie przerywała pracy, pisząc artykuły Sprawa Baptysty Corbino w świetle świadectw i Prawda i zmyślenie o śmierci Mikołaja Piusa Sapiahy. W obu rozprawach Autorka doprowadziła do finału wątki znane nam z Kardynała i magnata.

*

Pisała Elżbieta Kodeńska w artykule Sprawa Baptysty Corbino w świetle świadectw:

"Według opinii rozpowszechnianych przez badaczy dawniejszych zakrystian Baptysta Corbino był osobnikiem wzbudzającym raczej odrazę niż współczucie. Lista wysuwanych wobec niego zarzutów jest gorsząco długa. Mówi się, że był obsesyjnym hazardzistą i nie stronił od alkoholu. Że chwytało go kilkakrotnie na sprzedawaniu naiwnym państkom chusteczek z papieską śliną i śluzem z nosa. Że wiadomo o jego konszachtach z astrologami uwikłanymi w spiskowanie przeciw papieżowi. Że zły mąż i wyrodny ojciec – skazał liczne swe potomstwo na poniewierkę. Że był agentem w służbie obcych wywiadów. Że uznawano go powszechnie za niedorozwiniętego głupca. Któż w tej sytuacji wytłumaczy powody, dla których Urban VIII godził się na jego obecność w Watykanie?

Ten czarny, zgoła demoniczny portret ma, rzecz jasna, uzasadnić i uwiarygodnić oskarżenie Corbino o to, że za opłatą trzystu dukatów złotych wyciął obraz Madonny Gregoriańskiej z ram i wręczył go Sapieszemu czekającemu w stajni gospody «Purgatorio».

Tradycja – którą niniejszym poddajemy krytycznemu namysłowi – przedstawia następujący porządek wydarzeń:

św. Pawła Apostoła, 29 czerwca, późne popołudnie – Sapiaha opuszcza siedzibę kardynała Francesco Barberiniego;

św. Pawła Apostoła, wieczór – Sapiaha namawia Baptystę Corbino do kradzieży wizerunku Madonny Gregoriańskiej, obiecując – po pierwsze – zapłatę w wysokości trzystu złotych dukatów oraz – po drugie – pomoc w ucieczce przed niechybną karą. Sapiaha liczy, że z uwagi na nieobecność

papieża w Rzymie do następnego odsłonięcia wizerunku Maryi dojdzie dopiero na św. Piusa. Oświadcza więc przekupnemu zakrystianowi:

«Jutro, załatwiwszy się z tobą, pojedę do Castel Gandolfo na łowy z Jego Świątobliwością, na trzy dni, dla niepoznaki... Dziś jest poniedziałek. W piątek wieczorem wrócę do gospody, a w sobotę zapewne wyjadę. Tedy w nocy z piątku na sobotę możesz się tu zgłosić...» (w celu wspólnej ucieczki – przypis mój, E.K.);

św. Pawła Apostoła, noc – uzbrojony w nóż Corbino udaje się do kaplicy i wycina wizerunek Madonny z ram;

św. Władysława, 30 czerwca, brzask – Corbino wręcza obraz Sapiesz; Sapieha śpiesznie opuszcza Rzym, planując dotarcie do Kodnia w ciągu dziesięciu tygodni, a więc na 15 września;

św. Eparchiusa, 1 lipca, poranek – kardynał Barberini stwierdza wykradzenie wizerunku Madonny. Za Sapiehą rusza pogoń;

św. Monegundy, 2 lipca, popołudnie – Corbino w czasie gry w kości chwali się złotymi dukatami. Aresztowany – natychmiast przyznaje się do świętokradztwa;

św. Monegundy, wieczór – wiadomość o kradzieży obrazu dociera do papieża, który podejmuje decyzję o ekskomunikowaniu Sapiehy;

św. Makryny, 19 lipca, trasą Verona–Treviso–Belluna, przez rwący nurt Tagliamento, górami (na wysokości ponad 2400 m n.p.m.) w stronę Villach, Sapieha skręca ku Lublanie i tam zarządza kilkudniowy odpoczynek.

Mało to wszystko wiarygodne.

Sapieha nie mógł w ciągu siedmiu dni przebyć trasy Belluna–droga ku Villach–okolice Lublany, A.D. 1631 bowiem przez niemal całe lato leżał tam śnieg, a częste lawiny uniemożliwiały podróż w tak zawrotnym tempie. Gdyby więc Sapieha wyruszył z Rzymu 29 czerwca 1631 roku, to dotarłby do Kodnia nie wcześniej niż w pierwszych dniach listopada. A wiemy, że uroczyste wprowadzenie obrazu dokonane zostało 15 września 1631 roku.

Papież nie mógł dowiedzieć się na św. Monegundy o kradzieży obrazu, bo goniec nie dotarłby w ciągu jednego dnia z Rzymu do Castelfranco.

I tu właśnie kryje się błąd moich poprzedników.

Powtarzam: błąd!

Powtarzam: nie Castel Gandolfo, lecz Castelfranco!

Bo A.D. 1631 roku Urban VIII odbył tylko jedną podróż. Właśnie do Castelfranco. Wyruszył 5 maja – powrócił 19 maja, na św. Urbana I. Tylko wtedy Sapieha mógł wejść w posiadanie cudownego obrazu. Tylko wtedy mógł powiedzieć do Corbino:

«Jutro, załatwiwszy się z tobą, pojedę do Castel Gandolfo na łowy z Jego Świątobliwością, na trzy dni, dla niepoznaki... Dziś jest poniedziałek. W piątek wieczorem wrócę do gospody, a w sobotę zapewne wyjadę. Tedy w nocy z piątku na sobotę możesz się tu zgłosić...»

Na łowy do Castel Gandolfo?

Przecież papież wyruszył do Castelfranco.

Tak! do Castelfranco – i Corbino o tym wiedział!

Widział zatem, że Sapieha jest albo źle poinformowany, albo – co bardziej prawdopodobne – chce go oszukać i rzucić w ofierze spodziewanemu pościgowi.

Dlaczego więc milczał nieszczęsny zakrystian?

Dlaczego udawał, że ufa udzielonej mu przez Sapiehę obietnicy ucieczki?

Dlaczego potem ostentacyjnie szastał złotymi talarami?

Dlaczego w chwili aresztowania nie zwlekał z przyznaniem się do zbrodni świętokradztwa?

Pieniądze i wpływy chronią dobre imię możliwych tak za życia, jak i po śmierci. Biedak może zyskać wielkość tylko w chwili konania, w akcie przejścia od nędzy istnienia do łagodnej ciszy grobu. Ale i to będzie mu odebrane przez historyków omamionych zwodniczym blaskiem sławy!

Czy nie tak właśnie ułożyły się losy Baptysty Corbino?

Z odkrytej przeze mnie relacji Luppolo, spoczywającej w tzw. skarbcu herezji archiwum kijowskiego Muzeum Ateizmu Akademii Nauk USSR (o czym szerzej pisałam w Kardynale i magnacie...), dowiadujemy się, że:

«Corbino był to człowiek biedny i wielce nieszczęśliwy. Żona urodziła mu całą kupę dzieci, ze dwadzieścia żywych (martwych nie zliczę), w połowie bez jego udziału, bo za młodu była piękna i chętna, a potem on jej nie dotykał, a jej chęć została. Z posług kościelnych nie szło mu utrzymać rodziny, zaczął grać w kości bez większego szczęścia, zadłużył się u wielu. I u mnie też. Widząc, że jego żona po raz dwudziesty jest w ciąży, papież śmiał się i nazywał ją lochą watykańską, co było zakrystianowi nie w smak. Takie są powody nienawiści Corbino do papieża. Gdyby mógł, toby go zabił, ale stało się odwrotnie. A co do żony, to oszalała, jak tylko go uwięziono, a dzieci poszły w świat, wygnane przez kamieniarza Pogginię, który ich dom zajął zupełnie bezprawnie. Słyszałem, że najmłodszy syn Corbino zamieszkał w Antwerpii i jest filozofem albo porucznikiem straży portowej, inni znów mówią, że handluje zakazanymi książkami, ale czy to prawda, nie wiem».

Z kolei medyk Grazzini w skierowanej do papieża prośbie o zezwolenia na powrót do Rzymu (patrz Kardynał i magnat...) wzmiankował:

«I wiedz, Ojciec Święty, że jeśli Corbino umarł, to nie z Twojej woli, ale własnej; i w ten sposób odpowiedział Ci poniżeniem na poniżenia, które mu przez lata zadawałeś. Mógł uciekać – nie uczynił tego. Czekał na siepaczy z podniesionym czołem. On wybrał – tyś wykonał!»

Sporo też wyjaśnia napisany w 1641 roku list Grazzinię do mieszkającego w Antwerpii drukarza i wydawcy Guliano Pietro Gambacorta:

«O tej sprawie wielu chciałoby wiedzieć więcej od innych, ale nie będą wiedzieć. Ja wiem dużo i przekazuję Tobie, a będziesz milczał jak grób, drogi Pietro, bo umiesz dbać o swoje interesy, i w ten sposób ci, co chcieliby wiedzieć więcej od innych, nadal nie będą wiedzieć, a ty się ucieszysz.

Późną nocą szóstego dnia maja 1631 roku, na świętego Filipa Apostoła, przyszedł Ten, o którego pytasz, i opowiedział mi, jak następuje:

W czasie Mszy św. kuzynka biskupa Giacinto Centino, pani Giulia, uklękła przed Papieżem i z płaczem wykrzyknęła: – Ojciec Święty, zmiłuj się! Jak długo ta dziecina niewinna ma cierpieć męki, których nikt nie zniesie?! – I drżącymi dłońmi zdejmując z klęczącej obok niej dzieciny strojną szatę, pod którą ciało całe pokryte wrzodami ciekącymi, pełnymi ruchliwego robactwa, gnijące do kości, a może kości też zgniłe, co świadczy, że kres cierpień szczęśliwie już niedaleki. Ojciec Święty rzekł szorstko: – Nie bluźnij, niewiasto! – Na co jeden Książę Sapieha zerwał się z pięściami wzniesionymi nad głową, by żądać odeń zmiłowania, ale wtedy z oczu Madonny Gregoriańskiej trysnął promień światła i potoczyły się łzy. Książę upadł na ziemię bez przytomności i obecni zwrócili się w jego stronę, tak że łez płynących po twarzy Madonny nie mogli zobaczyć – prócz Sapiehy i Tego, o którego pytasz.

Wiedząc, że znam Sapiechę i trochę z nim przebywam, Ten, o którego pytasz, posłał po mnie, dając mi tym samym okazję zarobienia paru skudów. On sam o złoto już nie dba, bo ma go wystarczająco dużo. I położył przede mną worek ze złotem. I mówił dalej, jak następuje:

Ledwie co przyszedł do niego Sapieha i mówił, żeby za trzysta złotych dukatów wyciąć z ram wizerunek Madonny Gregoriańskiej i dać mu, bo taka jest Jej wola, którą łzami zaświadczyła w czasie Mszy św.

– Toż to grzech śmiertelny! – odrzekł Ten, o którego pytasz. – Nie uczynię tego, na miły Bóg!

– A czy łzy na twarzy Madonny nic dla ciebie nie znaczą? Widziałeś je przecież! – zapytał Sapieha.

– Widziałem!

– A kto jeszcze widział?

- Nikt prócz nas dwóch.
- Nikt?
- Nikt, przysięgam na moje dzieci!
- Może Papież?
- Spieszył się. Odszedł, nie patrząc.
- Czyli żeś został powołany! – krzyknął Sapiaha.

I mówił dalej Ten, o którego pytasz, że zgodził się wyciąć obraz z ram, bo oczy Sapielchy są czyste i serce jego też czyste niczym te łzy boleści spływające po wizerunku Maryi. I nawet jak kłamie, to też w czystości, czyli w dobrej sprawie to czyni – nawet się nie domyślając, że jego kłamstwo wyzwała prawdę. Czyli, że jest to szczególnie przypadek *felix culpa*.

I mówił Ten, o którego pytasz, że Sapiaha obiecał mu pomoc w ucieczce, ale nieprawdziwie.

I Ten, o którego pytasz, uznał to za znak łaski. Bo z taką wiedzą nie musi już się bać. Weźmie na siebie brzemię zbrodni, która nie jest zbrodnią. Weźmie je na siebie – żeby bez strachu spojrzeć w oczy oprawcom. Tak chce i tak będzie.

Prosiłem, żeby tego nie czynił, jeśli życie mu miłe.

Ale Ten, o którego pytasz, odrzekł, że życie wcale mu nie jest miłe. Tak żyć jak teraz już nie chce, a inaczej nie potrafi. Gardła sobie nie podetnie, bo to grzech najstraszliwszy, ale Najświętsza Paniienka łzami rozświetliła mu drogę i natchnęła nadzieję.

Potem podzielił złote dukaty na dwie części. W jednej było czterdzieści, w drugiej dwieście i sześćdziesiąt.

Pierwszą część wziął ze sobą i poszedł grać w kości, drugą mnie zostawił, prosząc, bym te skarby dobrze ulokował, z korzyścią dla jego rodziny.

Ja z kolei dwieście i sześćdziesiąt podzieliłem po połowie, z których pierwszą częścią obracał przez dziesięć lat zacny Giacomo Banchi z synami, a drugą ja sam. I chociaż dzisiaj pieniądz jest gorszy niż wtedy, to po odjęciu kosztów bankierskich i innych oraz niewielkiej dla mnie prowizji zostaje dwanaście tysięcy i czterysta złotych skudów, które wysłałem onegdaj do Ciebie, drogi Pietro, życząc Ci zdrowia i żebyś też mógł komuś rękę podać w potrzebie».

Nawiasem mówiąc, adresat cytowanego wyżej listu, Guliano Pietro Gambacorta, sprzedał w 1671 roku drukarnię w Antwerpii i przeprowadził się do Rzymu. Jego wnuk Michelangelo Gambacorta był autorem i wydawcą książki *Episodia da Roma antiqua*, którą zajmujemy się niebawem.

Nie ulega już teraz wątpliwości, że przebieg wydarzeń związanych z kradzieżą wizerunku Matki Bożej Gregoriańskiej był następujący:

św. Filipa Apostoła, męczennika, 6 maja, późne popołudnie – koniec audiencji u kardynała Barberiniego. Sapiaha opuszcza Kwirynał. Prosi Luppolo o nawiązanie kontaktu z zakrystianem Corbino;

św. Filipa Apostoła, męczennika, wieczór – Sapiaha namawia Corbino do kradzieży wizerunku Madonny Gregoriańskiej, obiecując – po pierwsze – zapłatę w wysokości trzystu złotych dukatów oraz – po drugie – pomoc w ucieczce przed niechybną karą. Sapiaha liczy, że z uwagi na nieobecność papieża w Rzymie do następnego odsłonięcia wizerunku Maryi dojdzie dopiero na dzień św. Urbana I. Oświadcza więc zakrystianowi:

«Jutro, załatwiwszy się z tobą, pojedę do Castel Gandolfo na łowy z Jego Świątobliwością, na trzy dni, dla niepoznaki... Dziś jest poniedziałek. W piątek wieczorem wrócę do gospody, a w sobotę zapewne wyjadę. Tedy w nocy z piątku na sobotę możesz się tu zgłosić...»;

św. Filipa Apostoła, męczennika, noc – uzbrojony w nóż Corbino udaje się do kaplicy i wycina wizerunek Madonny z ram;

św. Kwadratusa, męczennika, 7 maja, brzask – Corbino wręcza obraz Sapieszemu;

św. Kwadratusa, męczennika, brzask – Sapieha śpiesznie opuszcza Rzym, planując dotarcie do Kodnia na początek września;

św. Stanisława, 8 maja, popołudnie – Corbino w czasie gry w kości chwali się złotymi dukatami. Głośno opowiada, że otrzymał je za wykradzenie obrazu. Aresztowany, natychmiast przyznaje się do świętokradztwa. Odmawia natomiast jakichkolwiek zeznań na temat współników;

św. Stanisława, wieczór – kardynał Barberini dowiadyuje się o aresztowaniu Corbino. Wraz z kardynałem de Torres udaje się do Watykanu, by stwierdzić naocznie, że obraz został wykradzony. Za Sapię rusza pogoń;

św. Mamerta, 11 maja, wieczór – wiadomość o kradzieży obrazu dociera do papieża, który podejmuje decyzję o ekskomunikowaniu Sapię; torturowany Corbino nadal odmawia zeznań na temat współników;

św. Bonifacego, 14 maja – śmierć Corbino (prawdopodobnie wskutek uduszenia);

25 maja – Sapieha po przejściu trasy Verona–Treviso–Belluna – przez rwący nurt Tagliamento – górami (na wysokości ponad 2400 m n.p.m) w stronę Villach, skręca ku Lublanie i tam zarządza kilkudniowy odpoczynek;

28 sierpnia 1631 – Sapieha przybywa do Kodnia;

15 września 1631, Kodeń – Sapieha w obecności duchowieństwa i licznie zgromadzonych wiernych uroczyście, z fanfarami i wystrzałami armatnimi wprowadza obraz Matki Bożej z Gwadelupy do zamkowego kościoła;

16 września 1631 – Sapieha dowiadyuje się, że jako zbrodniarz został obłożony klątwą wieczystą, przez Kościół za zmarłego uznany, wzbronione jest mu Imię Boga, wzbronione są Sakramenty św., wzbronione obcowanie z wiernymi, wzbroniony po śmierci pochówek w poświęcanej ziemi. Wyłączony na wieki wieków ze wspólnoty chrześcijańskiej... jego żona od tej chwili jest wdową, a dzieci – sierotami...”

*

Z kolei w artykule Prawda i zmyślenie o śmierci Mikołaja Sapię Elżbieta Kodeńska pisała:

„Zbrodniarz, przez Kościół za zmarłego uznany, wzbronione jest mu Imię Boga, wzbronione Sakramenty św., wzbronione obcowanie z wiernymi... Co czuł Sapieha, słysząc słowa wyroku? Co czuł w czasie modlitwy – on, któremu wzbroniono?...”

Przerażająca kara!

Na szczęście jej ciężar niezbyt długo spoczywał na barkach Mikołaja Piusa Sapię. Choć wyklęty – nie przestał być chorążym Wielkiego Księstwa Litewskiego, a w styczniu 1635 roku uzyskał tytuł marszałka nadwornego W.Ks.L. Badacze dawniejsi twierdzili, że Urban VIII wycofał ekskomunikę w dniu 3 maja 1635 roku pod wpływem usilnych starań arcybiskupa Viscontiego. Sukces tych starań mógł zapewne ułatwić Viscontiemu prowadzenie z Sapię wielce niewygodnych negocjacji «wekslowych». Jest też prawdopodobne, że arcybiskup myślał o wykorzystaniu księcia w skomplikowanej grze przeciw «łaskawemu dla dysydentów» królowi Władysławowi, choć wątpliwe, by Sapieha przystał na udział w intrydze.

Moi poprzednicy nadali też spore znaczenie powtórnej – pieszej – pielgrzymce Sapię do Rzymu. Nie określili jednak ani jej daty, ani też szczególnych okoliczności z nią związanych. Koszak-Szczucka pisała:

«Uroczyście i serdecznie witał Ojciec Święty niedawnego świętokradcę. Wokoło tronu zebrali się kardynałowie oraz przedstawiciele obcych państw przy Watykanie. Przed posłem hiszpańskim paziowie trzymali na poduszce order Złotego Runa, dar króla Filipa dla Kodnia, w dowód tożsamości obrazu Madonny z czcigodną Łukaszową statuą Guadelupeńską. Gdy wojewoda, wyczyszczony ochędźnie z pyłu i błota, lecz wciąż w pielgrzymim stroju i chodakach, padł z płaczem do nóg

Ojca Świętego, Urban VIII podniósł go czule i uściskał. Wojewodzińscy rękodajni wysunęli się wtedy, okrywając barki pana kosztowną książeczką delią, a do ręki wtykając sobolowy kołpak z białą czapłą kitą i brylantowym otrzęsieniem».

Piękny obraz, mieniący się barwami, godny mistrzowskiego pędzla – i aż szkoda, że nie znajduje potwierdzenia źródłowego. Owszem – wiadomo, że Sapieha udał się po raz wtóry do Rzymu jesienią 1643 roku. Na podstawie odnalezionej przeze mnie księgi rachunkowej gospody «Orso» możemy stwierdzić, że przybył tam wraz ze swym nielicznym orszakiem 20 października 1643, a wyruszył w drogę powrotną sześć dni później. Nie ma jednak śladu dokumentów stwierdzających, że został przyjęty przez Urbana VIII, a informacja o orderze Złotego Runa «dla Kodnia w dowód tożsamości obrazu Madonny z czcigodną Łukaszową statua Guadelupeńską» jest śmiechu warta. Nie znamy daty powrotu Mikołaja Sapiehy do Polski. Swój testament – jak podają Sapiehowie. Materiały historyczno-genealogiczne i majątkowe – spisał 10 marca 1644 roku. Zmarł w Lublinie 14 marca 1644 roku; pochowany został w Kodniu miesiąc później.

Byłżeby to koniec opowieści o niezwykłych czynach Mikołaja Sapiehy?

Szczęśliwy przypadek – lub może coś więcej niż przypadek – kazał mi dokładniej przyjrzeć się osobie Eduarda de Rosana, świadka cudownego uzdrowienia Sapiehy. Pisałam w Kardynale i magnacie...:

«Wiadomo o nim niewiele ponad to, że filozof i poeta (przyjaciel Giambattisty Marino), w 1611 roku w czasie dysputy nad dziełem Alfonsa Rodrigueza oskarżał autora sławnych *Exercicio de perfeccion y virtudes cristianas* o danie posłuchu złym podszeptom przeciw prawdzie kontemplacji biernej', czym naraził się władzom Towarzystwa Jezusowego, oraz że z polecenia Stolicy Apostolskiej uczestniczył incognito (zgoła w przebraniu) w pogrzebie Sapiehy w Kodniu w 1644 r.»

Dziś, dzięki dostępowi do archiwum Taddeo Barberiniego, wiemy znacznie więcej. Eduardo de Rosan to pseudonim Eduarda von Bernsteina, utalentowanego filozofa, malarza, poety i inżyniera wojskowego, który w latach 1629–1633 prowadził wykład sztuki wojennej dla oficerów armii papieskiej, a w latach późniejszych kierował watykańską służbą wywiadowczą na terenie Saksonii i Brandenburgii.

Analiza spoczywającej w Bibliotece Uniwersytetu w Amsterdamie relacji de Rosana na temat okoliczności cudownego uzdrowienia Sapiehy naprowadziła mnie na trop skromnego odkrycia. Okazało się bowiem, że relacja «amsterdamska» jest fragmentem większej całości, a mianowicie pamiętnika de Rosana, obejmującego lata 1625–1648 – zdeponowanego w paryskim archiwum Stowarzyszenia Czciocieli św. Graala. Zrazu wydawało się – ku memu rozczarowaniu – że katalog archiwum Stowarzyszenia nie zawiera takiej pozycji. Po dłuższych wszakże poszukiwaniach (w których nieocenionej przyjacielskiej pomocy udzielił mi prof. S. Muller-Sophié, Kanclerz Stowarzyszenia) ustaliłam, że ostrożny de Rosan zaszyfrował swe wspomnienia w rękopisie pod tytułem *Przewodnik żołnierza chrześcijańskiego. Machiny obłąknicze i ich zwalczanie. Stosowne do tego modlitwy*. Niektóre partie pamiętnika pokrywają się z raportami de Rosana kierowanymi na ręce Taddea Barberiniego.

Oto fragment wspomnień de Rosana-von Bernsteina:

«Zatrzymawszy się w styczniu na kilka dni nieopodal miasta Berlin, dostaję kurierem list od Taddea, bym w związku z jesiennym pobytem Sapiehy w Rzymie natychmiast ruszał do Kodnia, był tam nie później niż w lutym i z ukrycia pilnie baczył na bieg spraw dotyczących pogrzebu.

Smutek mnie ogarnął, bo wiem od zaufanych mi ludzi, że droga w Polsce trudna, w śniegu i lodzie, karczmy brudne, pełne robactwa, ludzie śpią w jednej izbie z bydłem, jedzenie podłe, a pijaństwo bez granic. Biorę parę sztuk jedwabiu, pomarańczy i cytryn w cukrze, szafranu, pieprzu oraz kwiatu muszkatelowego wóz cały i udając kupca, dojeżdżam w wielkim trudzie do miasta Lublin na 15 marca A.D. 1644, aby wkrótce, skręciwszy ku północy, osiągnąć Kodeń (...)

W karczmie szlachec jeden mówi mi, że wczoraj w Lublinie zmarł Mikołaj Sapieha, kasztelan wileński.

Do dziś dnia nie mogę pojąć, w jaki sposób Taddeo Barberini przewidział śmierć Sapiehy, i to akurat na marzec, bo astrologów nie miał udatnych, choć ciągnęli z niego wielkie korzyści. (...)

We Włodawie widziałem krwawą walkę psa ze świnią. Stawiałem na swinię talara. Wygrałem trzy talary, ale miejscowe, ze złego metalu. Świnię zabito i cały dzień robiono kielbasy. Psa też zabito, mówiąc, że wściekły (...) Karczmarz opowiada, że słyszał od rabina, jakoby Sapieha został jesienią ubiegłego roku w Rzymie żywcem wzięty do nieba, tak jak stał, a trumna jest pusta i chować ją będą dla ukrycia prawdy. Ów rabin zwie się Lejb Chaim z Brześcia i jest tak stary, że już nie chce mówić z uczniami, tylko każe im się ćwiczyć w sztuce milczenia. Straszna ciemnota tu panuje (...).

Pogrzeb był dostojny».

Tu de Rosan poświęcił sporo miejsca opisowi pogrzebu oraz towarzyszących mu uczt i zabaw.

«Trumnę przykrytą aksamitem czarnym i szkarlatem ciągnęło osiem koni po dwa, w pięknej uprzęży. Za trumną kroczył rumak obleczony na czerwono i czarno, a obok jechał wierzchem rycerz w czarnej atlasowej szubie z sobolowym futrem narzuconej na zbroję, kopią i mieczem w dłoniach, a tak był podobny do Sapiehy sprzed trzynastu lat, że aż się zdziwiłem, ale potem wyszło, że twarz ma umalowaną na podobieństwo Księcia.

Taki jest zwyczaj w Polsce (u nas już dawno zarzucony), że na pogrzeb wielkiego pana bierze się kogoś młodszego, przebiera za zmarłego, żeby wjechawszy za trumną do kościoła, spadł z konia tuż przed katafalkiem dla spotęgowania grozy i rozpaczy (...) Byłem świadkiem, że tym razem koń się przestraszył i runął na katafalk, skutkiem czego jeździec w zbroi spadł na trumnę i rozbił jej wieko, łamiąc ręce i nogi. I przysięgam na honor, że trumna była pusta, czyli że Sapiehy w niej nie było ani nikogo innego tam nie było – o czym postanowiłem natychmiast powiadomić moich mocodawców (...)

Na biesiadzie siedział po lewej stronie Książdz stary, dosyć wesoły, po prawej stronie szlachcic siwy, bardzo stary, zasmucony, z wielkim brzuchem. Wrzucali w siebie bez umiaru pieczeń z żubra, łapy z niedźwiedzia, sarnie kielbasy, ryby pływające w sosie szafranowym, całego zająca, gęś, dwa bażanty, kuropatwy, przepiórki i wróble pieczone, rynkę grochu rozartego ze słoniną i jeszcze raz to samo od początku, nie licząc łazanek z makowym mlekiem i wielkich klusek z serem, a rozochociwszy się, przepijali do mnie i mrugali przyjacielsko. Było tam też sporo kuglarzy i grajków, ale muzyka szła im nieskładnie, bo wszyscy napici ponad miarę. Panny malują tu policzki burakiem. (...)

Budzę się rano ze związanymi rękami i nogami w nieznanym miejscu. Stoi nade mną ów gruby szlachcic i mówi, że pałając braterskim uczuciem, wziął mnie do niewoli. Krzywdy nie uczyni, ale i nie pozwoli odjechać, póki z nim kilku dni nie spędzę w gościnie, jak tradycja każe. I tak się stało, że od piątku do następnej soboty trzymał mnie związanego i w zamknięciu, karmił jak gęś i zmuszał do picia wina węgierskiego słodkiego jak ulepek i miodu, i wódki gdańskiej, i piwa, i znów wina węgierskiego. Kiedy odmawiałem, kazał trzem dziewczkom siłą napitki wlewać mi do gardła. Sam jadł i pił bez przymusu, i mrugał do dziewczek, i z nimi wychodził. Dziewki rosłe, rumiane, z warkoczami do ziemi. Twierdził, że to jego córki, ale mnie tam nic do tego. A kiedy pod wpływem tego wszystkiego zaczynałem tracić rozeznanie, pytał o moje wrażenia z pogrzebu Sapiehy. W nocy nawiedzał mnie ów stary Książdz i zachęcał do spowiedzi (...) Ciągnęły się te tortury dni siedem. Po siedmiu dniach powiedziałem, że nic nie pamiętam, ale mi nie uwierzył gruby szlachcic. Przyśiągłem więc na Wszystkich Świętych, że nie pamiętam i nigdy sobie nie przypomnę. – A czego to sobie Waćpan nie przypomnisz? – zapytał. – Nie pamiętam... – jęknąłem boleśnie. Wtedy mnie uwolnił, obdarowując złotym pierścieniem z napisem: *Exultet iam angelica turba caelorum...* (...)

Szlachcic zwany jest Januarius i od młodu służył jeszcze pod ojcem Mikołaja Sapiehy jako leutenant. Książdz też blisko śp. Księcia przebywał (...)

Ostatniego wieczoru w czasie kolacji z Księdzem i ze mną upił się Januarius i opowiadał, jakoby w czasie wojny, dawnymi czasy, Sapieha rozciął brzuch krowie i znalazł w środku ludzką niemowlę, i z tego wzięła się jego melancholia, bo przecież logika Prawa Bożego stanowi, że krowa

bierze się od krowy, a człowiek od człowieka, inaczej Prawo Boże jest zgwałcone, i co z tym robić? – Więcej powiedzieć nie możesz – przerwał mu Książd. – Więcej powiedzieć nie mogę, bo zaprzysiągłem w Rzymie na zbawienie duszy, że zachowam tajemnicę... – potwierdził Januarius. – Inaczej stos mnie czeka.

Na to słowa Książd przepił do mnie z przymilnym uśmiechem, Januarius zaś poszedł do swoich dziewczek, które później głośno piszczały».

Czego się bał sędziwy Januariusz? W sprawie jakiej tajemnicy musiał przysięgać w Rzymie na zbawienie duszy? Przed kim? Kto mu groził stosem? Dlaczego Januariusz uznał za konieczne uwięzienie de Rosana? Dlaczego tak bardzo chciał się upewnić, czy de Rosan spostrzegł, że trumna Sapiehy była pusta? Jaką informację chciał przekazać de Rosanowi, mówiąc, że «dawnymi czasy Sapieha rozciął brzuch krowie i znalazł w środku ludzką niemowlę, i z tego wzięła się jego melancholia»? A może to starcze zdziwienie? Może żart, w płataniu których Januariusz, zmysłowy, doceniający rozkosze życia, musiał być mistrzem?

Zdarzało się w tamtych czasach, że szlachcic znudzony monotonią życia rodzinnego wyjeżdżał na trakt, brał do niewoli jakiegoś odpowiadającego mu wyglądem podróżnego, by zmusić go do uctowania. Taka właśnie przygoda spotkała w drugiej połowie XVII w. w okolicach Małogoszczy pewnego Francuza nazwiskiem Payen. Napadnięty przez mężczyznę władającego łaciną, musiał najpierw zapłacić trzy talary «za prawo przejeżdżania przez terytorium» i okazać kwity celne; a że ich nie miał – siłą zawieziono go do dworu, gdzie czekała nań wielka ilość win reńskich, węgierskich, francuskich i hiszpańskich, mięsa pieczone i sute polewki. Przyjęcie trwało kilka dni.

Wątpliwe, by Januariusz powążył się na taki żart w dniu pogrzebu swego pana. A zatem musiała być jakaś inna ważna przyczyna uwięzienia de Rosana-von Bernsteina. Ale jaka? Tymczasem pozostawmy to pytanie bez odpowiedzi.

Mimo złego stanu zdrowia spowodowanego ośmiodniowym uwięzieniem, skrupulatny de Rosan-von Bernstein udał się do Brześcia, aby porozmawiać z rabinem Lejbem Chaimem na temat plotki zasłyszanej we Włodawie.

«...na moje grzeczne powitanie Rabin skinął głową i wskazał krzesło. Usiadłem. Żyd przyjrzał mi się, pogłodził siwą brodę i zamknął oczy. Tak siedzieliśmy dłuższy czas. Potem otworzył oczy. Myślałem, że coś powie, ale milczał i znów zamknął oczy. Na stole stała miska z miodem pszczelem. Obok leżały jakieś zioła i mikstura, co ją Arabowie nazywają 'sianem duszy', bo ulgę w cierpieniu przynosi. Przedstawiłem pytania następujące: Skąd z góry wiedział, że trumna Sapiehy będzie pusta? Na jakiej podstawie przypuszcza, że Sapieha został żywcem wzięty do nieba? Nadal milczał, tym razem z otwartymi oczyma. Prosiłem i nalegałem bez skutku. Za oknem noc i chociaż już kwiecień, to pada śnieg i wycie wichru słychać. Podsunął mi miskę i gestem dłoni zachęcił do jedzenia. Zapadłem w sen, z którego wyrwał mnie głos ze mnie samego: – Gdy bowiem nie umiemy się modlić tak, jak trzeba, sam Duch przyczynia się za nami w błaganiach, których nie można wyrazić słowami! – Ale to nie był ani mój głos, ani Lejba Chaima, ani nikogo innego (...). Dopiero kiedy o brzasku ruszyłem do wyjścia, wstał Rabin i powiedział ku zdumieniu swoich uczniów po hiszpańsku: – Nie zawsze za życia szczęśliwy ten, kto umie sprawić, że Bóg w nim śpiewa».

Te słowa, nawiązujące z żarliwą goryczą do Księgi Psalmów (92,2): «Dobrze jest dziękować Panu i śpiewać imieniu Twemu, o Najwyższy», pojawiają się w popularnej wśród Żydów w pierwszej połowie XVIII w. przypowieści o rabbim Lejbie Chaimie z Brześcia i Panu z Kodnia (por. Gottfried Johannes v. Trotz, Schriften zum Judentum, t. II, s. 26 i nast., Mannheim 1829):

«Pewnego razu do rabbiego Lejba Chaima z Brześcia przyszedł Pan z Kodnia i powiedział: 'Jestem wielki, ty zaś mały'. Zastanowił się rabbi i odrzekł: 'Jestem wielki, ty zaś mały'. Powiedział Pan z Kodnia po namyśle: 'Jestem mały, ty zaś wielki'. Odrzekł na to rabbi: 'Jestem mały, ty zaś wielki'. Wtedy Pan z Kodnia zasmucił się: 'Ruszam w wielką podróż!' Odrzekł rabbi: 'Jesteś w niej od dawna'. Pan z Kodnia zapytał: 'Czy czeka mnie to, co wszystkich?' Odrzekł rabbi: 'Każda po

dróż ma swój kres, tak postanowił miłosierny Ojciec. Nie zawsze za życia szczęśliwy ten, kto umie sprawić, że Bóg w nim śpiewa'. I Pan z Kodnia odszedł z uśmiechem, by już nie wrócić, a rabbi też się uśmiechał».

Także i miejscowy lud rusiński opowiadał o spotkaniu świętego Starca Wasilija z Mikołajem z Kodnia, fundatorem cerkwi i dobroczyńcą klasztorów prawosławnych (por. Warłam A. Fiłatow, „Iz istorii poczwinnicestwa. Fiłosofija i christianskoje mirosozierenije”, t. III, s. 37, Moskwa 1889, wyd. II, Berlin 1938):

«Pewnego razu do świętego Starca Wasilija przyszedł Książę Mikołaj Mikołajewicz z Kodnia i powiedział: 'Jestem wielki, ty zaś mały'. Zastanowił się Starzec Wasilij i odrzekł: 'Jestem wielki, ty zaś mały'. Powiedział Książę z Kodnia po namyśle: 'Jestem mały, ty zaś wielki'. Odrzekł na to Starzec Wasilij: 'Jestem mały, ty zaś wielki'. Wtedy Książę z Kodnia zasmucił się: 'Ruszam w wielką podróż'. Odrzekł święty Starzec: 'Jesteś w niej od dawna'. Książę z Kodnia zapytał: 'Czy czeka mnie to, co wszystkich?' Odrzekł Starzec: 'Każda podróż ma swój kres, tak postanowił miłosierny Ojciec wszystkiego. Nie zawsze za życia szczęśliwy ten, kto umie sprawić, że Bóg w nim śpiewa'. I Książę Mikołaj z Kodnia odszedł z uśmiechem, by już nie wrócić, a Starzec też się uśmiechał i też wkrótce odszedł».

Barwny, pełen nieoczekiwanych zwrotów i napięć los Sapiiehy ma niezwykłą istotnie moc pobudzania wyobraźni mitycznej. Jednym z tego przykładów może być wydana w Rzymie w 1723 roku książka *Episodia da Roma antiqua*. Ten spisany przez Michelangelo Gambacorte zbiór baśni, legend i plotek rzymskich z XVI i XVII wieku doczekał się w latach 1723–1728 nie mniej niż osiemnastu wydań, przynosząc autorowi sławę i znaczne dochody. Mało kto jednak wie, że pierwsze wydanie *Episodia...*, z 1722 roku, nie opuściło drukarni – zostało spalone na polecenie Świętego Oficjum, Gambacortę zaś zmuszono do natychmiastowego wydrukowania edycji poprawionej. A poszło właśnie o wzmiankę na temat Mikołaja Sapiiehy!

Zaiste, uroczą to książka! Lekkość stylu, pogoda ducha i mistrzowskie obrazowanie sprawiają, że czytelnik słyszy szum gajów porastających rzymskie wzgórza, śpiewne, wesołe echo miejskiego gwaru i unoszące się ku obłokom pełne tajemniczej powagi milczenie antycznych kolumn. O, Roma! – szepcze autor. – Ty, co jesteś częścią przedziwnej piękności wszechświata, odsłoń przed oczyma wędrowca źródła swego wiecznego piękna, pozwól znaleźć ukojenie w podróży ku dawnym czasom! I przypomina Gambacorta z rozrzewnieniem dawny obyczaj ludu rzymskiego, jego święta, pieśni, tańce i zabawy:

«Dzień Nagłych Dzwonów obchodzono 26 października. Tego dnia dzieci z ubogich rodzin albo chore, a nawet niektóre sieroty zbierały się przy Porta Septimana i tam w południe dostawały podarki od Starszego Cechu Kamieniarzy. Nad darami czuwał chorąży w sukni przepasanej szerokim barwnym pasem, na głowie miał dziwną czapkę futrzaną z drogimi kamieniami i białym piórem czapli, a w dłoni trzymał sztandar z wyhaftowanym wizerunkiem człowieka tak samo odzianego i ulatującego ku niebiosom, wprost w objęcia uśmiechniętego Stwórcy. (...) Nasz lud ufał, że ten dzień bierze się z prawdziwego wydarzenia. (...) Jeden pan znaczny, książę imieniem Niccolo, musiał uciekać z Rzymu przed złością papieża Urbana. Osiedliwszy się daleko na północy, zasłynął dobroczynnością i cudami, co tylko wzmogło zazdrość papieża, który cudom nie ufał. (...) Czując, że śmierć się zbliża, papież nakazał panu Niccolo powrót do Rzymu, obiecując, że przyjmie go jak syna i wszystko wybaczy. Umyślił sobie, że dla niepoznaki powita go serdecznie i uroczyście na schodach Bazyliki Piotrowej i zaprowadzi na komnaty, gdzie będą czekać oprawcy (...) Jakoż ufny książę Niccolo posłusznie przybył do miasta i w samo południe poszedł do czekającego nań papieża, który rozpostarł ramiona w fałszywym geście radości, ale zanim doszło do powitania, wszystkie dzwony rzymskie zaczęły bić bez pomocy ludzkiej dłoni słodką melodię i książę Niccolo rozplątał się w powietrzu, pozostawiając na schodach swój cień, który poruszał się tak długo, jak dzwony grały w wielkiej harmonii, dłużej niż trzy pacierze lub może dłużej niż pięć pacierzy. A papież umarł jedenaście miesięcy później. Tyle legenda!»

Dodajmy tylko, że w pierwszej (spalonej) edycji swego dzieła Gambacorta pisał:

«Tyle legenda! Wiedz jednak, rzymianinie, że ma ona źródła prawdziwe. Dziadowie nasi pamiętali, że na rok przed śmiercią Urbana VIII pewien książę Niccolo, męczennik przybyły do Rzymu z Północy, uleciał w niebo, pozostawiając na schodach bazyliki dokładny zarys swego cienia, a wszystkie dzwony rzymskie grały składnie bez dotknięcia ludzkiej dłoni. Nazajutrz kardynał Barberini kazał kamieniarzowi wymienić schody, żeby śladu cienia nie było. Kto nie wierzy, niech sprawdzi księgi rachunkowe rodziny Pogginich, delatorów i złodziei cudzego majątku, bo to ich najął kardynał do wymiany schodów za duże pieniądze i jeszcze nagroził zaszczytnym miejscem w Cechu Kamieniarzy. A orszak księcia Niccolo zmuszono do szybkiego wyjazdu z Rzymu. Uwięziono tych ludzi w Bolonii na czterdzieści dni pod fałszywym zarzutem braku świadectwa zdrowia, następnie zaś musieli pod groźbą stosu zaprzysiąc wieczyste milczenie...»

Na koniec należy wyjaśnić, że pisarz Michelangelo Gambacorta był wnukiem Guliano Pietro Gambacorty, drukarza z Antwerpii – syna zakrystiana Baptysty Corbino, bezpośredniego sprawcy kradzieży wizerunku Madonny Gregoriańskiej”.

*

Sprawozdawca nie umie i nie chce ukrywać niepokoju związanego z publikacją fragmentów przerwanej przez śmierć pracy Elżbiety Kodeńskiej. Ten niepokój ma swe źródło w świadomości, jak niestosowny użytek ze zdań nie do końca jeszcze uformowanych, a przecież dramatycznie istotnych, mogą uczynić ludzkie płaskiego umysłu i wyschniętego serca. Pomińmy redaktorów brukowych gazet i stacji telewizyjnych, wedle których nasze istnienie gatunkowe jest ciągiem dziwacznych (wzbudzających zdziwienie normalnego widza) gestów i przewrotnych oczekiwań. Pomińmy tłum, którego wyobraźnia kształtowana przez środki przekazu łaknie i satysfakcjonuje się wyszukiwaniem tylko i jedynie śladów perwersji w czynach swych bliźnich. Zgrozą jednak przejmując, że taki sam stosunek do osoby ludzkiej, jej przeżyć i zadań duchowych prezentuje państwo-wy aparat sprawiedliwości. Przykładem niech będzie zachowanie prokuratora prowadzącego dochodzenie w sprawie okoliczności śmierci Elżbiety Kodeńskiej. Czy nie jest dziwne, że miast zgodzić się z oczywistą wymową faktów i uznać, że Kodeńska zmarła wskutek przypadkowego wypadnięcia z okna ósmego piętra kamienicy – ów człowiek, powołując się na treść notatek poczynionych przez Zmarłą w związku z Jej pracą naukową, ośmielił się sugerować, a nawet twierdzić, z uporem i w złej wierze, że idzie o akt samobójczy. Bezzasadność tego sformułowania w odniesieniu do Zmarłej jest oczywista: jaka szczęśliwa matka, tuląca do piersi ledwie co urodzone niemowlę, otoczona miłością i opieką rodziny, podda się myślom samobójczym? Nie ukrywając zatem niepokoju, ale też nie rezygnując z przekonania, że prosty język prawdy musi zyskać prymat nad słowem pomieszanym, sprawozdawca postanowił przedstawić fragmenty szkicu Choroba Sapięhy, pisanego przez Elżbietę Kodeńską w Jej dniach ostatnich.

*

„1. Nie używać słowa «współczucie», skoro nie można współczuć samemu sobie w cierpieniu. Używać słowa «miłość» i kierować ją ku nieszczęśliwym. Jeśli ją przyjmą, zostanie kilka okrucichów, które pozwolą znieść zło.

Ale czy cierpienie jest złem, czy też bolesnym próbowaniem dobra?

2. Okoliczności, za które jestem odpowiedzialna, okoliczności coraz mniej zależne ode mnie, a nawet całkowicie mnie uzależniające, nakazują przerwanie systematycznej pracy. Zadowolam się spisaniem strzępów myśli, dziękując Madonnie, że choć na tyle mi pozwala.

Nie ustawać w pracy!

3. «Boże mój, czemuś mnie opuścił!» – ten krzyk odbija się echem o nieskończoną (w czasie i przestrzeni) i czującą ścianę milczenia. Chyba że w takiej chwili człowiek wyrzeknie się wszyst-

kiego, co jest w nim i co jest jego. Wtedy milczenie staje się źródłem otuchy. Ale ledwie urodzone dziecko tego nie wie i nie przeczuwa. Na to trzeba czasu, a czas jest zaprzeczeniem otuchy. Bunt Sapiehy jest błaganiem o jedno słowo, jeden znak. Świętokradztwo – modlitewnym krzykiem podziękii.

4. Jego choroba.

«Przeklęta niemoc obezwładniająca go od blisko dwu lat wywoływała ów dziwaczny i przykry wstręt do własnego głosu, głosów cudzych oraz do wszelkich przejawów życia (...) – pisze Kossak-Szczucka. – Pan Sapieha chorzał niewątpliwie z uroku czy zazionięcia. Uroki bywają różne. Zwyczajne, diabelskie oraz najcięższe, tatarskie albo tureckie, na które sposobu nie znano (...) Pan Sapieha nie wiedział, kto mu niemoc zadał. Niewątpliwie musiało to nastąpić w tatarskich krainach, w których niemało wojował. Nie pamiętał jednak nawet, kiedy słabość się poczęła. Ogarniała go nieznacznie i powoli, prawdopodobnie dlatego, aby się tylko w porę nie spostrzegł. Gdyby nie wojewodzina, nie wiedziałby dłuższy czas».

Z tym zamętem niewiele da się zrobić: primo – pan Sapieha chorzał, ale nie był tego świadom – choć mu się żyć odechciało, i to na dobre, czego był zupełnie świadom; secundo – pan Sapieha padł ofiarą uroku «zwyczajnego, diabelskiego» lub «tatarskiego», tertio – o jego stanie depresyjnym żona wiedziała wcześniej, niż sam to spostrzegł, quatro – chorował od «dwu lat», nie pamiętał jednak, kiedy słabość się poczęła. Niewątpliwie musiało to nastąpić «w tatarskich krainach».

Jest tu ślad, za którym warto podążyć. «Tatarskie krainy»... Sapieha służył w 1624 roku pod hetmanem Stanisławem Koniecpolskim, 20 czerwca brał udział w bitwie pod Martynowem, ścigał Kantemira, wycofującego orzę budziacką w kierunku Chocimierza, gdzie 22 czerwca doszło do wyrżnięcia Tatarów i oswobodzenia ludzi wziętych przez nich w niewolę.

Czy to znaczy, że choroba Sapiehy zaczęła się w 1624 roku, w związku z jego udziałem w kampanii przeciw Kantemirowi – a więc nie dwa, lecz siedem lat przed pielgrzymką do Rzymu?!

5. Nie zapomnieć: Pamiętniki o Koniecpolskich... wyd. Stanisław Przyłęcki, Lwów 1842 (s. 255) – o bitwie pod Chocimierzem:

«Od południa, mila od Dniestru począł się kosz, niezliczona rzesza ludzi obojej płci, bydła, koni, stada owiec, które na gospodarstwo pędzili; pełno było po polach dzieci, niewiniątek i niemowlętek odbieżanych, które tylko z płaczem krzyczały. Zaczęły się więźniów naszych, szlachcianek i panienek szlacheckich procesje i tłumy bardzo gęste, różnej kondycji i wielu ludzi około Krosna, Przemyśla pobranych, przez trzy mile continue z płaczem idących. Wielki tam żal był z pociechą zmieszany, gdy ludzie ci znowu na świat porodzeni, z prostoty swojej krzyżem przed nami padając, różne błogosławieństwa dawali; sprzętami zaś domowymi nie tylko ludzi ubogich, ale szlacheckimi, a nawet aparatami kościelnymi, cokolwiek jeno na koniu zanieść mógł nieprzyjaciel, usłany był wszytek ślak».

6. Z popularnych w pierwszej połowie XVII w. Pouczeń duchowych i moralnych... (Paris 1628):

«Nie wolno otwierać kobiety, nim umrze, by ratować jej dziecko i je ochrzcić. Jeśli kobieta umrze przed rozwiązaniem, trzeba trzymać jej usta otwarte, aby dziecko się nie udusiło, i wtedy otworzyć łono matki, wydobyć dziecko i je ochrzcić, jeśli daje znak życia. A jeśli nie daje, to nie będzie ochrzczone i nie powinno się go grzebać w ziemi świętej (...) Jeśli pozostanie w łonie matki, trzeba pogrzebać je wraz z nią, nie lękając się, że święte miejsce będzie zbrukane, albowiem w tym stanie jest dziecko częścią matki...»

7. Według relacji Sir Johna Ratcliffe'a dotyczącej jego spotkania z Sapiehą 25 kwietnia 1631 roku:

«← Owszem, przybyłem do Rzymu w sprawie śmierci – powiedział nagle Księżę. – Ale nie o moją śmierć tu idzie! Nie o moją śmierć!

I zapłakał».

O czyjej śmierci mówił?

Miał pięcioro dzieci (Helenę, Kazimierza, Jana Ferdynanda, Teresę i Joannę Petronełę). Wszystkie go przeżyły. Żona zmarła w 1642 roku. Wkrótce po pogrzebie ożenił się z córką Tomasz Prusinowskiego, podkomorzego bełskiego.

O czyjej śmierci mówił?

Dlaczego płakał?

8. Nie ustawać w pracy.

Pielęgniarka, która przynosi dziecko na karmienie, mówi z pretensją: – Pani wciąż czyta i czyta. Oczy pani wyczyta. A nie lepiej telewizję pooglądać?

Milczę. Nie lepiej.

9. Relacja de Rosana dotycząca jego pobytu w Polsce w związku z pogrzebem Sapiehy:

«Ostatniego wieczoru w czasie kolacji z Księdzem i ze mną upił się Januarius i opowiadał, jakoby w czasie wojny, dawnymi czasy, Sapieha rozciął brzuch krowie i znalazł w środku ludzką niemowlę, i z tego wzięła się jego melancholia, bo przecież logika Prawa Bożego stanowi, że krowa bierze się od krowy, a człowiek od człowieka, inaczej Prawo Boże jest zgwałcone. I co z tym robić? Więcej powiedzieć nie możesz – przerwał mu Ksiądz. – Więcej powiedzieć nie mogę, bo zaprzysiąłem w Rzymie na zbawienie duszy, że zachowam tajemnicę... – potwierdził Januarius. – Inaczej stos mnie czeka».

Podobny motyw przysięgi na zbawienie duszy pojawia się w tekście pierwszej edycji (spalonej) *Episodia da Roma antiqua* Michelangelo Gambacorty:

«A orszak księcia Niccolo zmuszono do szybkiego wyjazdu z Rzymu. Uwięziono tych ludzi w Bolonii na czterdzieści dni pod fałszywym zarzutem braku świadectwa zdrowia, następnie zaś musieli pod groźbą stosu zaprzysiąc wieczyste milczenie...»

Nie ulega wątpliwości, że Januariusz i Ksiądz byli członkami sapieżyńskiego orszaku! Jeśli tak, to...

Jakie mogły być – jeśli w ogóle były – związki między dziwną opowieścią Januariusza o niemowlęciu wydobytym przez Sapiehę z rozciętego brzucha krowy w (prawdopodobnie) 1624 roku a mityczną, by nie powiedzieć – nieprawdopodobną – relacją Gambacorty o wniebowzięciu Sapiehy jesienią 1643 roku?

Jest pewne, że Januariusz nie znał Gambacorty.

To szaleństwo!

10. Ta sama pielęgniarka: – Dziecko jest zdrowe, przybiera na wadze, i takie czyściutkie, zaraz będziemy panią wypisywać, dosyć leniuchowania. Czyściutkie?

Ksiądz zdziwił się, kiedy go zapytałam, czy mógłby jak najszybciej ochrzcić moją dziewczynkę. – A nie lepiej w kościele?

Jeszcze bardziej zdziwiony, gdy mówię: – Jeśli ktoś nie narodzi się z wody i Ducha, nie może wejść do królestwa Bożego.

Słyszając słowa św. Jana, szybko reaguje: – Ach, widzę, że pani naprawdę...

I szybko odchodzi, mamrocząc o nawale zajęć. Chciałam zawołać za nim, żeby sobie przypominał twierdzenia św. Augustyna i św. Fulgencjusza: dzieci bez chrztu będą ukarane wiecznym ogniem, bo choć nie mają grzechu osobistego, zetknęły się przez swój brud z grzechem pierworodnym.

Tak, ja naprawdę... proszę księdza! Naprawdę!

11. Choroba Sapiehy. Objawy: zaburzenia snu, spadek masy ciała i utrata łaknienia, gorsze samopoczucie w godzinach porannych i popołudniowych, zaparcie stolca, brak reakcji na bodźce będące zwykle źródłem przyjemności – to uznane powszechnie kryteria diagnostyczne depresji typu melancholijnego. Psychiatria zna też stan podobny do depresji typu melancholijnego, ale nią nie będący i zwany żałobą. Jest to żal po utracie bliskiej osoby, który manifestuje się m.in. bezsennością, odosabnianiem się, drażliwością, płaczem, spadkiem masy ciała.

12. Przypadek Jeanne Marie Bouviers de la Mothe Guyon (1648–1717), która twierdziła, że dzięki kontemplacji, dzięki «kochaniu bez motywów i racji» dane jej było zaznać takiej miłości do Boga i takiej z nim unii, że powstała «mieszanina kochanka i kochanki, tak że stali się jedną i tą samą rzeczą». Świadczenie widzieli, że pisała komentarze do Pisma Św. (20 tomów) bez zastanowienia, często z zamkniętymi oczyma, a tak szybko, jakby jakaś nieznana siła prowadziła jej dłoń po papierze.

Przypadek Antoinette Bourignon (1616–1680), której «dusza została całkowicie wchłonięta przez Boga», podczas gdy ciało, jak pisała, «syciło się zmysłowo tymi rozkoszami (...), nie wiedząc, czy na świecie jestem, czy w raju».

Oglądane z zewnątrz – oba przypadki każą licznym autorom sięgać po terminologię psychiatryczną. To nadużycie – z braku czystej wiary!

Oglądane, na ile to możliwe, z wewnątrz – oba przypadki każą domyślać się przeżyć mistycznych tak silnych, tak wzniosłych, tak intensywnych, że wzbudzających niepokój oficjalnych struktur Kościoła. To nadużycie z obawy przed czystą wiarą, z chęci jej statystycznego uśrednienia! (W 1669 roku dekret Św. Oficjum umieścił dzieła Bourignon na indeksie dzieł zakazanych; Jeanne Guyon spędziła siedem lat w Bastylii, oskarżona o sprzyjanie herezji.)

Nie umiem rozwiązać tej sprzeczności.

13. Fragment relacji medyka Grazziniego dotyczącej rozmowy z Sapięhą tuż po cudownym uzdrowieniu w dniu 28 kwietnia 1631 roku:

«...Książę chciał obejrzeć Macicę, ale niedługo na nią patrzył, bo najbardziej był ciekaw Oka, tylko chciał wiedzieć, jakie soki z Macicy karmią płód ludzki, kiedy w niej przebywa. Powiedziałem zgodnie z prawdą, że mało o tym wiem. Musi tam być flegma, która przemienia się w dobrą krew przez naturalne ciepło cielesne, choć z drugiej strony istotą humoru flegmy jest wilgotność i chłód. I dlatego jeśli ktoś chce utrzymać przy życiu niemowlę za wcześnie narodzone, powinien wziąć świnię żywą, rozciąć jej brzuch, usunąć wszystkie wnętrzości z wyjątkiem Macicy, niemowlę do środka włożyć i czekać, aż świnia wystygnie, i tak powtarzać dni siedem, ale droga to kuracja, świń mało, a dzieci dużo. Wtedy Sapięha zapytał, czy miast świni może być krowa. Odpowiedziałem, że krowa jest droższa...»

A więc znów motyw dziecka znalezionego w rozprutym brzuchu zwierzęcia. Jak straszny sen.

14. Miłość zaczyna się tam, gdzie stajemy przed sprzecznością nie do rozwiązania; tej granicy ani nie można przekroczyć, ani nie można się przed nią cofnąć. To boli i czyni nieszczęśliwym.

15. Napisałam w Kardynale i magnacie..., że prywatne objawienie Mikołaja Sapięhy nie wzięło się z «nadprzyrodzonego oddziaływania obrazu Madonny», lecz było wynikiem głęboko przeżytego uczestnictwa polskiego księcia w dramacie matki błagającej o uzdrowienie śmiertelnie chorego dziecka, w dramacie samego dziecka, w dramacie bezradnego papieża, w wiecznym misterium cierpienia i śmierci, na które jakże głuchy, jakże obojętny jest nasz świat – niezdolny do ujrzenia łez w oczach Maryi. Nie mam innego wytłumaczenia, choć styl epoki mu zaprzecza. Przy bardzo wysokiej ilości urodzeń martwych i przy bardzo wysokiej śmiertelności niemowląt w XVII wieku, dziecko chore i umierające nie wzbudza szczególnych emocji. Macierzyństwo wg św. Franciszka Salezego jest gotowością do wydawania na świat «zwierząt pozbawionych rozumu, mowy i sądu». Wielki Bossuet pyta w *Elévations sur les mystères*: «– O, Panie! Czemu zsyłasz gniew na dopiero co narodzone dziecko?» I odpowiada: «– Jest dzieckiem Adama, oto jego zbrodnia. Wskutek niej narodziło się w słabości i niewiedzy i dlatego ma w sercu źródło pożądania zła».

Ktoś inny (Codren w *Discours et lettres*) twierdzi, że w dzieciństwie umysł jest pogrzebany w słabości, a rozumem władają zmysły o znieprawionej naturze. «W tym stanie nawet łaska usynowienia nas przez Boga i ducha Jezusa są bezsilne».

Wrażliwość Sapięhy.

Choroba?

Miłość.

16. Czy Bóg jest bezstronny? Nie. Jest sprawiedliwy. Mylimy oba pojęcia, nie mogąc dociec, czym jest to drugie.

17. Być rzuconym w świat to znaczy być rzuconym w cierpienie; mam to uczynić mojemu dziecku – z miłości.

18. Jeśli ktoś mówi: wierzę, to pewnego dnia może też powiedzieć: nie wierzę. To, co domyślnie nazywamy wiarą, jest czymś więcej; czymś, czego nie da się nazwać.

19. Mówimy ze strachu. Porozumiewamy się dla zyskania otuchy. Nazywamy to nadzieją.

20. Kluczowy w tej sprawie list medyka Grazzinięgo do Sir Johna Ratcliffe'a (Archiwum Barberinięgo, rkps. Ar. log. 812), datowany 21 marca 1634 roku:

«Zabawne, drogi Ratcliffe, rzeczy piszesz o Matce Joannie od Aniołów, zgrai ss. urszulanek i księdzu Grandier. Masz pewnie w Loudun sporo uciechy. Jeśli idzie o mnie, to uważam, że nie ma tam żadnego diabła, jest tylko zwykła pożądlivość cielesna, którą można batem lub czym innym wygnać, i najlepiej klasztor rozwiązać, ale jak znam życie, baby się za jakiś czas uspokoją, a biedny Grandier albo skona na torturach, albo go spalą. (...)

Przeczytałem w końcu zachwalaną przez Ciebie Anatomię melancholii i wiedz, że mam wątplivości. Autor wielce uczony, nie wątpię, powtarza za De Melancholia Alonso de Santa Cruz i Universa medicina Fernela, i za Ambroise Paré, że główną przyczyną melancholii jest nadmiar czarnej Żółci we Krwi i w Wątrobie; i jeśli Śledziona, którą po to mamy, by wchłaniała czarną Żółć, nie może tego uczynić, to melancholia rozprzestrzenia się po całym organizmie. Pisze Burton, że należy w związku z tym unikać spania z pełnym żołądkiem, praktykować coitus, ale bez nadmiaru, i zaleca częste purgacje. Zwraca też uwagę uczony Burton na znaczenie Saturna i Księżyca w rozprzestrznianiu się tej choroby u ludzi szlachetnie urodzonych. To bardzo słuszne, pod warunkiem wszelako, że będzie się też pamiętać o melancholii jako chorobie Duszy, na co zwracał już uwagę sam Galen.

W moim mniemaniu melancholia właśnie z Duszy się wywodzi i z Mózgów, a po rozwinięciu oddziaływa na wnętrzości, takie jak Żołądek, Wątroba, Śledziona i Trzustka, i w tym sensie zatrucie czarną Żółcią jest skutkiem, nie zaś przyczyną.

Weź dla przykładu polskiego Księcia Sapiehę, z którym rozmawiałeś w Rzymie. Zrazu stosowałem ciemiernik i środki wywołujące pragnienie, i częste przeczyszczenia wodą różaną, ale bez rezultatu, gdyż, jak się okazało, melancholia tego człowieka nie brała się ze spleenu, lecz z cierpienia Duszy. Opowiedział mi Sapieha, że kilka lat przedtem w czasie wojny z Tartarami los go sro-dze doświadczył, odbierając nadzieję.

A było tak, że w pościgu za księciem tartarskim Kantemirem wjechał ze swym regimentem do spustoszonego przez pogan miasteczka, ani jednej żywej duszy tam nie zastając. Wszelako na rynku przed kościołem zobaczył stado zdziczałych psów, które szarpało wąpzia krowy z rozprutym brzuchem. Obok krowy leżała martwa kobieta. Nagle usłyszał płacz dziecka dobywający się z padłego zwierzęcia. Była tam w środku dziecina ledwie co urodzona. Widać matka po porodzie ukryła ją przed Tartarami, a sama umarła. Kazał Sapieha dziecko czym prędzej ochrzcić i dał mu opiekę, ale po trzech latach zdrowego chowania i radości nagle umarło.

A melancholia wzięła się stąd, że Sapieha pyta: – Jakże to? Dlaczego?

Jeśli Bóg, nasz Stworzyciel, jest nieskończenie dobry, to z jakiej racji rzucił nas do Piekieł, nad którymi nie ma władzy, skoro dziecina niewinna umiera? Jeśli więc jest nieskończenie dobry, to nie jest wszechmocny.

A jeśli jest wszechmocny – to zarówno w Dobru, jak i w Złu, i nie nam rozumieć zasady jego sprawiedlivości.

I takie są, drogi Ratcliffe, prawdziwe przyczyny Sapieżyńskiej melancholii».

21. Wejść tam, gdzie treścią wiary staje się wieczne milczenie.

22. Dymiące zgliszcza miasteczka spalonego przez Tatarów. Wzdłuż ulicy wiodącej do rynku leżą wywrócone do góry nogami wzdęte trupy koni. Zwłoki ludzkie, z poderżniętymi gardłami i

wyłupionymi oczami, półnaga kobieta z obciętymi piersiami. Wieje wiatr i unosi tumany suchego pyłu, a z ruin wywiewa pierze, które wiruje w powietrzu i błędząc, osiada na twarzach, na krwawych oczodołach, na otwartych ustach, w których roją się muchy. Klusem przejeżdża szpica lekkiej jazdy. Za nią statecznie nadciąga husaria. Na czele oddziału, na wielkim bułanym koniu okrytym wschodnim czaprakiem, w zbroi, ale bez hełmu jedzie postawny szpakowaty mężczyzna o dumnej twarzy wodza – Mikołaj Sapieha z Kodnia.

Sapieha zdaje się nie zauważać makabrycznego widoku, jakby lata wojowania przyzwyczyły go do grozy śmierci. Patrzy zimnym, nieobecny wzrokiem na poskręcane zwłoki ludzi i zwierząt, na osmalone belki z pustką zamiast ścian, w której gdzieś widać niedopalone meble, łóżko z wpółwęgłonym trupem starca, który nie zdążył uciec przed płomieniami... Jadący za Sapiehą kapelan żegna znakiem krzyża mijane zwłoki.

Na placu, który kiedyś był rynkiem, a teraz, otoczony czarnymi kikutami drzew, jest już tylko martwą pustką w oślepiającym blasku południa, zatrzymują ich jeźdźcy ze szpicy. Stoją przy krowie, w której wnętrznościach buszują psy. Obok leżą zwłoki kobiety. Sapieha ściąga wodze.

– Co tam? Czemu waść marsz opóźniasz?

– Wasza miłość, strach powiedzieć...

Dowódca szpicy patrzy na rozwarty brzuch krowy, w którym między powarkującymi psami leży niemowlę otulone szmatą.

Sapieha powoli zsiada z konia. Dowódca szpicy i giermek rzucają się, by przytrzymać wodze.

Sapieha kilkoma trzaśnięciami nahaja odpędza psy, pochyla się, bierze dziecko na ręce, przytula je i patrząc w perspektywę wypalonej ulicy, w blask stepu, nad którym drga gorące powietrze, nagle odwraca głowę, czuje bowiem łyzy nabiegające do oczu. I głosem nad potrzebę ostrym, by ukryć te łyzy, krzyczy:

– Januariusz!

Barczysty, wielkobrzuchy Januariusz zbliża się do Sapiehy.

– Weźmiesz waść kolaskę z taborów, wikt na drogę i do domu ruszysz. W pierwszej napotkanej wsi dzieciątko umyjesz, nakarmisz, przyodziejiesz. W domu małżonce mojej pod opiekę oddasz!

Januariusz wyciąga ręce po dziecko, ale powstrzymują go słowa kapelana:

– Wasza miłość, nie wiadomo, jakiego to dziecko stanu ani nacji... może żydowin jakiś?

– Co ty bajasz, klecho! – gniewnie odpowiada Sapieha. – Co tu nacja lub stan mają do rzeczy...

– No to ochrzcić je trzeba – odpowiada kapelan.

– To je chrzcij! Masz w jukach wodę święconą?

Księży pacholek wyjmuje z juków srebrny krucyfiks, naczynie z wodą święconą i kropidło.

– Czy Wasza Miłość będzie je do chrztu trzymał?

– Jako rzekłeś...

A ponieważ łyzy już mu obeschły, odwraca się ku swoim podkomendnym. Na ich twarzach pojawiają się uśmiechy.

– Jakie, Wasza Miłość, imię dlań wybierasz?

– Ciężko powiedzieć, bo płeć niewiadoma – śmieje się Sapieha. – Januariusz, zajrzyj no waść, chłopiec czy dziewczynka?

Januariusz podchodzi do dziecka spoczywającego w ramionach Sapiehy, rozwija łachman i obwieszcza triumfalnie:

– Chłopiec!

– Vivat, husarzem będzie! – krzyczą zbrojni.

– Ciszej, waszmościowie! Ciszej! Na pamięć mego dziada ochrzcij go imieniem Paweł.

I z dzieckiem na rękach Sapieha przykłęka, delikatnie przyciskając dziecko do piersi.

Pod niebem pełnym drapieżnego ptactwa, wśród zgłiszcz i trupów rozlegają się słowa:

– Ego te baptiso in nomine...

A po trzech latach dziecko umrze, nagle i bez przyczyny.

23. Jest Dobrem nie mieszczącym się w słowie.

On też wierzy.

24. Dobro, które nie doświadczyło zła, jest pozorem. Ciekawość dobra. Zaciekawienie złem. Uznanie, że bywa ludzkim sposobem wyrażenia wiary. Oczyszczający ogień, który parzy i spala.

Toteż zło jest oskarżeniem zła.

25. Przebaczyc Bogu – to znaczy poddać mu się bez reszty, aż po nicość, po samozatratę. Im mniej mnie jest, tym bliżej”.

*

W postanowieniu umarzającym śledztwo dotyczące śmierci Elżbiety Kodeńskiej, a też później, w czasie rozmowy ze sprawozdawcą, prokurator twierdził – powołując się na opinie lekarzy – jakoby zgon Elżbiety był spowodowany psychozą poporodową. Nie chcąc nawet wysłuchać argumentów zbijających tę żalosa hipotezę, oświadczył, że nie jest to pierwszy przypadek samobójstwa w jego praktyce zawodowej i że sprawę należy uznać za bezpowrotnie zamkniętą.

Owszem, psychiatria posługuje się pojęciem psychozy poporodowej. Jest to zaburzenie psychotyczne, które najczęściej rozpoczyna się 2–3 dni po porodzie, a charakteryzuje się bezsennością, niepokojem i chwiejnością emocjonalną przechodzącą w zmącenia świadomości, urojenia i obsesyjne myśli o zabiciu dziecka, samobójstwie lub obu tych czynach jednocześnie.

Trzeba jednak dodać, że ta straszna przypadłość występuje z częstotliwością 1–2 przypadki na tysiąc porodów u kobiet – jestem przekonany – wywodzących się ze środowisk ateistycznych lub skażonych permisywizmem, czego w żadnym wypadku nie da się powiedzieć o atmosferze domu rodzinnego śp. Elżbiety, przenikniętej duchem ładu i pokory chrześcijańskiej.

Jeśli jednak prokurator ma rację, jeśli moja córka, w ciężkiej chorobie, której nikt się nie domyślał, podjęła decyzję, choć nie mogła wiedzieć, co czyni, to dlaczego? Dlaczego na to pozwoliłaś, ty, Matko Boga, którego sprawą jest cierpienie?!

Mikołaj Kodeński

NADZIEJA

1

Czarna pręga szkwału przebiegła przez jezioro. Jachty zacumowane przy cyplu poruszyły się, niespokojnie wibrując muzyką stalowych want, a potem znieruchomiały jak stado wielkich zwierząt, które zbudzone wrzaskiem przelatującego ptaka, unoszą głowy, by po chwili zapaść ponownie w czujny, a przecież ciężki sen. Słońce dotknęło czubków drzew na przeciwległym brzegu, jego promienie spłynęły po posępnej zieleni modrzewi, rozświetliły ją jednym rozbłyskiem i ustąpiły miejsca leniwie nadciągającej ciemności.

Siedzieliśmy na wzniesieniu pod zdziczałą wiśnią, która wczepiła się chorobliwie poskręcanyimi korzeniami w cienką warstwę ziemi pokrywającą dach betonowego bunkra. Tylko tyle pozostało z wielkiej wsi, która panowała dwieście lat nad jeziorem gęstym od cesarskich siei i mieniących się srebrem sielaw, nad puszcza pełną krzepkich dębów i spływających żywicą sosen. Ci ludzie pracowicie i roztropnie planowali swą przyszłość. Nie, nie byli ulepieni z lepszej gliny. Takich nie ma. Wszyscy krwawią po ukłuciu – kto to pierwszy powiedział? I nie sędzę, by wyróżniali się szczególnym umiłowaniem cnót. Raczej nie. Żadnych romantycznych uniesień. Żadnej woli naturalnej. Żadnego głębokiego a instynktownego zanurzenia w tradycji. Nic wspólnego ze społecznością, która nie musi być rozumna, bo przeniknięta duchem wiary, sięga głębiej, w sfery niedostępne racjonalnemu poznaniu, i trwa jak żywy organizm, tuląc wszystkich swych członków, żywych i umarłych, w ciepłych macierzyńskich objęciach, przy mlecznym cycu wspólnoty.

Od pięćdziesięciu lat, od stu, czas pędzi coraz szybciej, powiedzmy, od dwustu czterdziestu lat dają nam do czytania dzieła wielkich krytyków cywilizacji, która kierując się suchym rozumem, abstrakcyjnym prawem i matematyką, pozbawiła człowieka wszelkich korzeni, wszelkich więzi rodzinnych, religijnych i obyczajowych; rzuciła go na pastwę egoistycznego pomieszania, gdzie nauka sprzeciwia się wierze, nieskończoność nie zgadza się ze skończonością, a wieczność z doczesnością. Czytam, owszem, bo miło przez parę chwil rozgoryczyć się nad zawinioną przez warunki zewnętrzne nikkczemnością własną, miło też pomarzyć o świecie idylli, ale potem przychodzi czas na pytanie: czy ktokolwiek nam obiecywał, że nie będzie bolało? że nie będzie gradu i szarańczy? i że będziemy trwać wiecznie, przekazując z pokolenia na pokolenie niezmiennie prawdy? A jeśli obiecywał – to kiedy? Dawno temu, rzecz jasna. Ale kiedy? Dokładniej, proszę! Bardzo dawno temu. No dobrze, przyjmijmy więc na chwilę, że taki człowiek z duszą rozświetloną, szybujący instynktownie ponad myślą i poza historią, jest możliwy. Jeśli tak, to musiałbym uznać, że moje życie jest od samego początku czymś połowicznym i jałowym. Być może takie właśnie jest: połowiczne i jałowe, ale komu o tym sędzić? Gdzie sprawiedliwa miara? W czyich dłoniach? Z czyjej modlitwy? Z czyjej iluminacji? Z czyjego jasnowiedzenia?

Doktryny społeczne?! A która z nich nie jest dowodem wykorzenia jej autora? Która z nich nie jest wytworem jego urazy do losu? Która z nich nie świadczy o nienawiści do życia, danego nam raz, bez prawa powtórki? To chyba sprawa braku równowagi między zmysłem praktycznym i wyobraźnią. Im bardziej jesteśmy skuteczni technologicznie, tym silniejsza w nas potrzeba mitu. Nie umiając objąć codziennego doświadczenia, które przerasta nas swą złożonością i bogactwem, uciekamy w baśń, dobrze opowiedzianą, ze wstępem, rozwinięciem i zakończeniem, wyrazistymi wątkami, przyzwoicie zarysowanymi postaciami i wszechwyjaśniającymi monologami, które udają dialogi. Tam można uwierzyć, że jest się kimś innym. Tam można się spełnić.

Można?

Niby można, ale nie do końca. Bo żeby do końca, to należałoby uznać, że to życie nie jest prawdziwe, a życie prawdziwe – gdzieś indziej. Chińczycy umieli lepiej znaleźć się w tym zamięcie, zdecydowanie lepiej. Wynajdując żelazo, papier, jedwab i proch, nie zapomnieli o jednoczesnym

udomowieniu świni i smoka, z czego powstał świniosmok, zwierzę fantastyczne, ale też i ostentacyjnie rzeczywiste, skoro trwa w nefrytowych ornamentach od pięciu tysięcy lat, mimo trzęsień ziemi, wielkich powodzi, rewolucji i wojen. Widać to wyraźnie na każdej wystawie kultury chińskiej. A jaki był stosunek Europy do smoka i świni? Po pierwsze, żeby zrozumieć mowę ptaków, Sigurd musiał zabić smoka Fafnira i zeżreć jego krwawiące serce. Po drugie – w średniowiecznych procesjach noszono wizerunki smoka jako obraz zwycięstwa Chrystusa, który – po trzecie i jeśli wierzyć ewangelicie Mateuszowi – o świniach wypowiadał się z wyraźną niechęcią. Po skojarzeniu na zdrowy rozum pierwszego z drugim i z trzecim człowiek popada w przygnębiającą konfuzję. Można oczywiście przypomnieć, że dla gnostyków chrześcijańskich ouroboros, smok z ogonem w zębach, był symbolem jedności wszechrzeczy, nieskończonego rytmu zniszczenia i odnowy, duchem wszelkiej wiedzy oraz aniołem jutrzeńki, ale na myśl o tym, co o gnostykach pozwalali sobie pisać Hipolit Rzymski w *Philosophoumena*, Justyn w *Syntagma*, święty Ireneusz w *Adversus haereses*, święty Epifaniusz w *Panarion* i Klemens Aleksandryjski w *Stromata*, a także o tym, jak gnostyków wyganiano, torturowano i zabijano, człowiek znowu popada w przygnębiającą konfuzję. To wcale nie znaczy, że wykluczam zakończenie szczęśliwe lub przynajmniej pogodne. Na dowód przytoczę opowieść o stworzeniu przez Kekulégo w 1865 roku w Genewie pierwszej wersji pierścieniowego wzoru benzenu. Benzen to najprostszy węglowodór aromatyczny, mający zastosowanie w wyrobieniu barwników, detergentów, środków owadobójczych i materiałów pędnych. Smok jest stworzeniem pożytecznym dla człowieka.

Otóż Friedrichowi Augustowi Kekulé von Stradonitzowi marnie szło pisanie dysertacji. Zirykowany i zmęczony, sięgnął po stare ryciny alchemiczne, przedstawiające smoka ouroborosa, który jak zazwyczaj monotonicznie ssał swój ogon. Pokój wypełniało ciepło rozpalonego kominka. Kekulé zdrzemnął się. „W północy atomy zonglowały przed moimi oczyma. Mniejsze grupy trzymały się tym razem skromnie z tyłu. Moje duchowe oko rozróżniało teraz większe twory wyobraźni. Długie szeregi, ściśle i wielokrotnie z sobą połączone, wijące się i skręcające ruchem węża. Widzę, że jeden z gadów chwycił swój własny ogon i szyderczo kręci się przed moimi oczami. Obudziłem się jak rażony piorunem i resztę nocy spędziłem na dopracowaniu hipotezy”.

Ponadto w 1969 roku Watykan poddał ostrej krytyce świętego Jerzego, gwałciciela nieletnich, łapownika i bezlitosnego zabójcę smoków. Ale czy to wystarczy? Nie wystarczy! Dobre zakończenia, te sprawiedliwe, przychodzą zawsze za późno, a ja bym chciał, żeby było inaczej. Żeby przychodziły w sam raz. Jak trzeba.

Wróćmy do ludzi nad jeziora. Wiedzieli, że los jest, i dlatego trzeba działać rozumnie. To znaczy w miarę możliwości. Z ograniczonym zaufaniem do samych siebie i do sąsiadów. Tartak postawili obok warownej sadyby nadleśniczego, tak by srogi urzędnik – kierując się mądrością państwowych – mógł kultywować ogród ciągnący się pięćdziesiąt kilometrów na północ i wschód, aż ku granicy Przeklętych Bagien, i dwadzieścia kilometrów na południe, ku ulepionym z gliny i chrustu osadom kurpiowskim. Według planu, systematycznie i porządnie sadził szkółki, chronił drzewa przed nielegalnym wyrębem i organizował obławy na kłusowników skradających się aż spod Myszyńca. Po latach jego miejsce zajął syn i robił to samo, a może i lepiej, bo popyt na dębinę wciąż wzrastał, w każdym razie systematycznie i porządnie. W maju 1906 roku świętowali otwarcie nowej szkoły, nie jakiejś tam szkółki gminnej, ale gmachu z salą gimnastyczną i mieszkaniami dla nauczycieli, wedle planu architekta sprowadzonego aż z Berlina, rok później pastor zaczął zachęcać wiernych do wspólnej pracy przy budowie wodociągu. Pierwsze rury ułożono wzdłuż alei porośniętej z obu stron wiekowymi jaworami, pod którymi – jak głosiła legenda – trzy miesiące przed bitwą pod Waterloo spacerował marszałek polny Leberecht von Blücher. Jesienią i wiosną we wsi pojawiał się chudy, giętki, milczący, wstydlivy, niewątpliwie rozpustny, łysy jak kolano, za to z bujnymi rudymi bokobrodami Wilhelm Wenzel Kreutz, docent z Uniwersytetu Królewskiego. Zwano go Aalvatter, Ojciec Węgorzy, bo przez długie lata starał się rozwikłać tajemnicę pochodzenia tych węzowatych stworzeń, ale też z innych powodów, raczej poetyckiej

natury. Historia dosyć romantyczna. Z jego zachęty wybudowano bunkier, a w nim obok kadzi z lodem niewielkie laboratorium ichtiologiczne z mikroskopem do oglądania rybich wnętrzności, czy aby nie chore, nie daj Bóg! Kreutz był tutejszy. Że dobrze się zapowiadał, wysłano go w 1885 roku do gimnazjum w Olsztynie. Wrócił z cenzurą cum laude, ale widać było, że wysiłek włożony w nauki padł mu na rozum. Bywają tacy. Miesza się im w głowie od nadmiaru wiedzy, wszystko łączy się ze wszystkim, wszystko przeczy wszystkiemu, znów wszystko łączy ze wszystkim, wirujący chaos zaczyna rozsadzać czaszkę, nic, tylko zacząć wyć i kąsać. Smutny jest los wilkołaka. Kto takiego zrozumie? Kto się ulituje nad jego losem? Wilhelm krążył po wsi, recytując poematy o smokach, karłach, gnomach i Siegfriedzie, ludzie pukali się w czoła i szydzili za jego plecami, aż pewnej soboty, napiwszy się piwa z wódką i jeszcze raz piwa z wódką, spał się, nabrał powietrza w płuca, naprężył mięśnie i oświadczył zebranej w knajpie starszyźnie wiejskiej, że idąc wzorem Richarda Wagnera, zamierza stworzyć operę o Aalmutter, matce wszystkich węgorzy.

Ogólnie wiadomo, że węgorze niezbyt często zaprzętały uwagę Wagnera, który wolał rozprawić o smokach, karłach, gnomach i łabędziach, niemniej Kreutz podkreślił z całą mocą, że wzorem wielkiego artysty dochodzi do wniosków ostatecznych, a więc: – Czymże jest wasze życie, wy dziury w dupie? Jest pozorem życia! Jego nędznym półcieniem! Uprawiacie zboże, by je przerobić na mąkę i sprzedać, wycinacie drzewa, by je przerobić w tartaku na deski i sprzedać, łowicie ryby, by je sprzedać, złoto odebrało wam wolność, dla złota wyzbyliście się miłości. Wiedźcie wszelako i zaprawdę, że na dnie jeziora śpi księżniczka lubo królewna zaklęta przez karła w Macierz Wszystkich Węgorzy, śpi ona w głębinach, czekając na znak, a będzie ów znak dany przez człowieka śmiertelnego, lecz duszą równego bogom, zbudzę ją muzyką i poezją mej pieśni rycerskiej, przywrócę światłu słońca. I choć zginę z waszych rąk, wy ziemskie sługi karła i nadal dziury w dupie, to moja śmierć tchnie ducha w waszą płaską egzystencję i rozświetli jutrzenkę nadziei nad nieszczęśliwą ojczyzną, tchnie ducha, powiadam, rozświetli jutrzenkę, która zbawi was od nicości doczesnego świata! – I wyszedł, trzaskając drzwiami, a potem długo wymiotował przy płocie.

Wieść o tym wydarzeniu szybko rozeszła się po wsi, toteż gdy Kreutz po kilku dniach zaproponował zielonookiej Magdzie, córce kowala, wieczorne spotkanie na cyplu, a to mianowicie w celu przedstawienia jej tekstu i melodii Księżycowej pieśni Aalmutter, dziewczyna odrzekła, że węgorz nie jest przedmiotem jej namiętności, chyba że w galarecie i na talerzu, ale na pewno nie między nogami, i zaśmiała się tak złośliwie, że wkrótce Kreutz, przypomniawszy sobie wskazówkę z Parsifala, która (w tłumaczeniu Andrzeja Lama) idzie następująco:

Gdy chcesz prawe spędzić życie
i z godnością postępować,
niewiastom nie okazuj złości

– spakował manatki i wsiadł do pociągu, Magda zaś wyszła za mąż za syna zawiadowcy i – chichotliwie zapewniając przyjaciółki o swej niepowstrzymanej odrazie do węgorzy – urodziła mu trzech krzepkich synów, a w 1914 roku opłakała, w związku ze szturmem pod Langermarck, gdzie w gęstej flandryjskiej mgle seria z karabinu maszynowego rozpruła mu brzuch oraz klatkę piersiową, i choć umarł niemal natychmiast, to jego spływające na ziemię flaki wiły się długo i zaciekle jak węgorze w żakach. I teraz, żeby choć częściowo zadośćuczynić zasadzie dobrego zakończenia, cofnę się do *De generatione animalium* Arystotelesa.

Dlaczego?

Bo wiem, że tak trzeba.

A skąd wiem? Ze spisywanej przez kolejnych pastorów kroniki wsi (przywiózł mi tę kronikę Karol, płacąc zawrotne honorarium tylko za to, że się nią zainteresuję, przeczytam i opowiem), a także z innych lektur, które zgłębiałem od czasu przejścia na rentę, szczególnie w szpitalu dobrze mi się czytało, w oczekiwaniu na wynik badania wycinka, a potem operację, mój strach słabł, łagodniał, pozwalał oswoić się uśmiechem, ponadto uspokajała mnie myśl, że dzięki umiejętności

składania liter, nader przecież powszechnej, jestem zabezpieczony finansowo, nie muszę się martwić o przyszłość, tę najbliższą, jeśli zaś idzie o przyszłość bardziej odległą, to wolę nie mówić, z uwagi na sympatię do pogodnych zakończeń, raczej opowiem o Aalmatter i Arystotelesie.

Arystoteles twierdził, że istnieje taka klasa zwierząt, która obejmuje wyłącznie samice, wydające same z siebie jestestwa żywe, te mianowicie, które zwą barwenami. „Także i wszystkie skorupiaki powstają przez samoródtwo, na bokach okrętów, gdzie spieniony szlam zaczyna gnić, ponadto w wielu miejscach, w których nic z tego rodzaju nie było, powstają po pewnym czasie – gdy miejsca te wskutek braku wody uległy zanieczyszczeniu – ostrygi. (...) Znamy też – pisał – takie gatunki ryb, które nie są ani samcami, ani samicami, na przykład węgorze, i musi być w tym jakiś cel ukryty, bo Natura nie tworzy nic bezcelowo”. Inni wszak badacze uważali, że owszem, węgorz jest zwierzęciem szczególnym w tym sensie, że istnieje gdzieś w głębinie mórz węgorzyca będąca Aalmatter – od niej biorą się wszystkie inne węgorze, stwory obojnacze lub w ostateczności samice dzieworodne, co udowodnił w 1777 roku Mondini i chociaż osiemdziesiąt lat później Szymon Syrski wykrył w ciele węgorza narządy samcze, to nadal nie było wiadomo, ani jak, ani gdzie dochodzi do tarła. Może w Cieśninie Messyńskiej? Może na burzliwych wodach Biskaju, a może w okolicy Wysp Antylskich? Latem 1907 roku pastor otrzymał list od Kreutza. Pisał łysiejący Wilhelm, że od dwóch lat przemierza Ocean Atlantycki w poszukiwaniu Aalmatter i jest na tropie, co pastor, po zmówieniu krótkiej modlitwy w intencji uzdrowienia szaleńca, skrzętnie, choć nie bez złośliwości zanotował w kronice.

Tymczasem Kreutz rzeczywiście żeglował w sprawie larw węgorza (*Leptocephalus brevirostris*) na szkunerze „Margarethe”, a jak ten utonął, to na szkunerze „Dana”, wykonując pod kierownictwem Duńczyka Johannes Schmidta prace badawcze dla Międzynarodowej Rady Badań Morza z siedzibą w Kopenhadze. Siedemnaście lat zajęło im złowienie świeżej larwy węgorza, tak świeżej, że miała jeszcze ślady woreczka żółtkowego. Pomyśleć – siedemnaście lat! W 1921 roku Kreutz napisał pracę habilitacyjną, został Privaatdozentem przy katedrze ichtiologii Uniwersytetu Królewskiego, a w trakcie wykładów często powtarzał, że nigdy by nie doszło do odkrycia *Leptocephalus* w zachodniej części Morza Sargassowego, gdyby nie przenikająca go miłość, gdyby nie mił, gdyby nie wiara, a prawdziwości jego słów wcale nie należy wykluczać, bo choć historycy wszystkie zasługi w tej sprawie przypisują uporowi i pedanterii Johannes Schmidta, to przecież Kekulé von Stradonitzowi pojawił się we śnie smok ouroboros i wszyscy chętnie korzystamy z dobrodziejstw benzenu... W każdym razie na czas swych wiosennych i jesiennych wizyt we wsi Wilhelm Wenzel Kreutz zatrzymywał się u zielonookiej Magdy, która z chichotem zapewniała swe przyjaciółki, że jak węgorz jest gruby, długi i twardy, to jej niepowstrzymana odraza ulega osłabieniu. Aalvatter gładził wtedy rude bokobrody lub łysinę, uśmiechał się wstydliwie i milczał.

W 1928 roku właściciel knajpy ustawił na dachu tyczkę z anteną i odtąd słychać było głosy z Berlina, Moskwy i Warszawy, a 30 stycznia 1930 roku wczesnym popołudniem cała wieś wzięła udział w pierwszej w dziejach ogólnościatowej transmisji radiowej, co przebiegło następująco: Najpierw miejscowa orkiestra zagrała tusz, speaker BBC zapowiedział pierwszą w dziejach ogólnościatową transmisję radiową, potem król Jerzy V jął za pośrednictwem mikrofonu zachęcać przedstawicieli Pięciu Mocarstw Morskich do wysiłków na rzecz ograniczenia zbrojeń, jego słowa tłumaczył pomocnik kowala Schultze, który nauczył się angielskiego w niewoli, ale słabo mu szło, bo chociaż wszystko rozumiał, to wskutek utraty dolnej szczęki w czasie bitwy pod Ypres, a potem wskutek założenia mu niewygodnej protezy, miał wadę wymowy, następnie radio zostało wyłączone i zabrał głos Aalvatter, po raz wtóry w dziejach traktując swych ziomeków słowem obelżywym, a mianowicie, że raz mu się sprawdziła wizja z węgorzami, ponieważ ogarnięty był wówczas wszechprzenikającym uniesieniem duchowym w postaci dreszczy, przyspieszonego tętna, osobliwego zaburzenia wzroku oraz ponadnormalnej jasności myśli, i teraz czując się podobnie, musi powiedzieć, że jeśli król brytyjski nawołuje cały świat do pokoju, to niestety czeka nas następna wojna światowa, której nic się nie oprze, wszystko będzie zmiecione, marność nad marnościami, kamień na kamieniu, ale jako że dzisiaj są jego urodziny, to nie będzie zebrany psuł dobrego na-

stroju, zaprasza na piwo, wódkę i jeszcze piwo i wódkę, bawcie się, dziury w dupie, pijcie i tańczcie, bo to ostatni raz, po czym uklonił się przed Magdą, szurnał niezgrabnie nogami i poprosił do tańca, a orkiestra zagrała Na sopkach Mandżurii, potem zaś napiwszy się wódki z piwem, wymiotował przy płocie, aż Magda wzięła go na plecy i zaniósła do domu, i umarł parę dni później, mając o Matce Wszystkich Węgorzy i złym karle, który ją na zawsze zaczarował.

Dlaczego o tym opowiadam? Bo może to mnie pomieszało się w głowie od czytania? Ale czy istnieje lepszy sposób ucieczki przed własnym lękiem niż wgłębienie się w cudzy lęk? Więc nawet jeśli od nadmiaru wiedzy nikomu niepotrzebnej wszystko połączyło się we mnie ze wszystkim, wszystko zaprzeczyło wszystkiemu, znów wszystko połączyło ze wszystkim, wirujący chaos rozsądza mi czaszkę, nic, tylko zacząć wyć i kąsać, i tak będzie, wyć aż do ochrypnięcia, nie mam co do tego wątpliwości, to przed odejściem powinienem chyba wyjaśnić parę spraw, taką mam ambicję, na przykład dlaczego w tej pruskiej wiosce orkiestra grała rosyjskiego walca Na sopkach Mandżurii. A wyjaśnienie jest proste.

Bierze się mianowicie z odwiecznej wrogości między brodą i wąsami, zaczyna zaś w 1904 roku, gdy na stacji kolejowej w Mukdenie brodaty generał Aleksander Samsonow, dowódca Dywizji Kozaków Syberyjskich, pobił na oczach rozbawionych widzów wąsatego generała Pawła Rennenkampfa, dowódcę Dywizji Kozaków Zabajkalskich, to znaczy brodaty dał w pysk wąsatemu, przewrócił go, a potem obaj tarzali się po peronie, sapiąc, klnąc, plując krwią i śliną. Dziesięć lat później, w sierpniu 1914 roku, Samsonow, dowodzący II Armią Rosyjską (Warszawską), nie doczekał się odsieczy I Armii Rosyjskiej (Północnej), dowodzonej przez Rennenkampfa, wskutek czego w bagnach mazurskich utonęło ze sto tysięcy jego żołnierzy. Opuuszczony przez oficerów Samsonow usiadł na porośniętym jodłami pagórku i umarł, rozmaici (od Sowieckiej Wojennej Encyklopedii po Sołżenicyna) pisali, że popełnił samobójstwo, że rycerz bez skazy – ginę, lecz nie poddaję się – ale w 1915 roku odkopano jego ciało, na którym nie było śladu kuli, po prostu serce mu pękło ze smutku i żalu, generał Rennenkampf, oskarżony o zdradę, miał stanąć przed sądem, wszakże car-ojczulek obronił, dopiero bolszewicy sprawę załatwili przy pomocy Rewtrybunału w Taganrogu w marcu 1918 roku, natomiast tamburmajor Nestor Porfiriewicz Wasilczikow (Vasiltschikoff), którego pieczy podlegały dwie podwozy z instrumentami i nutami orkiestry 2. Dywizji, szczęśliwie znalazł ścieżkę wiodącą przez trzęsawisko, przeskoczył przez szosę oraz szlak kolejowy i maszerując dwa dni leśnymi drózkami, dotarł do brzegu jeziora. Miejscowi nie wydali go żandarmom, bo był grzeczny, czysty i pracowity, on zaś w ramach rewanżu podarował im dywizyjne instrumenty muzyczne i nauczył grać Na sopkach Mandżurii oraz Pożegnanie Słowianki. I nic z tego nie zostało, nic, jeśli nie liczyć zionącego trupim odorem betonowego lochu na brzegu jeziora i nadpalonej kroniki wsi, nic, ani alei okolonej jaworami, ani grzebień, ani noża i spinki do włosów lub strzępu sukni, tak jakby zniszczenie dokonało się dawniej niż wojna trojańska i za sprawą bogów bardziej okrutnych i mściwych niż mieszkańcy Olimpu.

Na skraju cypla zapłonęło ognisko.

– Przecież nie brakowało im rozsądku... – powiedział cicho Karol. – Umieeli bronić się przed szaleństwem. A jednak w tamtej chwili... tamtego dnia...

Karol jest człowiekiem z wielkiego świata, członkiem Rad Nadzorczych towarzystw i konsorcjów, wędrowcem, dla którego podróż przez nieznany kontynent jest mało ważnym, przypadkowym tłem powierzonego mu zadania, a wirujące bogactwo życia redukuje się do dwóch słów: kredyt i debet, przekraczających granice kultur i ras bez ciekawości, bez pamięci ludzkich twarzy. Uchodzi za dobrego mówcę. Uchodzi za osobistość wybitną. Niektórzy twierdzą, że jest bezwzględny i bezgranicznie chciwy władzy. Z pewnością dobrze wygląda za mównicą. Siwizna na skroniach harmonizuje ze śniadą twarzą, lekko skośne, ironicznie zwężone oczy bacznie wpatrują się w pustkę tuż ponad głowami słuchaczy, których przytłacza jego mocny, niski, nieco schrypnięty

głos. Pierwsze trzy zdania składają się na żart. Dziesięć następnych zawiera opis sytuacji, która, zdaniem mówcy, wymaga zmian dla dobra kraju, gospodarki i, oczywiście, wszystkich zebranych. Słowa są proste, obraz świata spójny i nieodparcie trzeźwy. W dziesięciu następnych zdaniach zawarty jest projekt zmian, wskutek których konsorcjum umocni pozycje na rynku, uporządkuje swą strukturę, wydatnie zmniejszy personel (pozbywając się części zebranych) i obniży koszty. Pięć zdań miesza w sobie pochlebstwa i groźby. Trzy zdania wieńczące dowodzą, że Karol to osobistość wybitna, której należą się wysokie dochody, szacunek, posłuch i sława.

– Jest doskonale amoralny... – powiedział kiedyś mój przełożony. Uniosłem wzrok znad dokumentów. W jego oczach pojawił się lęk. – Takie stwarza wrażenie... – dodał pospiesznie. – Mam na myśli pozory... Zewnętrzne... Pozory, które mylą... – Przypomniał sobie, że miejsce za biurkiem zawdzięcza krótkiej rozmowie Karola z prezesem banku (przy czym Karol siedział, a prezes stał) i że patrząc na to z perspektywy biurokratycznej, moje szanse przetrwania do emerytury są większe niż jego szanse awansu.

– To ciekawe spostrzeżenie – mruknąłem.

Odetchnął z ulgą.

Karol istotnie stwarza wrażenie bycia kimś wybitnym. Nie umiałbym wytłumaczyć dlaczego. Tak wygląda. Stwarza wrażenie. Są ludzie, którzy bez względu na okoliczności promieniują dostojnością. Są też tacy, którzy bez względu na okoliczności wzbudzają lekceważenie lub obojętność. Jeszcze w czasie studiów, trzydzieści pięć lat temu, Karol zaprowadził mnie na przyjęcie wydane przez zaprzyjaźnione z nim prządki Olę i Alę, siostry bliźniaczki, podobne do siebie jak dwie krople wody i wykorzystujące fakt podobieństwa z cynizmem pełnym dziewczęco-perwersyjnego uroku. Miały identyczne: wagę, wzrost i pozostałe wymiary, identycznie popielate włosy, identyczne jasnoniebieskie oczy z ciemnymi obwódkami, identyczne nosy, usta, zęby, małe uszy, niewielkie brązowe znamiona na lewych piersiach, identyczne pępki, pośladki, zgrubienia dużych palców u prawej stopy, spódniczki, bluzki, majtki, biustonosze, torebki, szminki, puderniczki, złote krzyżyki na łańcuszkach i tego samego dnia doświadczały miesięcznej przypadłości, wszakże od pierwszej chwili czułem, że Ali, choć tak podobnej zewnętrznie do siostry bliźniaczki, nie jest obca szlachetność uczuć i głębia współczucia, podczas gdy Ola jest ladaczną, której przewrotność wzbudza we mnie prócz niepokoju i swoistej odrazy także i tęsknotę za wielkim porywem serca, a przecież na oko i rozum nie dałoby się tego zdefiniować. Pogrążyłem się w uczuciu do zatury tchu, pokochałem Olę, ale o tym, że nie z nią spędziłem noc, lecz z Alą, wyjawiała mi ich trzecia siostra, Ula, młodsza, drobniejsza, ze złym uśmiechem rozjaśniającym szmaragdowe oczy.

Zostałem zwiedziony? Dałem się zwieść? A może nie umiałem odróżnić złudzenia od prawdy? Ale czy chciałem? Czy mogłem wiedzieć, że chcę? Twierdząc, że Karol stwarza wrażenie bycia kimś wybitnym, nie chcę bynajmniej powiedzieć, że wrażenie dotyczy zewnętrznych pozorów, pod którymi skrywa się wewnątrz zasadniczo i zaskakująco uboższe. Na odwrót, rad bym raczej sądzić, że idzie tu o przykład doskonałej, choć nieprostej harmonii między światowym wyrazem – i znaczeniem tego, co jest wyrażone, między formą i treścią, między jawnością i tajemnicą, w tej przynajmniej mierze, z natury skromnej, a nawet ułamkowej, w jakiej duchowość poszczególnego człowieka, jego pamięć, nadzieje i sny podlegają przenikliwemu spojrzeniu bliźniego. Uważam, że wybitność Karola jest maską, za którą skryta jest wybitność jeszcze większa, choć różna od tej, która dana jest bezpośredniemu oglądowi. Swoista prostota i wyuczona płynność jego przemówień świadczą o poprzedzającym je powolnym i żmudnym namyśle, każda gładka formuła wyrasta z setki zająknięć, z mozolnego borykania się z samym sobą. Chcąc wypowiedzieć jakiś osąd istotny, Karol zaczyna się na słowa, skacze na nie, ujarzmia, nie szczędząc wysiłków, męcząc się i smucąc, co niekiedy stwarza wrażenie pewnej nieskładności.

– Nie, nie brakowało rozsądku... – powtórzył. – Umieli się bronić. A jednak... Owszem, dziwne... choć z drugiej strony...

Zgoda. Umieli się bronić, tak przynajmniej zaświadcza kronika w sprawie postawienia na placu przed szkołą pomnika marszałka von Blüchera. Stało się to w 1908 roku, gdy liście klonów nabrzmiały złotem i purpurą, nad ciemniejącym jeziorem rozsnuła się mgła, oszalały z samotności łabędź Fritz wylazł na brzeg i podziobał do krwi psa Magdy, a nadleśniczy, zawiadowca i listonosz od rana do wieczora chodzili w paradnych mundurach, ponieważ w Rominten, tuż przy granicy rosyjskiej, cesarz urządzał doroczne łowy, a także doroczny spływ łodzią i nie można było wykluczyć, że pojawi się tu w cesarskim mundurze myśliwskim, zielonym kapeluszu z bażancim piórem i z myśliwskim nożem u boku. Co prawda, nic takiego w przeszłości się nie zdarzało, ale kto wie? – na wszelki wypadek nadleśniczy codziennie sprawdzał stan broni i onuc leśniczych, a zawiadowca pomadował niesforne wąsy oraz ćwiczył przed lustrem dziarskie miny i uroczyste składanie meldunku.

Jakoż pod koniec sierpnia 1908 roku landrat powiadomił pastora i kierownika szkoły, że w bawiących obecnie w domu myśliwskim w Rominten kręgach najwyższych coraz częściej mówi się o nadciągającej setnej rocznicy zwycięstwa nad Napoleonem i godnym jej opracowaniu, nacisk kładąc w szczególności na pamięć o wielkich pruskich wodzach, których czyny, myśli i słowa służyć winny młodzieży szkolnej przykładem, toteż mając na uwadze znane dziejopisom pełne wzniosłej i narodowo-treściwej zadumy spaceru marszałka Gebharda Leberechta von Blüchera pod jaworami nieopodal brzegu jeziora, radzi zastanowić się nad śpiesznym przystąpieniem do dzieła, a jest to rada przyjacielsko-wyprzedzająca, gdyż – nie uchybiając w niczym urzędowej zasadzie poufności – doszła go wieść o postanowionym objeździe inspekcyjnym generała hrabiego von Hülser-Haeslera, który to szef wojskowego gabinetu cesarza zbierać będzie petycje ludności dotyczące godnego i na jej koszt opracowania rocznicy, co w konkretnym przypadku wyraża się niepłonną nadzieją wybudowania pomnika, na którym oparty o lufę armatnią marszałek von Blücher unosi w prawej dłoni szablę, lewą zaś zaciska na drzewcu sztandaru swej armii; pomnik winien stanąć przed szkołą, niechybnie sam cesarz zechce uczestniczyć w jego odsłonięciu.

– Zawsze miałem go za dupka – zadumał się pastor – ale w sumie przyzwoity człowiek z tego landrata.

– Przyzwoity, nieprzyzwoity, ale trzeba coś z tym zrobić, bo inaczej zaśmiecą nam wieś – odrzekł na to kierownik szkoły, zawołał nauczyciela historii i poszli w trójkę do kierownika tartaku, żeby napić się piwa i naradzić, a następnie w czwórkę do nadleśniczego, żeby napić się jałowcówki, zagryźć cienkimi, ciemnoczerwonymi płatkami wędzonej szynki z dzika i podjąć oraz zapisać stosowną rezolucję, następnie zaś w piątkę do knajpy, żeby zbadać nastroje społeczne, które studiowali do późnej nocy, by na koniec, stojąc na ganku, wyrzucić w gwiazdziste niebo niezbyt zgranym chórem pierwszą zwrotkę pieśni Richarda Straussa *Der Arbeitsmann*.

Nie żeby mieli coś osobiście przeciwko Blücherowi. Dzielny był to żołnierz, obdarzony żelazną wolą i instynktem manewru. Prusy zawdzięczały mu poczucie narodowej dumy, a sprzymierzeni – zwycięstwo pod Waterloo, bo gdyby po klęsce pod Ligny nie pozbierał swej skrwawionej armii i nie rzucił jej z całą mocą na Belle Alliance, to wojsko Wellingtona zostałoby wyrżnięte w pień. Ponadto ludzie ze wsi chętnie i ze śmiechem sobie opowiadali, jak wybałuszywszy błękitne, prawie białe oczy i nastroszywszy siwe wąsiska, stary Gebhard, nagi, zataczał się pod jaworami i kwicząc, uciekał adiutantom. Osobiście to oni mieli coś przeciwko zupełnie komuś innemu, ale niech rzecz toczy się po kolei i tak, jak było.

Ale czy to zadanie nie przerasta moich możliwości? Opowiadać po kolei? To znaczy założyć, że czas jest ciągły i prostoliniowy jak nić, na którą wydarzenia nanizują się bez względu na swą treść – a ze względu na miejsce w kolejności, a nawet więcej: że o treści wydarzeń decyduje ich kolejność. Przyjmując, że znaczenie zawiera się w tym, że coś wydarzyło się wcześniej, a coś później, a coś jeszcze później, zakładamy zarazem, że to wcześniej, później i jeszcze później przynależą do tego samego świata rozciągającego się wzdłuż jednej nici i wzajemnie w sobie się rozpoznają. „I

żył Adam sto i trzydzieści lat, i spłodził syna na podobieństwo swoje, i na wyobrażenie swoje, i nazwał imię jego Set. I było dni Adamowych po spłodzeniu Seta ośm set lat, i spłodził syny i córki (...) A Set żył sto lat i pięć lat, i spłodził Enosa. I żył Set po spłodzeniu Enosa ośm set lat i siedem lat, i spłodził syny i córki. A Enos żył dziewięćdziesiąt lat i spłodził Kenana. I żył Enos po spłodzeniu Kenana ośm set lat i piętnaście lat, i spłodził syny i córki (...) Kenan też żył siedemdziesiąt lat i spłodził Mahalaleela (...) A Mahalaleel żył sześćdziesiąt i pięć lat, i spłodził Jareda (...) Żył też Jared sto sześćdziesiąt i dwa lata, i spłodził Enocha. I żył Jared po spłodzeniu Enocha ośm set lat, i spłodził syny i córki. I było wszystkich dni Jaredowych dziewięć set sześćdziesiąt i dwa lat, i umarł. A Enoch żył sześćdziesiąt lat i pięć, i spłodził Matuzalema (...) I żył Matuzalem sto ośmdziesiąt i siedem lat, i spłodził Lamecha. I żył Matuzalem po spłodzeniu Lamecha siedm set ośmdziesiąt lat, i dwa lata, i spłodził syny i córki. I było wszystkich dni Matuzalemowych dziewięć set sześćdziesiąt lat i dziewięć lat, i umarł. A Lamech żył sto ośmdziesiąt i dwa lat, i spłodził syna. I nazwał imię jego Noe”. Ta opowiedziana p o k o l e i historia ponad tysiąca lat nie daje nam żadnej wiedzy o synach (z wyjątkiem pierworodnych) i córkach Adama, Seta, Enosa, Kenana, Jareda i Enocha, o olbrzymach zaludniających naonczas ziemię oraz o synach Bożych biorących córki ludzkie, a przecież musiało być tam spięć i dramatycznych konfliktów mnóstwo, skoro „żałował Pan, że uczynił człowieka na ziemi, i bolał w sercu swym”. Sprawozdawca skoncentrował się na – po kolei – nakreśleniu linii dziedziczenia, w której znaczenie poszczególnych postaci sprowadza się do bycia spłodzonym i bycia płodzącym, a to w celu osiągnięcia momentu, w którym urodzi się Noe, „znajdujący łaskę w oczach Pańskich”. Przebieg służy finałowi, a ten finał, stając się częścią przebiegu, służy finałowi następnemu, a ten jeszcze późniejszemu, aż do pojawienia się Mojżesza, który pozna Pana „twarzą w twarz”. Zatem sens opowieści daje się pojąć jedynie w świetle celu, jakim jest obietnica spełnienia. I wtedy wszystko jest proste i po kolei. Ale ja opowiadam o świecie, który nigdy się nie spełnił, bo został nagle i bezpowrotnie zniszczony; tak jak człowiek, który w sile wieku, z na wpół zrealizowanymi planami, zostaje rażony apopleksją lub zawałem serca, albo inną chorobą, i nagle umiera, a wtedy widać, że braknie dla jego losu jednolitej miary, czas mu się jeszcze nie wypełnił – ale czy miał się wypełnić?

Większość z nas odchodzi zbyt wcześnie, z żalem w sercu, taka jest nasza cecha gatunkowa, pszczoły i mrówki nie płaczą; a może zresztą smutek niespełnienia jest właśnie ludzkim sposobem spełnienia? Ja myślę o sobie, myślę o synach i córkach bezimiennych, o tych gorszych, o tych zapomnianych, którym nie dane było uroczyste dziedzictwo, dane było natomiast splątanie losów, a przez to obecność, często jednoczesna, w rozmaitych porządkach czasowych i przestrzennych, na jawie, w snach, a także na granicy między nimi, tam gdzie przeszłość i przyszłość ocierają się o siebie nieprzenikalnymi skorupami. Żeby opowiedzieć tak, jak było – nie można po kolei! Nie da się.

Kronika wsi zaświadcza, że dokładnie do południa 4 września 1908 roku szef wojskowego gabinetu cesarza Niemiec, ekscelencja generał hrabia von Hülsen-Haesler, w cesarskim uniformie myśliwskim, w kapeluszu z bażancim piórem i myśliwskim kordelasem u pasa, rozparty na tylnym, wyściełanym skórą siedzeniu wielkiego zielonożółtego samochodu, zaopatrzonego w sztabowy proporczyk, cztery zapasowe koła i kufer z cesarskimi inicjałami, wyglądał ze wszech miar godnie; od południa zaś zupełnie nie, a to z dwóch powodów. Po pierwsze: w chwili gdy samochód wjechał do wsi, a dochodziła właśnie dwunasta, z niewielkiej czarnej chmury, która pojawiła się nagle i nie wiadomo skąd (bo dzień był słoneczny i bezwietrzny) połały się strugi wody wprost na generała-hrabiego, mocząc go doszczętnie. Rzecz ciekawa, że opad trwał nie dłużej niż dwie minuty i objął swym zasięgiem tylko drogę oraz podwórko domostwa pastora, gdzie pod daszkiem czekali: kierownik szkoły w zbyt ciasnym mundurze podporucznika rezerwy stacjonującego w Gdańsku pułku Huzarów Śmierci, nadleśniczy z przypiętą do piersi odznaką *Deutsche Flottenverain* i właściciel knajpy z medalem za udział w bitwie pod Königgratz, który to medal przypadł mu w podziale spadku po stryju. Samochód zatrzymał się. Kierownik szkoły uniósł palce do daszka. Szofer otwo-

rzył drzwi. Generał wysiadł z samochodu, by po przejściu kilku kroków poślizgnąć się na kaczym gównie, stracić równowagę i wpaść w świeży krowi placek. Po wtóre – kiedy generał wysiadł z samochodu, okazało się, że wiedziony niepojętym kaprysem, do zielonej kurtki cesarskiego uniformu myśliwskiego założył krótkie spodnie tyrolskie, odsłaniając bezwłose, szczupłe, dziewczęce nogi („jak u baletnicy” – zapisał kronikarz) z małyńkimi stopami w brązowych – a teraz unurzanych w krowim łajnie – lakierowanych sztybletach. I od tych nóg witający nie mogli oderwać oczu, nawet kierownik szkoły w czasie składania meldunku patrzył w dół zbieżnym zezem, aż mu się pojawiły w oczach łzy, co generał uznał za wyraz respektu i patriotycznego wzruszenia. Na ganku stanął pastor i zaprosił generała do środka. – Tylko niech ekscelencja uważa, bo tu kaczki wszystko obesrały!

Generał usiadł w fotelu, założył nogę na nogę (nadal nie mogli oderwać od nich oczu, „...jak toczone, i pachnące wodą kolońską...” – zapisał kronikarz) i powiedział mniej więcej tak:

– A więc, moi panowie, dowiaduję się, że wśród szerokich kręgów miejscowej społeczności mówi się o nadciągającej setnej rocznicy zwycięstwa nad Napoleonem i godnym jej oprawieniu, nacisk kładąc szczególny na pamięć o wielkich wodzach, których czyny, myśli i słowa służyć winny młodzieży szkolnej przykładem. Toteż mając na uwadze znane dziejopisom pełne wzniosłej i narodowotreściwej zadumy spaceru marszałka Gebharda Leberechta von Blüchera pod jaworami, akceptuję postulat postawienia na wasz koszt pomnika, na którym oparty o lufę armatnią marszałek von Blücher unosi w prawej dłoni szablę, lewą zaś zaciska na drzewcu sztandaru; pomnik winien stanąć przed szkołą, niechybnie sam cesarz zechce uczestniczyć w jego odsłonięciu...

– Ekscelencjo! – kierownik szkoły stuknął obcasami. – Napisaliśmy rezolucję w tej sprawie.

– Bardzo dobrze! – powiedział generał.

– Chciałbym ją odczytać... – powiedział kierownik szkoły.

– Nie ma potrzeby – przerwał mu generał, któremu nieco się śpieszyło.

– ...w celu prezentacji szczegółów wymagających zatwierdzenia przez Ekscelencję – ciągnął uparcie kierownik szkoły.

– W takim razie niech czyta... – rozkazał generał i przełożył nogi kolejny raz, ściągając spojrzenia obecnych.

– Przechodzę do rzeczy... A zatem... – chrząknął kierownik szkoły i pokręcił głową, bo uwierał go kołnierz zbyt ciasnego munduru. – Sztuka, a rzeźba w szczególności, ma pomocą służyć w narodu wychowaniu, ma też najniższym stanom możliwość stwarzać, iżby po trudach i znojach ideałami się pokrzepiały. Dla nas, dla narodu niemieckiego wielkie ideały stały się dobrami niezbywalnymi, podczas gdy inne narody mniej lub bardziej je utraciły. Tylko naród niemiecki na pierwszym miejscu jest ku temu powołany, aby tych wielkich ideałów strzec i rozwijać. A należy do nich i to także, abyśmy pracującym w trudzie klasom dali możliwość wyniesienia przez piękno, wydobywania się z odmętów innych myśli i skierowania ducha ku wielkim wydarzeniom historyczno-narodowym, które niczym wiatr w żagiel dmący popchnie je ku czynom podziw powszechny w świecie wzbudzającym. Także pomnik, marszałkowi wystawiony artysty niemieckiego dłonią, stopi w jedno pieśń, krew i żelazo, młodzieży zebranej uświadamiając tajemnicę żołnierskiej służby marszałka i głębię narodowotreściwej zadumy, przepełniającej jego spaceru pod jaworami, tak jak to zapisał wierny strażnik dziejów wsi naszej...

– Bardzo dobre. Słyszę w tym echo słów Majestatu. Tak trzymać... – ożywił się generał. – A co zapisał wierny strażnik?

– I tu jest właśnie słoń pogrzebany... – szepnął łagodnie i z szacunkiem kierownik szkoły.

– Pies... – poprawił go generał. – Pies pogrzebany.

– Kronika mówi, że też zacytuję za pozwoleniem i przeproszeniem Ekscelencji, inaczej... Mówi o słoniu... Kronika mówi tak: „Wyraziwszy tedy wolę stanięcia w domu Pastora pod jego nieobecność, Pan Marszałek kazał przynieść beczułkę Wódki Gdańskiej, a wysuszywszy ją całkowicie przez dzień, noc i połowę dnia następnego, jał czynić awanse Małżonce gospodarza, gdy zaś ta,

brzemienną będąc i oczekując rychłego porodu, zaloty Jego grzecznie odrzuciła, Marszałek, pozbyszy się szlafroka, odsłonił Brzuch swój nabrzmiaty i twardy tudzież dziarsko-wojskowe Pudenda i głosem płaczącym uzalił się na okrucieństwo Natury wobec wszystkich Kobiet, jego zaś w szczególności, i lży roniąc, wyznał Żonie Pastora, iż za sprawą perfidnej francuskiej intrygi, wbrew woli swojej i na wieczyste pohańbienie, w Ciążę zaszedł i czuje oto, zgoła ma pewność, że chwila porodu nadeszła, a dziecko, które w swym żywocie nosi, cech ludzkich nie posiada, jest to albo-wiem monstrum Elephant z trąbą i kłami. Co rzekłszy, Marszałek wybiegł chwiejnym krokiem na jaworową aleję, a nosiło go nagiego, z wielkim brzuchem, od prawa do lewa i od lewa do prawa, i głosem słoniowym przeklinał Elephanta z trąbą i kłami w żywocie swoim, aż wreszcie piana z ust mu poszła i zwałił się na ziemię w bólach i konwulsjach, dzięki czemu Panowie Adiutanci mogli go związać, do Domu zanieść i dwa dni, aż do wyzdrowienia, ciepłym Mlekiem poić... Po czym, pozostawiając przerażonej kobiecie woreczek z dukatami, ruszył Marszałek pod Waterloo, gdzie odniósł zasłużone zwycięstwo”. Tyle kronika....

– Rozumiem – powiedział generał i przetarł monokl.

– W naszej wsi wszyscy o tym wiedzą – dodał kierownik szkoły. – Tak więc, gdyby szczęśliwy los sprawił, iż Jego Cesarska Mość swą obecnością zechce nas zaszczyścić...

– No tak... – generał zamyślił się i głośno przełknął ślinę. – Elephant... okropne... z trąbą i kłami. One po dorostaniu mają wielkie, owłosione uszy...

Tu trzeba dodać, że generał, człowiek uzdolniony artystycznie, wrażliwy, wykształcony, sporo słyszał o dziwacznych cechach umysłu marszałka von Blüchera, pośród których paniczny lęk przed urodzeniem słońca nie wydawał się najbardziej niebezpieczny.

– Nie sądzę... – oświadczył. – Nie sądzę, by w tych okolicznościach Jego Cesarska Mość... Nie sądzę...

I pośpiesznie odjechał, pozostawiając nierozstrzygnięte pytanie, czy jego nogi pozbawione są owłosienia z przyczyn naturalnych, czy też za sprawą balwierskiej dłoni. Przynajmniej, że nie był to najszcześniejszy okres w życiu generała von Hülsen-Haeslera. Kilka miesięcy później przebrany w krótką sukienkę z tiulu, w baletkach na małych stopach i z wiankiem róż na siwej głowie tańczył przed rozradowanym kajzerem, a gdy umilkły ostatnie takty muzyki, złożył Majestatowi głęboki ukłon i upadł martwy na podłogę.

Osobiście to oni mieli coś przeciwko Wilhelmowi II, którego uważali za nadętego głupka z głupimi wyłupiastymi oczami i jeszcze głupiej ułożonym wąsem. Nie chcieli go widzieć u siebie ani pod jaworami, ani nad brzegiem jeziora, ani w lesie nie dlatego, że miał głupi i pyszny wyraz twarzy, i nie dlatego, że ujawniał oznaki umysłowej ociężałości, bo to każdemu może się zdarzyć, ale dlatego, że był Cesarzem. Oni natomiast byli przysięgłymi republikanami, a także socjalistami, o czym świadczą zanotowane przez kronikarza następujące fakty i wydarzenia rozmaitej miary: co drugi gospodarz prenumerował „Vorwaerts”, świętowali 1 Maja, w czasie pierwszomajowych festynów zespół szkolny przedstawiał co rok tableaux vivants takie na przykład, jak: Republikanin Wilhelm Tell z synem; Watt Tyler rusza do boju w 1381 roku; Gracchus Babeuf (1760–1797) tworzy Sprzysiężenie Równych; Bohaterska śmierć Gracchusa Babeufa (1760–1797) na gilotynie; 1830: Jeszcze Polska nie zginęła!; Krawiec Christian Wilhelm Weitling i filozof Karl Marx w czasie obrad Związku Sprawiedliwych; 1848: W obronie Konstytucji Rewolucja wiedzie Lud na barykady; Głodujący Paryż i syty Wersal; Bismarck i Proletariusze; Nigdy więcej wojny! – i tym podobne, założyli spółdzielnię mleczarską wyposażoną w maszyny z Danii, nauczyciel historii korespondował z samym Maxem Adlerem na temat „zapewnienia socjalizmowi fundamentów etycznych, na przykład w postaci imperatywu kategorycznego, gdyż inaczej rzecz zakończy się tyranią, jakiej świat nie znał”, kiedy w 1923 roku komunistyczna „Rote Fahne” zaczęła kokietować faszystów wspólną walką przeciw Ententekapital, wysłali do redakcji tej gazety list protestacyjny, ale go nie opublikowano, ostatni zaś zapis w kronice został dokonany w marcu 1933 roku i brzmiał tak: „...wszyscy ludzie są wolni i równi – dlatego demokratyczny socjalizm jest sprawą osobistej

przyzwoitości”. I nic z tego nie zostało, nic, jeśli nie liczyć zionącego trupim odorem betonowego lochu na brzegu jeziora i nadpalonej kroniki wsi, nic.

2

Zza pagórka, nisko przy ziemi, pomiędzy szorstkimi łodygami jeżyn, potem pełznąć nad kępami szerokolistnej trawy, dotarło do nas pasemko dymu, znak, że Doktor zbliża się do przedostatniego aktu swoich misteriów wędzarniczych. Po chwili usłyszeliśmy suchy trzask deptanych gałązek i głos: – Nie widzę was. Gdzie jesteście? – Załóż okulary, doktoru – krzyknął Karol i zaśmiał się, a ja mu zawtórowałem, wiadomo bowiem, że nie wynaleziono jeszcze takich okularów, które umożliwiłyby naszemu przyjacielowi bezpośrednio, całkowite i niewątpliwe odróżnienie rzeczy od rzeczy. Mając teoretyczne pojęcie o idei przedmiotu, bierze ledwie widziany kształt, obraca go, wyczuwa, dopasowuje, nazywa i – co najdziwniejsze – nigdy nie popełnia błędu. Karol wyprowadza z tego podejrzenie, że Doktor został wyposażony w trzecie oko, dzięki któremu postrzega świat dokładniej i dotkliwiej niż przeciętny obserwator, ale myślę, że nie ma racji, to chyba wzięło się z ukrywanego za łagodnym uśmiechem bólu tysięcy potknięć. – A zatem... – usłyszeliśmy w pobliżu – a zatem zbliżam się do was z dobrymi nowinami... – Ostry snop światła latarki zatrzymał się przez chwilę na twarzy Karola. Przymknął powieki. – Trochę w prawo, doktoru, i będziesz na miejscu – powiedział. – Z dobrymi nowinami, rzecz jasna. – Bardzo dobrymi... – odrzekł Doktor, potknął się o moje nogi, tracąc równowagę, przebiegł kilka kroków, zawrócił, wymacał w ciemności pień wiśni i objąwszy go lewą ręką, ostrożnie usiadł na mchu. Po czym wyjął z kieszeni kurtki butelkę z jasnobrazowego szkła. – Nadszedł czas rozszerzenia naczyń krwionośnych – oświadczył. – Wędzenie trochę potrwa... Sieja to stwór kapryśny, nie znosi pośpiechu. Żąda precyzji i cierplivej stanowczości... Jednym słowem... wymaga tego rozsadek, byśmy się napili.

Zwrócił się ku mnie:

– Tobie też nie zaszkodzi...

Doktor wie, co mówi, tak zakładam. Dobrze wie. *Primum non nocere*. Sławny medyk, autor podręczników, mistrz otoczony gronem wdzięcznych uczniów. *Non nocere*. Na wieść o mojej chorobie zrezygnował z wykładów w USA (wiem o tym od Karola), a po operacji i naświetlaniach zaproponował wspólne spędzenie urlopu nad jeziorem. – Dwa miesiące, może trzy albo jeszcze dłużej – mówił – posiedzimy w lesie, na świeżym powietrzu, mnie też wyjdzie na zdrowie, trzeba odpocząć przynajmniej raz na kilka lat, ściągniemy Karola, nawet nie wiesz, jak on się nudzi, czytając bilanse i opierdalając prezesów banków, leczyłem kilku i powiem szczerze, aż strach pomyśleć, że te gnojki obracają moimi pieniędzmi, aż strach, mam na myśli ich poziom umysłowy i moralny oraz brak poczucia humoru, kurduple w czarnych garniturach, ale że dobrze płacą, więc niech płacą, a my tymczasem dzięki temu posiedzimy sobie w lesie, nad jeziorem, pogadamy, a gdybyś się źle poczuł... chociaż wszystko idzie ku dobremu, więc nie sędzę... – Ku dobremu? – zdziwiłem się, bo przecież wiem, i on wie, że wiem, szanse niewielkie, raczej w ogóle bez szans, przypadek, z przeproszeniem, terminalny. Zdjął okulary, nachylił się ku mnie: – Powiem ci w zaufaniu, że w dłuższej perspektywie... z pewnością ku dobremu... Właśnie dlatego trzeba tam pojechać.

Doktor oparł się plecami o pień wiśni, powąchał żółty płyn, łagodnie kołyszący się w szklance, i westchnął:

– Wielkimi zaiste talentami został obdarowany przez los dzielny naród szkocki. Pomyślcie tylko, że podczas gdy Anglik musiał złapać brandy przemycaną z kontynentu, smrodliwą i skłaniającą do wymiotów, dumni górale podjęli produkcję napoju, którego tysiąc odmian może zaspokoić wszystkie nasze zmysły, w niczym nie naruszając estetycznej harmonii świata... Domyślam się, że naklejka na butelce oprócz cytatu z *The Strange Horse of Suinbhall* Williama Blacka, w którym ów poczytny niegdyś autor sentymentalnych opowieści o życiu Szkocji sławi smak wody z rączych strumieni wyspy Islay, zawiera też symetrycznie ułożone tarcze herbowe ze zwierzęciem przypo-

minającym już to lwa z cyrku, już to jednorożca zirytowanego utratą jedyne rogu... wyżej zaś dostrzec możemy rysunek zatoki z dwoma szkunierami na pierwszym planie...

– Skąd wiesz? – zapytał zdziwiony dokładnością opisu.

– Mam węch jak ułożony pies myśliwski. Wyżeł. Posokowiec. Natura w swej mądrości... Coś za coś!

– Widzisz nosem?

– Nie – powiedział Doktor. – Pies ułożony. Próby i błędy. Wiedza nabyta. W dramatycznych okolicznościach. Długoletnia miłość. Dwadzieścia lat. Jej dusza rozdarta między namiętnością, współczuciem i ambicjami pedagogicznymi. O namiętności nic wam nie powiem. Wciąż mi się śni. Wzruszające. Śni mi się i dlatego budzę się ze łzami w oczach. Dwadzieścia lat, bądź co bądź. Ukradkowe spotkania. Jej przyśpieszony oddech. Jej szept. Umieram z rozkoszy. Ale od czasu do czasu nachodziły ją ambicje wychowawcze. Twoje dłonie są szorstkie, dlaczego nie używasz kremu? Za dużo palisz. Nikotyna jest trucizną. Picie alkoholu, ohyda, jak możesz, a gdybyś rzucił palenie? Nie? To może picie? Rzuć picie, no i koniecznie musisz dbać o dłonie, a jeśli idzie o palenie, to też musisz rzucić. Wiecie, jak to jest... Kreowanie pozytywnych wzorów. Bardzo była z tego dumna. Odciskanie niezatartego piętna cnoty. Obiecując, że wypiję tylko łyżeczek, prosiłem ją, by opowiedziała mi o wyglądzie nalepki, bo moje słabowidzące i strudzone oczy... nie należy ich męczyć okularami... W przyływie współczucia, a jest to niewiasta piękna, o niewątpliwie wielkim sercu i równie wielkim darze opowiadania... Wypytywałem o detale, podstępnie zyskując w ten sposób czas i sposobność wypicia kilku szklanek, po czym szliśmy do łóżka, gdzie nie było miejsca dla pedagogiki, co z upływem czasu, a więc wraz z ustępującą namiętnością, wzmagало ambicje mojej ukochanej. Ubierała się, żądając, bym rzucił palenie, picie, dbał o gładkość skóry dłoni i wzmocnił swój chwiejny charakter. I tak da capo, w stanowczości i współczuciu... Odnoszę wrażenie, że mnie rzuciła... to zaś kojarzy mi się...

– Wykluczone! – usłyszałem twardy głos Karola. – Najpierw mówi on, potem ja, a ty na końcu, jak podasz ryby. Taka była umowa.

– Ale ja ją wciąż Kocham! – oburzył się Doktor. – Nie macie pojęcia, czym jest udręka osamotnionej duszy! Miłości moja, wróć do mnie!

– Gdybyś ją naprawdę kochał, rzuciłbyś palenie i picie, a także zaczął dbać o dłonie... – oświadczył Karol i napełnił mi szklanekę.

Wielkimi zaiste talentami został obdarowany przez los dzielny naród szkocki. Pomyślcie tylko, że wystarczy jeden łyk, by poczuć zapach wrzosowisk, nad którymi ściele się dym pomieszany z mleczną mgłą, smak nieuchwytny, domyślny słodczy wody z najczystszego źródła, kojąca łągodność ciepła, które pozwala spojrzeć na świat z oddalenia i nawet bez żalu.

– Zima przyszła wtedy wcześniej niż zwykle... – zacząłem.

– W połowie października... – mruknął Karol.

– Tak, w połowie października 1944 roku. Fala mrozu ścięła jezioro w ciągu jednej nocy. Tak grubej tafli nie pamiętali najstarsi mieszkańcy wsi. Piły do cięcia przerębli okazały się za krótkie, trotyl, owszem, skuteczny, ale tylko na parę godzin, bo mróz nadal trzymał. Od Bożego Narodzenia do połowy stycznia nad wsią stały ciężkie, brzuchate chmury, ale śniegu spadło niewiele, tyle żeby pokrył zielonkawą płytę jeziora. 15 stycznia mieszkańców wsi zbudziło słońce na bezchmurnym niebie i głuchy pomruk dochodzący zza horyzontu. Rosjanie nadciągali od wschodu i południa, nikt jednak nie sądził, że pójdzie to tak szybko, toteż 19 stycznia leśniczy Artur Słazynsky ruszył do Dąbrowy pod Myszyńcem, gdzie przy piwie dowiedział się od swego polskiego konfidenta, że banda Krysiaków zamierza wybrać się nazajutrz na kłusowanie po drugiej stronie jeziora, i zasadził się na nich, ale po godzinie zrezygnował, słysząc hałas dochodzący od strony Johannsburga. Bez pośpiechu zniszczył parę wnyków, obiecując Krysiakom dotkliwą pomstę, nakopanie do dupy i tym podobne, i ruszył w stronę drogi, na której, ku swemu zdziwieniu, zobaczył tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci uciekających na północ, w stronę Lotzen. Jeśli idzie o istotę wydarzeń, to zarówno

historycy radzieccy, jak i historycy niemieccy zgodnie twierdzą, że z chwilą wkroczenia do Prus Wschodnich żołnierze dowodzonego przez Konstantego Rokossowskiego 2. Frontu Białoruskiego dopuścili się licznych zabójstw, gwałtów i rabunków na ludności cywilnej. Nieszczególnie mnie to oburza, zwłaszcza gdy pomyślę o niemieckim sposobie traktowania ludności cywilnej na Wschodzie, ale nie o tym chciałem... Spór dotyczy zagadnień natury terminologicznej, gdy bowiem historyk niemiecki pisze o krwiożerczej hordzie sowieckich barbarzyńców, w tym także, a nawet przede wszystkim, skośnookich (z czego by wynikało, że dla Niemki bycie zgwałconą przez pluton lejtnanta Rachima Sułtanbekowa jest czymś znacznie bardziej upokarzającym i bolesnym niż dla Rosjanki bycie zgwałconą przez pluton leutnanty Wolfganga Amadeusa Schmiedtke), to historyk sowiecki zwraca uwagę, że na wieść o pojedynczych przypadkach niewłaściwego postępowania wobec ludności cywilnej i zdobytego mienia, Rada Wojenna 2. Frontu Białoruskiego podjęła radykalne środki w celu podniesienia dyscypliny w podległych jej wojskach. Idąc na skróty do domu i myśląc o czekającym go obiedzie, leśniczy Słazynski zawędrował na wysoką skarpcę, z której widać było wieś na przeciwnym brzegu jeziora, dymy unoszące się z kominów, małe figurki dzieci ślizgających się przy rybacówce oraz, znacznie bliżej, białe kombinezony maskujące dwóch radzieckich zwiadowców. Ich śladem trafił na miejsce postoju kompanii czołgów lekkich. Zawrócił chyżym krokiem do wsi, by podzielić się tą doniosłą wiadomością z kierownikiem szkoły (a zarazem dowódcą wiejskiego oddziału Volkssturmu), ten zaś kazał parobkowi Kowalikowi ze Zgonu lecieć w te pędy po pastora, nadleśniczego, właściciela knajpy i tamburmajora Vasiltschikoffa z zaproszeniem na naradę przy kieliszku jałowcówki. I w końcu wyszło na to, że w południe 19 stycznia 1945 roku kolumna złożona z wszystkich mieszkańców wsi pomaszzerowała przez zamrznięte jezioro na powitanie radzieckich czołgów.

Według relacji parobka Kowalika, który ów pochód obserwował z ukrycia, na czele szło dwóch gajowych z pamiętającym czasy kajzera czerwonym transparentem, na którym złocił się napis „Socjalizm to Przyszłość Ludzkości!”, za nimi pastor z żoną, nadleśniczy i kierownik szkoły, potem Vasiltschikoff w wyciągniętym z szafy mundurze armii rosyjskiej z insygniami 2. Dywizji, za nim orkiestra, grająca na przemian Na sopkach Mandżurii, Der Arbeitsmann, Międzynarodówkę i znów Na sopkach Mandżurii, oraz gospodarze, ich żony i ich dzieci, panny, wdowy, wdowcy-emeryci, cała wieś, jakby na złość nazistom w styczniu postanowili świętować 1 Maja. Marsz nadziei. Kiedy kolumna doszła do środka jeziora, zza krzewów wypełzły czołgi i nabierając szybkości, skierowały się po lodowej tafli ku witającym. W luku pojazdu dowódcy, pod łopoczącym czerwonym sztandarem stał lejtnant gwardii I.I. Karpow.

– Skąd wiesz? – przerwał mi Doktor.

– Daj mu opowiadać... – powiedział Karol.

– Przepraszam, ale mam prawo... – uparł się Doktor. – Umówiliśmy się, że wszystko ma być prawdziwe...

– Taki zostawili napis na ścianie kościoła... Zdieś byli tankisty gwardii lejtnanta I. I. Karpowa... Wiem od Krysiaka, wiem od Kowalika. Nie było powodu, żeby im nie ufać... Karpow miał nie więcej niż dwadzieścia lat i Order Czerwonej Gwiazdy za bohaterstwo na polu walki. Dwa razy tracił czołg, cudem ratując się z płomieni. Głębokie oparzeliny głowy, klatki piersiowej i podbrzusza. Myśl o samobójstwie. W szpitalu podsuwają mu lusterko. Obrzydzenie na widok własnej twarzy. A przede wszystkim zapiekła, bezbrzeżna nienawiść do tego, co się z nim dzieje... Do odoru spalonego ciała i do odoru zdobycznych perfum, chętnie pijanych przez żołnierzy. Inteligenckie dziecko. Uzone. Delikatne. Pół roku wcześniej, pod Wilnem, chciał zastrzelić chłopkę, która odcinała palce zabitym niemieckim żołnierzom, aby ściągnąć z nich obrączki. Była młoda i ładna. Błągała o litość. Schował pistolet. Poszli za stóg siana. Przyciągnęła go do siebie. Poczul, że jej dłonie śmierdzą trupem.

– To zmyśliłeś – przerwał mi Doktor.

– Zmyśliłem i nie zmyśliłem. O odrąbywaniu palców opowiedział mi ktoś inny. Nie pod Wilnem, ale pod Lublinem. Po bitwie cała wieś poszła z dobrze naostrzonymi łopatami po obrączki i

złote zęby. Żyli z tego w dostatku przez parę lat. A wracając do naszego lejtienanta gwardii, to założmy, że w wolnych chwilach czytywał Wojnę i pokój.

– Nie – ożywił się Doktor. – Protestuję. Nie chcę literatury. Nie chcę epickiego tchnienia. Nie chcę Nataszy, która z wdzięcznego podlotka przeobraża się w tłustą babę z pretensjami. To mnie napawa smutkiem.

– A jednak założmy – powiedziałem. – Idzie o hipotezę roboczą, bez której nie zrozumiesz, dlaczego stało się tak, a nie inaczej...

– Pod warunkiem, że nie powiesz słowa ani o wdzięcznych podlotkach, ani o tłustych babach z pretensjami – wtrącił Karol, obracając w dłoni pustą szklanę. – Tołstoj twierdził, że Natasza z wdzięcznego podlotka przeobraziła się w silną i płodną samicę, a przecież opowieść nie powinna wprawiać słuchacza w stan melancholii. Może być wesoła. Może być wzniosła lub porażać grozą, proszę bardzo, ale przygnębienie jest ze wszech miar niestosowne, co zresztą prowadzi mnie do wniosku...

– Mamy jeszcze w zapasie dwie trójgraniaste butelki z Craiggellachie, dwudziestopięcioletnie, z ciemnozielonymi nalepkami zdobionymi złotym jelenim porożem... Pijcie, chłopaki, śmiało. Do ryb podam żubrówkę – oświadczył Doktor.

– No to zdrowie... – stęknął Karol i pokrzepieni dobrym słowem Doktora wypiliśmy po łyku.

Zadrzałem w oczekiwaniu na falę ciepła.

– Mówisz o Wojnie i pokoju... – przypomniał mi Doktor.

– Czy pamiętacie scenę, w której Tołstoj opisuje noc poprzedzającą bitwę pod Austerlitz? W kwaterze Kutuzowa odbywa się rada wojenna, w czasie której generał Weihrother przedstawia dyspozycje ataku na pozycje armii francuskiej. Ponad godzinę wylicza kierunki posuwania się pierwszej kolumny, drugiej kolumny, trzeciej kolumny, die erste Kolonne marschieret, die zweite Kolonne marschieret, die dritte Kolonne marschieret i tak dalej, co skłania Tołstoja do szeregu złośliwości na temat niemieckiego nudziarstwa, niemieckiej upierdliwej pedanterii, niemieckiego zarozumiałstwa, niemieckiego braku wdzięku, a przede wszystkim niemieckiego przeświadczenia, że możliwa jest nauka zwana strategią. Powiada więc Tołstoj, że jakiegokolwiek teoretyzowanie na temat wojny jest pozbawione sensu, gdyż ta jest żywiołem, który nie poddaje się analizie. Dla ludzkiego rozumu niedostępny jest całokształt przyczyn zjawisk. A więc stworzone przez ludzi prawa wojny są urojeniem. Dowodem głupiej i głęboko niemoralnej pychy. Mają bowiem na celu wyjaśnienie zjawiska niewyjaśnialnego, irracjonalnego i na dodatek zbrodniczego. A jeśli tak właśnie jest, to musimy dojść do wniosku, że całkowicie bezsensowne jest też mówienie o prawie obowiązującym w czasie wojny. Strateg wymyśla sobie teorie i reguły eleganckiego fechtunku, tak jakby istniały jakieś zasady zabójstwa ludzi. Tymczasem, powiada Tołstoj, normalny człowiek i prawy chrześcijanin słusznie pluje na te wymyślone zasady, słusznie bierze pierwszy lepszy dębczak i słusznie wali nim dopóty, dopóki w jego duszy uczucie obrazy i zemsty nie ustąpi pogardzie oraz litości. To znaczy dopóki obity nieprzyjaciel nie przestanie dawać znaków życia. Chce się poddać? Mowy nie ma! Moja tkliwa i moralna dusza na to się nie zgadza! Żadnych reguł, żadnych zasad! Bo przecież formułowanie zasad dotyczących masowego mordowania ludzi jest zajęciem zasadniczo nieprzyzwoitym. Dusza tak mówi. Dusza i serce. A skrwawiony dębczak potwierdza. Dębczak, serce i miłująca dusza. Z tego zaś wynika, że zasadniczo przyzwoity jest brak zasad. Maksymalizm etyczny. Zaczynam potępieniem okrucieństw wojny, kończę zgodą na zabijanie jeńców, przez cały czas odczuwając zadowolenie z powodu własnej doskonałości. Miłujcie nieprzyjaciół wasze!

– A jak się to ma do lejtienanta gwardii I.I. Karpowa? – zachichotał Doktor. – Coś tu kręcisz, kolego.

– Wcale nie kręcę. Kilka dni przedtem jego czołgi stanęły w małej osadzie na północny zachód od Łomży. Karpow wszedł do chaty, na której strychu ukryła się rodzina gospodarzy. Pięćdziesięcioletni mężczyzna bez nogi i dwie trzęsące się ze strachu, brzydkie kobiety, żona i szesnastoletnia córka. Karpow zażądał wrzątku. Mieli kawę zbożową i cukier. Otworzył dwie puszkę tuszonki.

Jedną dla siebie. Drugą dla gospodarzy. Podziękowali i zjedli. Mówił tonem łagodnym. Pytał, jak im się żyje. Uśmiechał się nawet, dając do zrozumienia, że nic im nie grozi z jego strony. Zza okna dobiegł ich smutny zaśpiew harmonii. O błękitnej chusteczce. O miłości, pożegnaniu i tęsknocie. Karpow powiedział Gute Nacht. Gute Nacht, herr Leutenant, odpowiedzieli grzecznie Niemcy. Zwalił się na łóżko i zasnął, tonąc w miękkich pierzynach. Co za rozkosz po czterech dobach spędzonych w czołgu! Obudził go przenikliwy pisk. Podszedł do okna. Niebo bez chmur. Na rozświetlonym słońcem podwórku zgromadzeni w krąg czołgiści przyglądali się z radosnym zaciekawieniem kształtowi drgającemu na ziemi. Dalej leżały zwłoki beznogiego mężczyzny i jego żony. Karpow sięgnął po pistolet i wybiegł z chałupy. Roztrąciwszy swoich czołgistów, wpadł na dopinającego spodnie sierżanta Wierieszczagina, który przed chwilą uniósł się z czegoś, co wczoraj było przestraszoną, brzydką szesnastoletnią dziewczyną, a teraz już tylko piskliwie proszącą o szybką śmierć bryłą skrwawionego i pokrytego spermą mięsa... No więc patrząc przez lornetkę na pochód maszerujący przez zamarznąta taflę jeziora, na dwóch gajowych niosących czerwony transparent ze złotym napisem „Socjalizm to Przyszłość Ludzkości!”, na pastora z żoną, nadleśniczego, kierownika szkoły, Vasiltschikoffa w wyciągniętym z szafy mundurze armii carskiej z insygniami 2. Dywizji, orkiestrę grającą na przemian Na sopkach Mandżurii, Der Arbeitsmann, Międzynarodówkę i znów Na sopkach Mandżurii, a trąby lśniły w słońcu, lejtenant gwardii I.I. Karpow poczuł litość tak ogromną i tak ogromne a pełne obrzydzenia współczucie, że zawstydził się sam siebie i nie bacząc na ryzyko związane z szarżą po lodzie, kazał swoim czołgistom rozwinąć szyk i rozjechać tych ludzi, rozgnieść, żeby została tylko miazga lepiąca się do gaśnic. Wieś stała w ogniu od pocisku zapalającego. Potem na skrwawionym jeziorze pojawiły się wilki. Zerwały długo, bo przecież niełatwo zjeść aż tyle za jednym razem, ptactwo im trochę pomogło, jeśli zaś idzie o instrumenty muzyczne i transparent, to utonęły na wiosnę. I nic z tego nie zostało, nic, jeśli nie liczyć zionącego trupim odorem betonowego lochu na brzegu jeziora i nadpalonej kroniki wsi, nic, ani alei okolonej jaworami, ani grzebień, ani noża i spinki do włosów lub strzępu sukni, nic... – zakończyłem.

– A ja? – westchnął Karol.

– Co ty? – zapytałem.

– Zapomniałeś o mnie – powiedział Karol i zaśmiał się.

Ja też.

O przyczynach śmiechu można bez końca, ale tym niech zajmują się filozofowie zdziwieni faktem, że na padole nieszczęść, tragicznych uwikłań i ogólnego vanitas vanitatum śmiech w ogóle jest możliwy. Śmiech to wyrażanie wesołości, objawiające się grymasem mięśni twarzy i wydawaniem swoistego głosu, wesołość zaś jest instynktownym sposobem oswojenia głupawej grozy świata przez jej sprawców, twórców i kontynuatorów, świadków, krytyków i chwalców. Karol śmiał się, bo o nim zapomniałem, co uznał za akt pozbawiony sensu, a więc rozśmieszający, ja zaś śmiałem się, patrząc na granatowe niebo, po którym pędziła spadająca gwiazda, i myśląc, że nic bardziej pogodnego niż pewność, że wszystko kiedyś się kończy, nawet gwiazdom nie jest darowane, co samo w sobie wcale śmieszne nie było, jednakże gdy się uwzględni szersze okoliczności, to owszem, tak więc choć z różnych przyczyn, to przecież mięśnie twarzy Karola i mojej wykrzywiły się grymasem, a z naszych krtani wydobyły się swoiste i podobne odgłosy, sprawiające, że właśnie przez śmiech poczuliśmy się członkami wspólnoty, choć wiedzieliśmy, że to poczucie, z pewnością przyjemne, budujące nastrój otuchy i zadowolenia, bierze się z przyczyn dla mnie i dla niego odmiennych i nie skłaniających do czegokolwiek innego prócz smutku, który jest instynktownym sposobem oswojenia głupawej grozy świata przez jej sprawców, twórców i kontynuatorów, świadków, krytyków i chwalców; a jednak zaśmialiśmy się, a Doktor nam zawtórował, z własnych powodów:

– Podstawcie, panowie, szklanki! Wypijmy! Ona do mnie wróci! Mam pewność! Tak! Mam pewność! Pewnego dnia, już wkrótce, podejdzie do mnie, odgarniając ciemnorudy kosmyk z czoła, przytuli się i poczuje ciepło jej ciała, drżenie piersi, łagodną krągłość brzucha, cichy oddech, szept obiecujący wytchnienie...

Tak mówił Doktor i śmiał się, ale oczy za grubymi szklami wskazywały, że wcale mu nie do śmiechu. Zadana mu bowiem została miłość, zatrudnienie ponad ludzkie siły, co uczciliśmy chwilą milczenia, po której Karol zaczął chrząkać:

– No tak, bardzo... owszem... ale z drugiej strony... czołgi... kawałki ciał wkręcone między gąsienice, zmiżdżone trąby i bębny... przejmujące, na Boga, bardzo przejmujące. Groźne i na swój sposób wzniosłe. I twierdzisz, że później wszystko zarosło?

– Owszem – odpowiedziałem. – Wszystko.

– I miały pancerze jako pancerze żelazne, a szum skrzydeł ich jako grzmot wozów, gdy wiele koni bieży do bitwy. Czytałem – oświadczył Karol. – Jan z Patmos zwany świętym, samolub wielce gadatliwy po zażyciu grzybków halucynogennych. Skłonność do rozstrzygnięć apokaliptycznych na własną chwałę. Ryzykowne. Ja bym się tak daleko nie posuwał.

– Taka jest prawda. Oczy nie kłamią.

– Nie kłamią? – skrzywił się Karol. – A gdzie tu oczy? I gdzie szukać prawdy? W milczeniu mchu? W szumie liści? W falach jeziora? Nie twierdę, że jestem zawiedziony twoją opowieścią. Wcale nie. Jestem przejęty. A ty, doktoru?

– To było piękne! – wykrzyknął Doktor. – Też jestem przejęty. Bogactwo obrazowania. Człowiek i maszyna. Krew i żelazo. Niemy krzyk natury nad pobojuwiskiem... Wzruszenie. Patos.

– Taka jest prawda – powtórzyłem.

Karol przeciągnął się i zastygł z rękoma uniesionymi nad głową.

– No właśnie, jaka jest prawda?

– Taka.

– A jeśli jest inna?

– Przecież nie kłamię.

– Bez obrazy. Jeśli z uporem powtarzasz, że wszystko zostało zniszczone, że nie znajdziesz ani grzebienia, ani noża i spinki do włosów lub strzępu sukni, stado wilków zrobiło swoje i koniec, to przyjmuję, że lubisz ten refren. Dobrze ci z nim. Masz z niego jakąś satysfakcję... Ale jaką? Może w strachu... Bo nie zaprzeczysz, że twoja choroba... Postawmy sprawę jasno!

– O to mi właśnie chodzi! – oświadczyłem. – Postawmy sprawę jasno!

– Jesteś chory.

– Jestem chory, ale to nie ma żadnego związku z moją opowieścią.

– A ja uważam, że ma. Poczucie krzywdy... tak, krzywdy. Gorycz. Zrozumiałe. Czekać na śmierć i bojąc się jej, chciałbyś cały świat pociągnąć za sobą, na drugą stronę. Szukasz pociechy. Znajdujesz ją w opowieści, którą wieńczy obraz zagłady. Stało się. Dokonało! Wszystkich to czeka, tak czy inaczej. Jesteś zadowolony, na swój sposób. Ale nie możesz tego okazać. Wybuchasz więc oburzeniem. Bo przecież tak nie może być, żeby po człowieku, żeby po ludziach nic nie zostało. To niesprawiedliwe! Jednocześnie wiesz, że każdy z nas znajdzie się w tej sytuacji. Każdego z nas coś rozjedzie, bez wyjątku. Wtedy dochodzisz do wniosku, że niesprawiedliwość powszechna, tak powszechna, że nikt jej nie może stawić oporu, jest w gruncie rzeczy sprawiedliwością. Ponieważ jednak jest jaskrawie niesprawiedliwa, więc uznajesz, że jest sprawiedliwością, ale – wyższego rodzaju. Na czym polega ta wyższość? Na tym, że jest niepojęta. I że ty to wiesz. Jedyny. Dostałeś zaszczytu i łaski olśnienia. Już masz pewność, że została ci dana wiedza ostateczna. A to, że jej treścią jest niemożliwość jakiegokolwiek wiedzy, to drobiazg. I teraz zaczynasz się krygować. Ja biedny, ja nieszczęśliwy, zapomniany, gorszy, któremu nie było dane uroczyste dziedzi-

two, dane było natomiast splątanie losów... I z tej skromności przepelnionej pychą... Krzepienie serc wizją ostatecznej nicości wszystkiego. Wszystkiego, z wyjątkiem narratora, który wie lepiej... A dlaczego wie lepiej? Bo dostał łaski olśnienia! A dlaczego dostał łaski olśnienia? No właśnie, dlaczego? Bo już nic innego mu nie pozostało. Koniec wieńczy dzieło. Co nie znaczy, że bym nie doceniał. Podoba mi się. Literatura. Poezja. Wzlot bardzo estetyczny. Zapłaciłem, to mam.

– Karol, kawał z ciebie świni – odezwał się Doktor. – Tak nie wolno.

– A wolno zmyślać? – wycedził Karol. – Warunki umowy były jasne. Z jednej strony opowieść prawdziwa, bez względu na okoliczności. Z drugiej honorarium płacone prawdziwymi pieniędzmi.

– Przedstawiłem fakty czy nie? – zapytałem.

– No właśnie, pomówmy o faktach.

– Opowiadałem wyłącznie o faktach.

– To gdzie one są?

– Chyba jesteś głuchy. Mówiłem o wsi. Mówiłem o tym, jak zbudowano w niej szkołę, jak i gdzie zainstalowano pierwsze radio, z kim pastor pijał jałowcówkę, w jaki sposób Magda straciła męża i w jaki sposób zyskała kochanka. Mówiłem o orkiestrze grającej Na sopkach Mandżurii. I o jej zmiążdżeniu przez sowieckie czołgi. Mało ci faktów?

– To nie są fakty. To ornamenty, detale służące nadrzędnej prawdzie finału. Że prawdziwe? Pewnie tak. Tyle tylko, że sam finał wzbudza wątpliwości. Błąd wszystkich apokaliptyków! Koncentrują się na opisach morderczych smoków, bestii rogatych, niedźwiadków, koni i zwierząt pełnych oczu z przodu i z tyłu, aby nadać stosowny wymiar przewidywanemu przez nich zwycięstwu Niebios. Pyszną się swoją wyobraźnią, sprawę bliźnich w tym zamięcie cierpiących sprowadzają zaś do statystycznego ogólnika. Krew mnie zalewa, kiedy czytam w Objawieniu świętego Jana, jak się mu łatwo objawiło powyždychanie dwóch trzecich ludzkości i skazanie pozostałej jednej trzeciej na stan, w którym będą chcieli umrzeć, ale śmierć od nich ucieknie. Powtarzam: Będą chcieli umrzeć, ale śmierć od nich ucieknie! A wizjoner na myśl o tym zachwyca się, pomlaskuje z zadowolenia. I krew mnie zalewa, kiedy mi się mówi, w dodatku za moje pieniądze, że cykl się dopełnił i że wszyscy zginęli...

– Wszyscy – powiedziałem. – Cała wieś.

– I co było dalej?

– Nic – wzruszyłem ramionami. – Las rośnie szybko.

– A skąd to wiesz? – krzyknął Karol. – Skąd?

– Od Kowalika i od Krysiaka..

– No to jesteśmy w domu! – zaśmiał się Karol i sięgnął po butelkę.

Zapadła cisza.

3

– Nie, nie można inaczej – ożywił się nagle Karol. – Trzeba od słowa do słowa. Od zdarzenia do zdarzenia. Od skutku do przyczyny. Po kolei. Owszem, dane nam zostało splątanie losów, a przez to obecność, często jednoczesna, w rozmaitych porządkach czasowych i przestrzennych. Ale przecież jest gdzieś początek i jest koniec. Narodziny i śmierć. Dwa punkty, które nie podlegają kaprysom opowieści poszukującej sensu. Kto z nas wie, że się właśnie rodzi? Żyjemy po omacku i jeśli coś nas ratuje od szaleństwa, to tylko wiara, że posiadliśmy umiejętność opisywania samych siebie w sposób możliwie zrozumiały dla innych. Rzecz w tym, że opisowi podlega przeszłość, podczas gdy przyszłość... Żyjemy po omacku, znajdując pocieszające wsparcie w fikcjach czasu dokonanego. Złe rozwiązanie, ale lepszego nie wymyślono. Najgorsze i jedynie dostępne. Skoro wiemy, że czytający Wojnę i pokój lejtenant gwardii I.I. Karpow chciał w porywie uczuć szlachetnych zastrzelić kobietę okradającą trupy, i skoro wiemy, że czytający Wojnę i pokój lejtenant gwardii I.I. Karpow kazał w porywie obrzydzenia do samego siebie zmiążdżyć setkę niewinnych ludzi, to winniśmy też uznać za oczywiste, że wydał rozkaz zniszczenia wsi, a z uwagi na jej gęstą zabudowę,

wystarczył jeden armatni pocisk zapalający. I nic z tego nie zostało, nic, ani alei okolonej jaworami, ani grzebienia, ani noża i spinki do włosów lub strzępu sukni, nic... Lament naszego przyjaciela wydaje się więc zasadny. Fakt.

– Czyli że mówił prawdę – powiedział Doktor.

– Nie. Było inaczej. Pozostawiwszy za sobą skrwawioną taflę jeziora, czołgi wjechały do wsi. Karpow zarządził krótki postój. Żołnierze rozpierzchli się w poszukiwaniu wódki, zegarków, złota i gramofonów. W jednej z chałup znaleźli dziewczynę. Była przeziębiona i dlatego nie wzięła udziału w powitalnym pochodzie. Poużywali sobie chłopcy, a że wpadła w konwulsje, ostatni litościwie przyłożył jej w głowę kolbą pistoletu maszynowego. Straciła przytomność. Kowalik, który to obserwował z ukrycia, nie umiał powiedzieć, ilu ich było. Może pięciu, może siedmiu, a może dziesięciu? Nie pamiętał, jak miała na imię. Hilda, Truda, Margarethe? A nazwisko też jakoś wypadło mu z głowy. Trudno się dziwić. Miał coś innego do roboty, a ponadto są wydarzenia, o których mówi się niechętnie... Bo po odjeździe czołgów pobiegł przez leśne ostępy w stronę Myszyńca... Dwa dni później, w niedzielę, po mszy, pod myszyńskim kościołem zgromadziło się kilkadziesiąt podwód z uzbrojonymi Kowalikami i Krysiakami. Celem ich wyprawy był rozdygotany przerażeniem Johannsburg, ale w drodze powrotnej opici wódką i triumfem odwetu zahaczyli o wieś nad jeziorem. Dużo tam było dobra. Maszyny do szycia, beczki z solonym masłem, radia, stoły, kredensy, emaliowane pojemniki na pieczywo z napisem Grüss Gott, pierzyny, kolekcja kameruńskich znaczków pocztowych w domu pastora, kaski strażackie, dystrybutor piwa z miedzianą rękojęścią, wędzone szynki, dywan w gabinecie kierownika szkoły, kolekcja sztuczerów nadleśniczego, przeterminowane konserwy z zupą żółwiową, skórzany fotel, obraz przedstawiający Lohengrina płynącego łodzią ciągniętą przez łabędzie, że nie wspomnę o rogaciźnie, nierogaciźnie oraz drobiu w postaci kur, gęsi, kaczek i indyków. To, co się dało zabrać – zostało zabrane. W tym także półprzytomna ze strachu i bólu dziewczyna. A pod resztę podłożono ogień, żeby nikt obcy się nie połasił. Dziewięć miesięcy później dziewczyna wydała na świat dziecko płci męskiej i natychmiast umarła. Właśnie to starał się ukryć Krysiak.

– A dziecko? – zapytał Doktor.

– Słusznie! – powiedział z zachwytem Karol. – Bardzo słusznie! Dziecko! Dzieciatko! Luli-luli! A żeby lament naszego przyjaciela nabrał stosownie tragicznej głębi, powinno było skonać w chwili narodzin. Razem z matką. Coś by się wtedy dopełniło. Nabrzmiało znaczeniem. Ale nie...

– Więc co z tym dzieckiem?

– Przecież jestem – zachichotał Karol. – Wypijcie, koledzy, zdrowie uratowanej dzieciny! Jestem żywy wśród żywych. Jestem! Przy zdrowych zmysłach. Zaprzeczysz, doktorku?

– Nie zaprzeczę.

– Jestem! Majętny i na swój sposób zadowolony. Dziecina! Ale też nękanym wątpliwościami, których nikt nie umie rozproszyć... Zwróćcie bowiem uwagę na sposób, w jaki zostałem poczęty. Czynność, która zazwyczaj kojarzona jest z miłością lub przynajmniej z uświęconymi sakramentami i poczciwie nużącym obowiązkiem małżeńskim, w przypadku moich rodziców wiązała się ze śmiertelną wrogością i śmiertelnym strachem. Obie strony uczestniczące w powołaniu mnie do życia życzyły sobie wzajem wszystkiego najgorszego. Nie wydaje mi się, by przez głowę mego ojca, kimkolwiek był, przemknęła myśl o naturalnych następstwach kopulacji. Sądził mnie na zagładę, w pasji niszczenia. Nie sądzę też, by moja matka odczuwała zadowolenie z powodu rosnącego w niej płodu. Na odwrót, byłem dla niej zapewne brzemieniem poniżenia i hańby, im bliższy człowieczeństwa, tym bardziej jej wstrętny, nie dziwię się więc, że wydawszy mnie na świat, spieszenie skonała, nie bez ulgi, jak mniemam. Panowie, przez sposób, w jaki mnie zrobiono, jestem zaprzeczeniem wszelkich zasad i obrazą Niebios. Jestem potworem! Jeśli stosują się do mnie słowa Tomasza z Akwinu, twierdzącego, że dziecko nie należy do rodziców, lecz do samego Boga, to dodam, że jestem potworem, ponieważ moi rodzice byli ludźmi stworzonymi przez Boga na jego obraz i podobieństwo. Coś z tego powinno wynikać. Ale co? Jestem też szyderyczym wyzwaniem dla tworzonych przez tysiące lat gmachu Prawa. Na mnie załamuje się reguła, wedle której creditur

virgini perturbanti iurantique se aliquo cognitam, czyli że wiarę daje się rodzącej dziewczynie, która zezna pod przysięgą, że się z kimś zadawała, a to w celu zapewnienia pokrycia kosztów połogu. Nie ma bowiem pewności, czy zbiorowy gwałt, z którego się biore, można określić mianem zadawania się, a jeśli nawet można, to przecież moja matka nie umiałaby pod przysięgą, z ręką na sercu, wskazać pośród pięciu, siedmiu lub zgoła dziesięciu tego, który ją bezlitośnie zapłodnił. Nie mówiąc już o skalkulowaniu kosztów wydania mnie na świat... Panowie, jestem potworem i jestem sierotą! Jestem sierotą w najgłębszym tego słowa znaczeniu i ze wszystkimi możliwymi konsekwencjami od samego początku, a więc od chwili, w której mój ojciec, nieznanymi żołnierz Armii Czerwonej, sponiewierał moją nieznaną niemiecką matkę. Jestem tedy sierotą i zastanawiam się, czy nie dlatego jestem potworem? I z tego też coś powinno wynikać.

Cóż bowiem znaczą być sierotą?

Nie mówię o sieroctwie wynikającym z porządku rzeczy, a zatem z faktu, że po odchowaniu dzieci rodzice starzeją się i umierają, czyniąc je sierotami. Ten rodzaj sieroctwa trzeba uznać za stan naturalny. Stan, podkreślam, a więc coś, co przychodzi z czasem, w określonych warunkach i w zasadzie nie ma decydującego wpływu na los podstarzałego sieroty, chyba że przynosi mu radość oczekiwanego spadku albo rozpacz braku oczekiwanego spadku. Przedmiotem natomiast moich rozważań jest sieroctwo jako dramatycznie przygnębiające istnienie osobne, jako samotnicza odrębność, jako los. Od chwili gdy Richard Savage, pisząc w 1728 roku o „dziesiątym z rodu przekazującym dalej twarz głupca”, ujawnił doniosłość problemu dziedziczenia po rodzicach i niesprawiedliwości z dziedziczeniem związanej, w literaturze światowej padło wiele krzepiących słów pod adresem sieroty. Najświeższe umysły XVIII i XIX wieku prześcigały się w dowodzeniu, że nieobca jest mu wrażliwość serca, szlachetność uczuć i skłonność do wydajnej pracy, w warunkach zaś szczególnych sierota może nawet dać wyraz większemu umiłowaniu cnót niż osobnik normalny. Zapał nieco podejrzanym! Gorliwość świadcząca o poczuciu moralnej niewygody! Ale czym byłaby literatura, gdyby nie służyła łagodzeniu wyrzutów sumienia, przynajmniej na czas obcowania z fikcją? Czy mam teraz mówić o faktach wziętych nie z powieści, lecz z życia? o sierotach, które przez sam fakt narodzin spychane były na margines, pomiędzy żebraków, dziewczki, rozpustników, trędowatych, inwalidów wszelkiego rodzaju, studentów, zrywających ślubu księży i symulantów udających inwalidów wszelkiego rodzaju? o sierotach skazywanych na poniewierkę i głód, przyuczanych do zbrodni, zmuszanych do prostytucji, osadzanych w więzieniach, zakładach poprawczych i koloniach pracy, a potem oskarżanych o przyrodzoną skłonność do włóczęgostwa, kradzieży, kurestwa i krwawej roboty? A może chcecie posłuchać opowieści o les caimans, francuskich złoczyńcach, którzy chodząc po odpustach i jarmarkach, wypatrywali sierot, porywali je, by dla rozrywki wyłupić im oczy, obciąć nogi lub stopy? Albo o stosowanym wobec sierot włoskich ceremoniale chrztu, który polegał na polewaniu wodą i chłostaniu w czasie pędzenia nieszczęśnych od bram więzienia do bram miasta? Albo o sławnym chirurgu monachijskim, a jego nazwisko znajdziecie w każdym słowniku medycznym, który otwierał zniewolonym niebożętom brzuchy, by udowodnić istnienie sierocego gruczołu – nie występującego w organizmach dzieci wychowywanych przez rodziców?

Dobrze się stało, że nasz lamentujący przyjaciel przed chwilą wspomniął Olę i Alę, siostry bliźniaczki, podobne do siebie jak dwie krople wody i wykorzystujące to podobieństwo z cynizmem pełnym dziewczęco-perwersyjnego uroku. Dzięki nim bowiem dana mi została okazja do uchwycenia problemu sieroctwa w jego istocie. Miały identyczne: wzrost, wagę i pozostałe wymiary, identycznie popielate włosy, identyczne jasnoniebieskie oczy z ciemnymi obwódkami, identyczne nosy, usta, zęby, małe uszy, niewielkie brązowe znamiona na lewych piersiach, identyczne pępki, pośladki, zgrubienia dużych palców u prawej stopy, spódniczki, bluzki, majtki, biustonosze, torebki, szminki, puderniczki, złote krzyżyki na łańcuszkach i tego samego dnia doświadczały miesięcznej przypadłości, obie były niewiastami tarzającymi się w grzechu niczym świnie w błocie, wszakże od pierwszej chwili czułem, że Ali, choć tak podobnej zewnątrz do siostry bliźniaczki, nie jest obca szlachetność uczuć i głębia współczucia, toteż będzie mi świadczyła usługi genitalne gra-

tis, profesjonalnie i higienicznie, podczas gdy Ola jest ladaczną, przewrotnie starającą się wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia z powodu grzechu, w którym się wraz ze mną tarzała. O tej trzeciej, młodszej i pozbawionej litości, nie chcę mówić...

Jakoż pewnej niedzieli zaciągnęły mnie siostrzyczki – bynajmniej nie sieroty – do kościoła, nalegając, bym dla wzbogacenia duchowości wsłuchał się w słowa młodego a modnego kaznodziei. Nie pamiętam już, czego rzecz dokładnie dotyczyła, mogę jednak dać słowo, że duchowny, zarumieniony pod uwodzicielskimi spojrzeciami dwóch chichoczących łajdaczek, Oli w szczególności, chciał zachęcić wiernych do opowiedzenia się po stronie dobra, a przeciw złu, przywołując pouczające przykłady z życia rodzinnego. „Moi drodzy, moi kochani... I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw od złego... Każdy z nas pierwszy raz usłyszał w dzieciństwie te słowa od swoich rodziców, od mamusi i tatusia...” – zaczął śpiewnie, ze wzruszeniem i nagle przerwał, uświadomiwszy sobie, że użyte przezeń słowo „każdy” nie obejmuje być może wszystkich wiernych, a powinno, więc jął gorączkowo szukać rozwiązania, ale bez sukcesu: „...lub jeśli ktoś miał tylko mamusię, a tatusia nie, albo ciocię, babcię, wujka lub dziadka, jednym słowem kogoś... no, kogoś bliskiego, opiekuna jakiegoś na przykład...”. Łajdaczki, Ola w szczególności, chichotały coraz bardziej lubieżnie, ksiądz coraz bardziej się rumienił, a ja... Tak, właśnie wtedy pojąłem, że jako sierota nie mieszcę się w zakresie pojęciowym słowa „każdy”. Już przez samo domniemanie, że zrodzony z nieznanymi rodzicami w niejasnej sytuacji, nieochrzczony, jestem płodem, który nie uwolnił się od skazy grzechu pierworodnego... W czasie rodzinnych kłótni Ala poniżała siostrę bliźniaczkę i wprawiała w smutek twierdzeniem, że podobieństwo je łączące jest przypadkowe, Ola bowiem jest z nią z sierocińca. Ola zaś chętnie się swej siostrze bliźniaczce rewanżowała tym samym... Nałóżcie na to przeświadczenia licznych teologów chrześcijańskich, że sierota, a zatem osobnik młodociany pozbawiony stałej opieki pedagogicznej, jest dzieckiem w stanie naturalnego zepsucia, stanie najpodlejszym i najwstrętniejszym, jak to ujmował Berulle, stanie zbrodniczym, jak chciał Bossuet, w stanie największej nędzy i zezwierzęcenia, jak to głosili święty Franciszek Salezy i jego radziecki uczeń Anton Makarenko... Z drugiej jednak strony moje sieroctwo wzbudzało wzruszenie wielu osób. Myślę, że czuły się wtedy w dwójnasób lepiej. W świecie zdanym na bezkierunkowy chaos, pełnym niezrozumiałych szeptów, śpiewów i krzyków, żeby od wieczystej niemożności rozumienia nie zwariować, człowiek musi mieć jakiś punkt stały, jakieś oparcie. Na przykład pewność, że jest ktoś od niego gorszy. Sierota się do tego świetnie nadaje – porównywalny z punktu widzenia anatomii, fizjologii i psychologii, prawie taki sam, a jednak inny. Inny i właśnie gorszy, przez nabrzmiałą tajemnicą okoliczności poczęcia i narodzin. Pewność istnienia „gorszego” czyni nas lepszymi i pozwala na chwilę współczucia wobec tego „gorszego”, współczucie zaś czyni nas lepszymi w dwójnasób. Pod warunkiem wszelako, że nie pozwolimy sierocie wyzwolić się z sieroctwa. Bez osieroconego na wieki sieroty nie da rady. Musi być zdefiniowany, naznaczony, wyróżniony. Inaczej zginie wszelka moralność, wszelka solidarność, wszelkie uduchowanie. Chyba że stworzymy świat, w którym wszyscy będą sierotami, ale na to trzeba by rewolucji powszechnej... Nawiasem mówiąc, uwiodły siostrzyczki księdza. Najpierw zabankietowały, a potem uwiodły nieszczęsne. Przychodził potem do nich co czwartek na brydża. Był mocny w licytacji, ale brakowało mu intuicji impasu. Patrzył na mnie z lękiem i niechęcią. Podejrzewał o leniwy agnostycyzm, błędnie, jakże błędnie, bo przecież chciałem, pragnąłem żarliwie, całą mocą pograć się w noc ducha, by ulec łasce poznania pełnego. Nękały mnie jednak wątpliwości co do metody... Owszem, zgodziłbym się ze św. Janem od Krzyża, że duch trwa przy Bogu jedynie za pomocą uwagi i bez zastanawiania się nad czymkolwiek, ale po co w takim razie Bóg obdarował mnie rozumem, który wciąż każe mi się zastanawiać nad czymkolwiek?

Jestem sierotą i przy zdrowych zmysłach. Rzucony w świat... Mówię to bez goryczy... Rzucony zatem w świat niczym Kaspar Hauser... Czy zadaliście sobie kiedykolwiek pytanie o przyczyny, dla których ten niedorozwinięty umysłowo młodzieniec zajmuje poczesne miejsce w dziejach europejskiej kultury? Czy tylko dlatego, że stał się, wedle twierdzeń Paula Verlaine'a, Sophie Hoeh-

stetter, Jacoba Wassermanna i Wenera Herzoga, probierzem człowieczeństwa, a przez to dowodem społecznej ociążałości serc?

Roztropność każe zacząć od faktów, ale czy mamy o nich jako tako uzasadnione pojęcie? Umieszczając Hausera między Haurym Emilem W., urodzonym 2 maja 1924 roku i zmarłym 5 grudnia 1992 roku amerykańskim archeologiem, a Haushoferem Karlem, urodzonym 27 sierpnia 1869 roku i zmarłym 13 marca 1946 roku niemieckim generałem oraz geografem politycznym, encyklopedie upewniają nas w całkowitej przejrzystości stanu faktycznego. Kaspar Hauser urodził się 30 kwietnia 1812 roku. Czyżby? A niby skąd to wiadomo? Czy nie byłoby bliższe prawdy stwierdzenie, że 26 maja 1828 roku w Monachium przed rotmistrzem policyjnym Wessenigiem stanął nie wiadomo jak i nie wiadomo skąd młodzieniec niewiadomego wieku i niewiadomego pochodzenia, lękający się światła słonecznego, zdziczały i pomieszany do tego stopnia, że nie chciał jeść nic prócz chleba i wody? Rotmistrz przeszukał włóczęgę i znalazł przy nim list. Nieznany jego autor twierdził, że 7 października 1812 dostarczono mu nieznaną niemowlę, w którego powijakach znajdował się list nieznanego autora stwierdzający, że podrzutek Kaspar Hauser urodził się 30 kwietnia 1812 roku ze związku nieznaney niewiasty i nieznanego oficera kawalerii. Nieznany autor tego listu żądał od znalazcy, czyli od nieznanego autora następnego listu, by dziecko trzymane w ukryciu i ścisłym odosobnieniu opanowało czytanie, pisanie oraz podstawy wiary chrześcijańskiej. Czy mamy powód, by zaufać treści obu tych listów? Nie mamy! Dziecko mogło się urodzić zupełnie innego dnia i z zupełnie innych, równie nieznanych rodziców, mogło się też zupełnie inaczej nazywać i doprawdy nikt nie umiałby temu zaprzeczyć. Dlaczego więc encyklopedie twierdzą, że urodził się 30 kwietnia? Bo niejasność statusu Hausera wzbudza niepokój i zagraża ładowi, którego encyklopedia jest najwyższym wyrazem. Oświecona ludzkość wszystko wie i rozumie, to zaś, co rozumieniu się opiera, jest rozumienia niegodne, powinno zatem być przynajmniej zapisane w sposób zrozumiały jako coś opierającego się rozumieniu. Zaświadczają to zresztą dalsze dzieje sieroty Kaspara, którego przystosowaniem do zasad współżycia społecznego zajmował się zrazu profos aresztu miejskiego, potem zaś po kolei pedagog Georg Daumer, arystokrata Czwarty Earl of Stanhope oraz sędzia Anselm von Feuerbach (ojciec Ludwiga), czyniąc go kancelistą w sądzie apelacyjnym miasteczka Ansbach, z umiarkowanym zresztą powodzeniem, bo jakiś nieznany osobnik w nieznanych okolicznościach pchnął znajcę nieznanym ostrym narzędziem i zabił, ale inni uważali, że Hauser sam się poranił śmiertelnie nieznanym ostrym narzędziem w nieznanych okolicznościach, czyli że znów brakuje nam wiedzy pewnej. Aby rozwiązać zagadkę, traktowano jego zwłoki skalpelem, nożyczkami, piłą i trepanem. Stwierdzono plamy na powiększonej wątrobie. Prowadzi mnie to do wniosku, że sierota Hauser zgodził się na swój los, ofiarując światu milczenie i wątrobę. Ja nie będę milczał, jestem bowiem pewien, że skalpel, nożyczki i piła nie wystarczą, aby zrozumieć. I wciąż mam nadzieję, że w zasięgu mych sierocych, samotniczych, niewykwilanych, a więc i bezinteresownych możliwości istnieje metoda, dzięki której odsłonię prawdę świata w jego ruchu i odpocznieniu, w kanciastości rzeczy i nieodwracalnej pewności znaczeń, bez względu na stan mojej wątroby, której należy się mały łyżeczek, moi przyjaciele.

4

Przyszedłem tedy na świat 28 sierpnia 1945 roku w kącie Krysiakowej obory, pod znakiem wstydlivej Panny, opiekunki ezoterycznych poetów i rozpustnych buchalterów, w chwili zaś, gdy matka wydawała z ulgą ostatnie tchnienie, z mego gardła wydobył się ryk triumfu, czemu prócz krów, świń i owiec świadkowali Krysiak Michał Jan Maria, odziany w kołpak z czaplím piórem, żupan ze złotogłowiu zapinany na rubinowe guzy, buty z safianu i przy szabli, oraz jego żona Elżbieta Jadwiga Kinga z domu Kowalik, z wiankiem z kwiatów polnych na głowie oplecionej koroną płowych warkoczy i w zwiewnej sukni z białego jedwabiu, tak się bowiem zazwyczaj nosili w obejściu, przywdziewając szare wutowane drelichy, czarne berety i oblepione gnojówką dziurawe gumiały tylko na czas wizyt w punkcie obowiązkowych dostaw płodów rolnych. Elżbieta obmyła

mnie z krwi oraz wód płodowych i tuląc do twardych, dorodnych piersi zapiszczała z zachwytu, klnący zaś z obrzydzenia i bliski wymiotów Krysiak zakopał zwłoki mojej rodzicielki za płotem przy gumnie.

Niech was nie mylą łatwe pozory! Wy, którzy znacie Krysiaków jako zawszonych starców o krogulczych paznokciach, brudnych szyjach, śmierdzących oddechach i tępym wyrazie twarzy, wy, którzy, skądinąd słusznie, odczuwając na ich widok mdłości, sądzicie – też nie bez racji – że skłonność do wymiotów jest odpowiedzią bytów subtelnych na obrzydlistwo świata, tak jak zachwyty jest odpowiedzią bytów subtelnych na piękno stworzenia, wiedźcie, że jestestwem mego przybranego ojca rządził wstręt spełniający się w sytuacjach wymiotnych, moja zaś przybrana matka przez całe swe życie wydawała z siebie okrzyki zachwyty, co jest jednym, acz nie jedynym dowodem ich przynależności do sfery bytów nie tylko subtelnych, ale i wywyższonych.

Co do innych dowodów, to wspomnę, że Krysiakowie i Kowalikowie wywodzą się z Kurpiów, którzy w czasach najazdu Karola X Gustawa na Polskę nekali zaplecze heretyckiego Szweda i łupili jego tabory, za co wdzięczny król Jan II Kazimierz wyróżnił ich nobilitacją i nazwał obrońcami wiary chrześcijańskiej, jakkolwiek Jezus, któremu składali hołdy, tym różnił się od tradycyjnego Jezusa na krzyżu, że wisiał na bujnym, rozłożystym dębie, jadł żołądź, miał cztery twarze zwrócone w cztery strony świata i nazywany był przez Krysiaków Świętowitem, a przez sąsiadujących z nimi Kowalików – Swantewitem. Dla jasności dodam, że wielka była nienawiść dzieląca i łącząca te starodawne rody, a to z trzech przyczyn. Po pierwsze, byli sąsiadami przez rzekę, wiadomo zaś, że nieufność, wrogość i marzenie o krwawej pomście są cechami immanentnymi wszelkiego sąsiedztwa, nawet, a może przede wszystkim sąsiedztwa przez rzekę. Po wtóre, ogłaszany między nimi nie rzadziej niż raz w tygodniu, co srode pod wieczór, pokój Boży nieodmiennie przeradzał się, w srode późniejszym wieczorem, w okrutne starcia zbrojne, a to z powodu dysputy, na czyich mianowicie warunkach *treuga Dei* ma być spełniany: Swantewita, jak chcieli Kowalikowie, czy też Świętowita, którego czcili Krysiakowie? Wreszcie, i po trzecie, Kowalikowie nobilitowani przez króla Jana Kazimierza zaciekle zazdrościli Krysiakom ich nobilitacji przez króla Jana Kazimierza, z zacieklą wzajemnością, rzecz jasna. Nic tedy dziwnego, że dzieje stosunków między rodami pełne są brudnych plotek, piekących szyderstw, bulwersujących oskarżeń, przemyślnych kradzieży, zuchwałych uprowadzeń kobiet, rogacizny i trzody chlewnej, podpaleń, gwałtów, zabójstw i najazdów, a w spisany przez etnografów tekście tak zwanej profecji myszynieckiej znajdujemy, że aby między Krysiakiem i Kowalikiem zapanowała miłość i zgoda, muszą najpierw solidarnie przyczynić się do cierpień niewinnego dziecka, sieroty bez ojca i matki, i z tak powstałego współnictwa grzechu oraz wyrzutów sumienia, po pięćdziesięciu latach pokuty, otworzy się przed nimi droga ku nagrodzie, nie wyprzedzajmy jednak wydarzeń, bo rzecz winna iść po kolei.

Przynależność do stanu szlacheckiego sprawiła, że wyganiając krowy na wypas, każdy Krysiak przypasywał szablę, świadom, że to samo czyni każdy Kowalik, do zbioru dzięcieliny i świerzopu kobiety z obu rodów zakładały koronkowe rękawiczki sprowadzane z zagranicy, dzieci zaś, i to obojga płci, zaczęto przymuszać do nauki, a to z myślą o wykazaniu ociężałości umysłowej sąsiadów nobilitowanych przez króla Jana Kazimierza, który – jak powszechnie wiadomo – na widok książki popadał w paniczny lęk, a także z myślą o wykazaniu ociężałości umysłowej króla Jana Kazimierza, który nobilitował sąsiadów. Nie wiadomo, kto był pierwszy w tym pędzie ku oświeceniu. Może Urban Kalikst Krysiak, który zaczaiwszy się na bogatego dostawcę koronek dla Kowalikowych niewiast, Ben Isaaka, poderznął Żydowi gardło i za zrabowane pieniądze sprowadził z Aix-en-Provence uczonego *l'abbé Pierre'a*? A może Pius Grzegorz Kowalik, który zaczaiwszy się na bogatego dostawcę koronek dla Krysiakowych niewiast, Ben Jehudę, poderznął Żydowi gardło i za zrabowane pieniądze sprowadził z Aix-en-Provence uczonego *l'abbé Thierry*? Nie, nie ma to doprawdy większego znaczenia w obliczu dalekosiężnych, dziejowotwórczych skutków działalności obu duchownych. *L'abbé Pierre* uformował i przekazał Krysiakom całościowy, wewnętrznie spójny i opierający się wszelkim modyfikacjom pogląd na świat – przeciwstawny równie całościowo-

wemu, wewnątrznie spójnemu i zamkniętemu pogładowi na świat, który przekazał Kowalikom l'abbé Thierry.

Nuży was ta symetria przeciwieństw?

Pomówmy zatem o podobieństwach.

L'abbé Pierre i l'abbé Thierry urodzili się w Prowansji, krainie najwonnejszych ziół świata, a byli młodszymi synami konkurujących z sobą królewskich dostawców perfum i mazideł. Młodszymi synami, rozumiecie? Starszych synów wtajemniczali ojcowie w arkana zawodu perfumiarza... Piękna przyszłość. Bez niespodzianek. Bez ryzyka. Bezpieczna i dostatnia. Młodszych, nieprzydatnych, czekał przymus święceń kapłańskich i smutek po utraconych zapachach. Węzełek w rękę i zadra w sercu. I może jeszcze pewność, że o sztuce kompozycji pachnideł wiedzą więcej od starszych, leniwych braci, ale kto to będzie umiał docenić, no kto? Nikt nie będzie umiał, prócz ojca i starszego brata, i na tym właśnie polega okrucieństwo losu, któremu należy odpłacić taką samą monetą. I jakkolwiek l'abbé Thierry uważał l'abbé Pierre'a za scholastycznego nieuka, l'abbé Pierre zaś szydził z tępego nowinkarstwa l'abbé Thierry'ego, to przecież łączyło ich mocno ugruntowane przekonanie co do zbawczej roli bicza w procesie pedagogicznym. L'abbé Pierre twierdził, że natura jest skazana na potępienie, o czym świadczą wyziewy ekskrementalne oraz aura seminalis stale towarzyszące człowiekowi. Używanie wody, mydła i innych specyfików dla ukrycia tego stanu rzeczy służy odwróceniu naszej uwagi od gnilnej prawdy świata i wiedzie wprost do piekieł. Zbrojny w pęk różeg Pierre kazał więc Krysiakowym potomkom uczyć się na pamięć cenionego przez się – z przyczyn doktrynalnych – dzieła Hippolyte'a Cloqueta *Traité des odeurs...* i smagał ich do krwi, aż wykuli słowo o zgniliznie natury po słowie o zgniliznie natury i przekazali, nie szczędząc razów, następnemu pokoleniu, a to pokolenie następnemu, jako tajemną wiedzę rodu, jako zakłęcie i dobrą nowinę. Zapewniam was, że jeszcze i dziś stary Krysiak bez trudu wyrecytuje wam z pamięci sto stron tej księgi, w języku oryginału, choć nie rozumie po francusku ani słowa; oto siła tradycji! Z kolei zbrojny w pęk różeg Thierry wielbił naturę i rozkoszował się jej pięknem, a w związku z tym kolejne pokolenia Kowalików przekazywały sobie sławiący wonie przyrody, wykuty w męce i bólu tekst *Traité de sensations et de passions* Claude-Nicolasa Le Cata, nie kumając z niego ani słowa; oto siła tradycji!

Niepojęte więc, wymykające się wszelkiemu rozumieniu, wszelkiej refleksji historycznej, religijnej, obyczajowej, lingwistycznej i psychologicznej, po prostu niemożliwe wydawało się miłosne spotkanie Krysiaka z Kowalikówną. A jednak do niego doszło! Z jednej strony Michał Jan Maria Krysiak, z drugiej zaś Elżbieta Jadwiga Kinga Kowalik. Niepojęte, powtarzam. W jaki sposób? Nie wiem i nie rozumiem. Dlaczego? Nie rozumiem i nie wiem. Nie mam instrumentu, który by pozwolił... Nie mam miary. Jestem bezradny. Nie śmieście się. Mógłbym przecież opowiadać dla samej opowieści. Dla jej toku, rytmu i zwieńczenia. Ale to jałowe, bo sens opowiadania kryje się właśnie w tym, czego nie da się opowiedzieć.

W każdym razie przyjsście moje na świat powitane zostało przez Krysiaka napadem mdłości, a przez jego żonę piskiem zachwyty z tego samego, jak się domyślacie, powodu. Byłem zbrukany wodami płodowymi i krwią, gotów do życia, do jedzenia, trawienia i wydalania, a w przyszłości także i do kopulacji, co w oczach Krysiaka było dowodem smrodliwej skazy, w oczach Elżbiety przejawem wonnego piękna wszelkiego stworzenia. „Żry, pierdzi, rzygo, sro, cuchnie” – sumował krótko Krysiak, patrząc na krowy, świnię, kaczki, kury, psy, koty i na mnie, rzecz jasna. „Kotulki, piesulki, krówki, świnki, kurki, dziecina moja pachnąca” – szczebiotała Elżbieta. Nie mogło być między nimi zgody, nie mogło być porozumienia. Dwa kosmosy oddzielone głuchą próżnią. Dwie nieprzeniknione kryształowe sfery. Dwa odpychające się bieguny. Rzecz jednak ciekawa, że rozwiewający wokół siebie zapach spermy, moczu i kału Krysiak wzbudzał w Elżbiecie zwierzęce pożądanie, z równie gwałtowną wzajemnością, przy czym wiedziecie, że Elżbieta, wzorem świętej Teresy z Avila, wydzielala z siebie wonie jaśminu i irysu, wstrętne Krysiakowi z przyczyn zarówno światopoglądowych, jak i organicznych.

Żyli więc, nie mogąc nadziwić się swemu szczęściu niemożliwemu i patrząc z zadowoleniem, jak jem, piję, wydalam, rosnę, pokrywam się włosami i skorupą brudu, wszak cokolwiek by się działo, dla niego byłem z definicji obesrańcem i wszetecznością, dla niej zaś dzieciną pachnącą, istnieniem błogim i rzewnym, i jeśli ich coś smuciło, to wrogość manifestowana wobec mnie przez wszystkich pozostałych Krysiaków i wszystkich pozostałych Kowalików.

Ileż to razy dostałem batem przez grzbiet od moich przybranych stryjów? Ileż to razy obrzucili mnie kamieniami moi przybrani wujowie? Ileż to razy wywodzący się z obu plemion przechodnie wytykali mi zgodnym głosem, żem długowłosa śmierdziel, niemota, dzika świnia, głupek, student, basior, dewiant, człowiek zbędny, znajda rusko-niemiecka albo znajda niemiecko-ruska. Byli zgodni. Po raz pierwszy w dziejach swych rodów. Można więc uznać, że z mojego ponizenia i na mojej sierocy niedoli tworzył się fundament historycznego kompromisu między Krysiakami i Kowalikami, nie o tym jednak chcę wam opowiedzieć, lecz o brzemiennych w następstwa wydarzeniach pewnej letniej nocy 1951 roku...

Nad wsią już od rana stały czarne chmury. Powietrze było wilgotne i lepkie. Żwawe zazwyczaj jaskółki pochowały się w gniazdach. Piejące przez cały dzień koguty ochrypli z wysiłku. Wymiona krów pędzonych z pastwiska spęczniały skwaśniałym mlekiem. Zapadła cisza. Spałem ciężko, czując strużki potu spływające z czoła i skroni. Zbudził mnie dochodzący ze wszystkich stron cichy metaliczny zgrzyt. Potem usłyszałem głos jakiejś kobiety: „Ludzie! To szarańcza!” Za oknem rozbiły płomienie pochodni. I krzyk tej samej kobiety: „Znajda! On winien! Rusko-niemiecki! Niemiecko-ruski! On plagę sprowadził! Do wody z nim! Do rzeki! Pławić basiora! Pławić dewianta!” Pobitego i zakrwawionego, niesiono mnie przez kartofliska. Spod stóp moich oprawców dobywał się chrzęst rozgniatanych chitynowych pancerzy. Żuki Colorado do cna spustoszyły dziesiątki hektarów pól ziemniaczanych. W chwili gdy wrzucano mnie do uplecionej z łyka łódki, błyskawica rozświetliła kurczącą się kopułę nieba. Zobaczyłem twarze moich przybranych rodziców wykrzywione strachem i nienawiścią. Nagły podmuch wiatru popchnął łódkę w środek nurtu rzeki Rozogi. Z nieba runęły zaciśnięte pięści gradu. Tracąc przytomność, pożegnałem się z arkadią dzieciństwa.

Przyznacie, że wdzięczna to materia dla badacza mitów, który w spiętrzeniu okoliczności takich, jak moje sieroctwo, status przybranych rodziców i ich wzajemne uwikłanie, treść „profecji myszy-nieckiej”, nagle a nieprzypadkowe, bo w przeddzień ukończenia przeze mnie siódmego roku życia, pojawienie się plagi szarańczy zwanej *Leptinotarsa decemlineata*, cierpienia moralne i fizyczne rozstania się z dzieciństwem, podobna do kosza łódka upleciona z łyka, cierpienia fizyczne i moralne związane z wejściem w następną fazę życia, czterdziestokilometrowy spływ rzeką Rozogą – z radością dostrzeże zarys, przepraszam za wyrażenie, archetypu przejścia.

Rite de passage, uczciwszy uszy!

W zetknięciu jednak z prawdą faktów okazuje się, że wyjaśniająca moc wszelkiego, przepraszam za wyrażenie, archetypu ma źródła w osobliwych potrzebach duchowych badacza mitów, jeśli natomiast idzie o związki z moim losem, to byłbym raczej sceptyczny. Znałem niegdyś pewną badaczką mitów. Drzemałem z nią, nawet chętnie. Skarżyła się zrazu na oziębłość seksualną oraz brak tematu dysertacji habilitacyjnej. Czyniłem jej uprzejmości w pokoju hotelowym, na którego ścianie wisiał obraz przedstawiający włościanina roniącego pot nad pługiem. Wkrótce badaczka opublikowała szereg rozpraw na temat symbolicznego znaczenia lemiesza. Dzieła owe przyniosły jej tytuł naukowy, sławę i pieniądze. Kupiła dom na wsi, by wiosną i jesienią przypatrywać się podorywkom. Kiedym wchodził w jej bruzdę, szeptała, że nic bardziej jej nie podnieca niż widok oracza zmagającego się z wilgotną glebą. Ale pomińmy szczegóły... Skwituję sprawę symbolicznie, wydobywając z niemieckiej części mej prapamięci słowa: *Das beste Wappen in der Welt, das ist der Pflug in Ackerfeld*, czyli że najlepszym herbem w świecie jest pług w ornym polu. W sumie orka to zajęcie pożyteczne, zdrowe i nader zabawne.

Co najbardziej mnie urzeka i przeraża w ludzkim szaleństwie, to prostota sycących je rozstrzygnięć. W świecie Krysiaków i Kowalików byłem ciałem obcym, a przez to złowrogim. Pojawiła się

stonka i zżarła kartofle. Uznano, że plaga jest związana z moją obecnością. Z moim istnieniem. Stąd dawało się wyprowadzić prosty wniosek, że jeśli zostanę wrzucony do rzeki, to pociągnę za sobą miliony żuków Colorado. Ale dokąd miałbym ciągnąć za sobą miliony żuków Colorado, skoro tego lata były wszędzie, bez żadnego związku z moją obecnością i moją nieobecnością, wszędzie, powiadam z naciskiem, bo mierząc wzdłuż, widziano je od plaż bałtyckich po kamieniste pola podkarpackie, a mierząc wszerz, od Kijowa po Weimar. Nie ja byłem przecież przyczyną plagi. Wystarczyło czterdzieści kilometrów spływu, aby spostrzec, jak jałowy poznawczo i moralnie jest Krysiakowo-Kowalikowy koncept dopustu Bożego i ofiary złożonej z niewinnego sieroty. Wszędzie słychać było cichy metaliczny zgrzyt szczęk Leptinotary, wszędzie tam, gdzie były kartofle i gdzie zarazem brakowało środków owadobójczych. Brakowało zaś ich wszędzie tam, gdzie panowały postępy i ludowa demokracja, z czego w zachwycającej prostocie szaleństwa można było wnosić, że żuki Colorado, które, jak sama nazwa wskazuje, wywodzą się z Colorado w Ameryce, zjawyły się tu wskutek knowań amerykańskich przeciwników postępu i ludowej demokracji. Władze ogłosiły alarm. W gazetach pisano o dywersji. Radary przeczesywały niebo w poszukiwaniu samolotów desantujących pojemniki z żarłocznymi owadami. W pułkach lotnictwa myśliwskiego i w dywizjonach ścigaczy torpedowych ogłoszono stan gotowości bojowej. Do walki ze stonką rzucono brygady młodych aktywistów. Setki tysięcy ludzi ruszyły w pola. Kierownik jednej z takich brygad zobaczył nieprzytomne dziecko w łódce unoszonej przez wartki nurt rzeki. Bez wahania skoczył do wody, wyciągnął mnie na brzeg, rozdział z przemoczonych szmat i poddał uważnym oględzinom.

Z wyglądu zbliżony do młodego neandertalczyka, zarośnięty, zbrojny w krogulcze szpony u dłoni i stóp, spożywający jedynie chleb i wodę, potwór człekokształtny (zwracam uwagę, że ludzkość nie zna innych potworów niż człekokształtne lub przynajmniej do człekokształtnych podobne, czyli też człekokształtne, ale mniej), na dodatek sierota, stanowiłem wyzwanie dla każdego pedagoga-humanisty. Mój wybawca stanął przed dramatycznym wyborem: co zrobić?

Co zrobić? Jak wykorzystać znalezisko dla osiągnięcia możliwie najwyższych korzyści społecznych? Czy zamknąć mnie w klatce i wozić po miasteczkach i wsiach jako żywy dowód słuszności teorii ewolucji, wpływy zaś ze sprzedanych biletów przekazać na fundusz opieki nad sierotami? A może umyć, odziać, nakarmić, wyedukować, następnie zaś objaśniewszy ogólne zarysy sytuacji, wręczyć butelkę wypełnioną do połowy naftą i rzucić do boju ze stonką ziemniaczaną?

Śpiesznie sporządzony plan wykazywał, że wpływy ze sprzedaży biletów na widowisko Tajemnice postępowej ewolucji: żywy neandertalczyk z nawiązką pokryją koszty budowy klatki i jej transportu, druk afiszów, wynajęcie sal widowiskowych wraz z nagłośnieniem, pokaźne honoraria dla prelegentów omawiających mój przypadek na tle osiągnięć darwinizmu, noclegi, żywienie, składki ubezpieczeniowe, inne wydatki, podatek obrotowy i podatek dochodowy – ale na przeszkodzie w realizacji przedsięwzięcia stanęło prawo. Mój wybawca, z powołania społecznik, czasowo na czele brygady młodzieżowej zwalczającej żuka Colorado, z zawodu był księgowym, toteż skrupulatnie trzymał się przepisów. Te zaś stanowiły, że jako eksponat żywy człekokształtny, tworzący wraz z prelegentem zespół wykonawczy w dziedzinie oświatowej, artystycznej lub cyrkowej, powinienem legitymować się dyplomem ukończenia studiów we właściwej szkole wyższej w trybie dziennym lub przynajmniej w trybie zaocznym.

Nafta w butelce służyła do topienia schwytych żuków Colorado, z ogólnego zaś zarysu sytuacji wynikało, że choć do wody wrzucono mnie jako ofiarę gminnego myślenia magicznego, to wydobyty z niej zostałem jako uczestnik dialektycznego starcia sił nowego i starego ustroju w skali planetarnej. Objaśniał mi to mój wybawca wieczorami, gdy zasiadaliśmy przy ognisku, pod granatowym sierpniowym niebem, pełnym dogorywających gwiazd. Płomień kładł się czerwonym cieniem na pociągłej, ascetycznej twarzy nauczyciela; wyostrzając kontury i pogłębiając zmarszczki, złościł w niej maskę z antycznej tragedii. „Wiedz, że nowy ustrój nie zna pojęcia kryzysu, młodzieńcze – mówił, a w jego oczach zapalało się światło. – W nowym ustroju, który jest przeciwieństwem starego ustroju, nie ma miejsca dla względnego i bezwzględnego zubożenia nieludzko eksploatowanego proletariatu. W nowym ustroju nie ma miejsca dla plantatorów wrzucających tysiące

ton kawy do morza, rozumiesz?” Nie wiedziałem, co to jest kawa. Dowiedziawszy się, że to płyn smaczny i elegancki, wyraziłem chęć poznania jego smaku. „Nie stać nas na zakup kawy za cenne dewizy”. Zauważyłem, że gdybyśmy wydali cenne dewizy na zakup kawy, to z pewnością plantatorzy nie wrzuciliby jej do morza. „Z pewnością” – zgodził się po chwili namysłu. Wszyscy by na tym skorzystali. Proletariat – uzyskując możliwości zatrudnienia. Ja – mogąc zakosztować nieznanego mi smaku. „Cieszę się, że leży ci na sercu los klas wyzyskiwanych. Jednakże nie czas teraz na drobnomieszczańskie porywy litości i abstrakcyjnego humanizmu. Pamiętaj, że wykupując kawę od plantatorów, nakręcilibyśmy im koniunkturę i dalibyśmy sposobność do dalszej eksploatacji proletariatu. Ponadto, wydając na zakup kawy cenne dewizy, osłabilibyśmy nasz potencjał gospodarczy”. „A więc nigdy nie napiję się kawy? Czym w takim razie nowy ustrój jest lepszy od starego?” „Tym, że nie zdarzają się w nim kryzysy nadprodukcji. Nasza gospodarka planowa zaspokaja wszystkie racjonalne potrzeby społeczeństwa i każdego obywatela z osobna”. „Czy picie kawy jest potrzebą racjonalną?”. „Jest, oczywiście, że jest!”. „To dlaczego jej nie ma?”. „Nadejdzie taki dzień... Wierzę! Musi nadejść! Jest już niedaleko, na granicy horyzontu nadziei. Ale tymczasem powinniśmy zadowolić się namiastką kawy z palonego zboża”. „Niemniej wszakże latoś z ziemniakami będzie krucho”. „Za sprawą imperialistycznej dywersji! Za sprawą eskadr amerykańskich bombowców, które zrzuciły na nasz obóz miliony żuków Colorado!” – wykrzyknął, unosząc ręce ku niebu. „Bardzo być może, że imperialistyczna, że dywersja, że amerykańskie i że bombowce, ale latoś z ziemniakami będzie krucho – upierałem się – żegnajcie, placki kartoflane, żegnajcie, kopytka w sosie, żegnajcie, pyzy i kluski śląskie, z czego wnoszę, że także i gospodarka planowa nie jest wolna od groźby kryzysu. Z tym, że nie idzie tu o kryzys nadprodukcji, ale wręcz odwrotnie, o kryzys deficytu, sieroca zaś intuicja mi mówi, że w danej sytuacji globalnej, w której imperialistyczna dywersja jest constans, ów kryzysowy brak wszystkiego będzie miał charakter chroniczny, chyba że...”. „Chyba że!” – poderwał się i chwycił mnie za ramiona. „Chyba że nowy ustrój zada staremu ustrojowi śmiertelny cios” – oświadczyłem. „Oto moment, w którym intuicja bezrolnego sieroty przekształca się w bojową świadomość proletariacką w sobie i dla siebie” – szepnął i usiadł przy ognisku. Był wzruszony. Zobaczyłem łzy w jego oczach. Otarł je gwałtownie wierzchem dłoni. Po chwili usłyszałem jego głos, ochrypli z emocji: „Posłuchaj, co ci powiem, młodzieńcze. Posłuchaj tego wyznania i je zapamiętaj! Niezmierzone pięknem i bogactwem są syberyjskie tajgi. Niezmierzone pięknem i bogactwem są wybrzeża Morza Kaspijskiego. Byłem tam długie lata i nie zapomnę do końca życia.

W tajdze soból zwinny pieśń godową śpiewa.
W morzu jesiotr srebrzy łuską toń bezkresną...”

Przerwał. Zapadło milczenie. Potem ciszę rozcięły proste słowa, którymi mój wybawca opisywał projekt zadania śmiertelnego ciosu w podstawy starego ustroju.

„Musimy przyjąć dwa założenia. Po pierwsze, stary ustrój skazany jest na powtarzające się konwulsje kryzysu. Po wtóre, kryzys zaczyna się zawsze w dziale produkcji środków spożycia. Dlatego wciąż słyszymy o topieniu w morzu tysięcy ton kawy, natomiast nie słyszeliśmy, póki co, o topieniu lokomotyw, choć bardzo byśmy chcieli. Z tego wynika wniosek, że śmiertelny cios powinien być wymierzony w dział produkcji środków spożycia w najslabszym ogniwie systemu kapitalistycznego. Takim ogniwem jest ponad wszelką wątpliwość rynek dóbr luksusowych, w których pławi się anglosaska plutokracja, w szczególności zaś na tym rynku sektor sobolowych futer, pożądanym przez plutokratki, oraz sektor kawioru, pożądanego przez plutokratów pożądanym przez plutokratki i uwodzących je kawiozem i futrami.

Nowy ustrój ze Związkiem Radzieckim na czele posiada niewyczerpane zasoby futer i kawioru z białugi. Jak wspominałem wcześniej, teraz zaś powtórzę:

W tajdze soból zwinny pieśń godową śpiewa.
W morzu jesiotr srebrzy łuską toń bezkresną...

Odpowiadając na imperialistyczną agresję w postaci stonki, należy niezwłocznie przystąpić do zrzucania na metropolie amerykańskie pojemników z kawiozem i sobolowymi futrami. Wywołanie nagłego wzrostu podaży dóbr rzadkich, takich jak sobolowe futra i kawior, musi doprowadzić do gwałtownej obniżki cen, zachwiania równowagi i kryzysu w dziale środków spożycia, ów kryzys zaś zgodnie z istotą starego ustroju zacznie się rozprzestrzeniać z działu produkcji środków spożycia na dział produkcji środków produkcji, dzięki czemu utoną lokomotywy i już nikt nigdy nie wypije filiżanki kawy. Na przeszkodzie w realizacji tego projektu stoi brak samolotów, które mogłyby bezpiecznie i bez uzupełniania zbiorników paliwa przelecieć trasę Moskwa–New York, dokonać zrzutów i bezpiecznie powrócić do Moskwy. Dlatego też musimy zmobilizować siły w celu rozwinięcia produkcji blach niezbędnych dla budowy bombowca dalekiego zasięgu”.

Mój wybawca był księgowym w dyrekcji budowy huty aluminium.

5

Czy oszalał? Nie, z pewnością nie. A jeśli nawet tak, to nie był w tym osamotniony. Szczegółowy projekt bombardowania kawiozem i futrami amerykańskich metropolii spoczywa w którymś z naukowych archiwów w Moskwie. Nie podam nazwiska autora projektu, bo po co zawstydzać starszka-profesora i martwić jego niewinne wnuki. Szanowany ekonomista. Erudyta. Umysł otwarty, kształcony w najświetniejszych uniwersytetach. I tak mu to jakoś wyszło w nieubłaganym ciągu konsekwencji. Jeśli kryzys zaczyna się w dziale produkcji środków spożycia, potem rozciąga na dział produkcji środków produkcji, a kawy wciąż brak, to trzeba dobić te bestie! Dobić bez litości! Niech utoną w bajorze ikry małosol, niech zadławią się kneblem z sobolowego futra! A mój wybawca? Gdybym miał szukać śladów szaleństwa, to może w powtarzanym przezeń co dzień rytuale racjonalności. To, co rzeczywiste, jest rozumne, i tyle.

Ale co jest rzeczywiste?

Po dziesięciu latach spędzonych na przymusowym wyrębie sosen i jodeł w oddalonych rejonach Syberii upewnił się, że rzeczywiste jest to, co ma siłę porządkowania. Rzeczywiste jest ostrze topora – przeciw chaosowi leśnego gąszczu. Rzeczywisty jest wykład doktryny – przeciw losowi jako sumie nieprzewidywalnych przypadków. Rzeczywiste jest to, co się zgadza – przeciw temu, co ani się nie dodaje, ani nie mnoży, ani nie dzieli. Rzeczywisty jest wschód słońca – przeciw nocy, której czerń litościwie uspokaja nasze oczy. Często szlochał przez sen. Budził się o brzasku. Kaszłał długo, boleśnie, jakby chciał z siebie wyrzucić szczątki dręczących go zmór. Skrzypiąc podwójnymi podeszwami butów z wysokimi cholewami, podchodził do pieca, na którego poręczy suszyły się nakrochmalone białe kołnierzyki. Budził mnie, bym nawlekl igłę. Zdejmował z wieszaka półwojskową kurtkę z zapinaną na haftki stójką. Przyszywał biały kołnierzyk. Dwa zapasowe wkładał do tylnej kieszeni brązowych bryczesów. Po wypiciu kubka zbożowej lury ruszaliśmy w stronę skraju urwiska.

Pod naszymi stopami rozciągała się wydarta zębami buldożerów niecka, na której dnie w obłokach kurzu lub w kleistej mazi błota, w skwarze, w deszczu i w śniegu widać było maleńkie sylwetki ludzi z łopatami i kilofami na ramionach. Obok nich przesuwały się pudełka ciężarówek i ciągników na gąsienicach. Na części niecki legły kraty zespawane ze stalowych prętów. Z hałaśliwie obracających się cylindrów lały się na nie potoki cementu, potoki spermy boga, który zamyślił sobie nadanie światu ostatecznego kształtu w betonie. Mój wybawca wyjmował z teczki plan budowy. „Oto nasza odpowiedź na ich stonkę! – przekrzykiwał hałas silników. – Tu leją fundamenty pod piece. Będziemy spiekać rudę z wapniem. Tam stanie odlewnia. Z prawej strony na placu leżą gotowe suwnice. Części spieku będziemy wykorzystywać do produkcji cementu portlandzkiego. Z lewej strony rośnie cementownia. Za wydziałem pieców widzisz zarys walcowni, w której powsta-

nie blacha dla bombowca”. Nie mogłem uwierzyć, że z tego chaosu pokrytego warstwą błota i cementowego pyłu może wyłonić się coś innego niż chaos jeszcze większy. Schodziliśmy do baraku dyrekcji budowy. Nauczyciel odpruwał pobrudzony kołnierzyk i prosił mnie o nawleczenie igły. Potem zabierał się do analizy sprawozdań i pisania raportów o terminowym wykonaniu planu. Dzień dzielił się na trzy części. Każda związana była ze świeżym kołnierzykiem. Wieczorem za oknem baraku pijani robotnicy obrzucali się pustymi butelkami po wódce. Jeden z nich wpadł pod koła ciężarówki, potem długo umierał, babrząc palcami we wnętrznościach wypływających z rozprutego brzucha. Kierowca ciężarówki próbował ucieczki, ale nie mógł uruchomić silnika. Robotnicy wyciągnęli go z kabiny i rozerwali na strzępy, jeden za jedną nogę, drugi za drugą, po dwóch za ręce, na strzępy, potem wymazani krwią biegali po niecce i śpiewali: „Jeśli chcesz wypocząć, to połóż się pod pociąg!” Gdyby nie zepsuta prądnica, pewnie by do tego nie doszło. Ktoś podpalił ciężarówkę. Jej poskręcany żarem wrak odciągnięto na pobocze, pomiędzy zardzewiałe rury, kłęby drutu i puste metalowe beczki, w których pomieszkiwały zdziczałe psy i równie zdziczałe niewiasty pochodzenia wiejskiego, wiary katolickiej, a obyczajów lekkich, pomiędzy nimi bliźniaczki Ola i Ala z młodszą siostrą Ulą. Mój nauczyciel przyszywał trzeci biały kołnierzyk. „Zgodnie z planem zużycia surowców, materiałów i urządzeń. Zgodnie z normami technicznymi i eksploatacyjnymi. Każdy obrót prądnicy odpowiada założonemu projektowi tego urządzenia. Błąd jest statystycznie nieistotny i w obrębie planu niemożliwy tak w skali prądnicy, jak w skali nowego ustroju, z uwagi na konieczność zadania śmiertelnego ciosu”. „Ale prądnica się zepsuła” – zauważyłem. „Utraciła walory użytkowe. Zgodnie z normami technicznymi i eksploatacyjnymi”. Patrzył przez okno na plac budowy, gdzie zgodnie z założeniami planu rosły fundamenty, mury, suwnice, piece hutnicze i inne elementy wolnego od groźby kryzysu działu produkcji środków produkcji. „Reszta jest tylko statystycznie nieistotnym marginesem” – mówił, zamykał książki i szedł prac kołnierzyki na następny dzień. Wszystko, co rzeczywiste, mu się zgadzało, reszta była statystycznie nieistotnym marginesem nierozumności.

I nawet jeśli pierwotnym źródłem jego wiary był lęk wyniesiony z syberyjskich ostępów, to przecież nie on kazał mu bez wahania wstawać o brzasku i przyszywać białe kołnierzyki. W chwilach zwątpienia, a nachodziły go na czas listopadowych słońc, kiedy niepomierne wzrastała liczba zepsutych prądnic, unieruchomionych ciężarówek i niedotrzymanych terminów, sięgał po raport o wykonaniu budżetu, gdzie cyfra po cyfrze, w słupkach, szeregach i wykresach zawarty był opis rzeczywistości co prawda potencjalnej, ale bardziej prawdziwej i słuszniejszej niż widok za oknem, w dniu zaś gdy po rołkach transportera popłynął pierwszy arkusz aluminiowej blachy, mój nauczyciel mógł w jasności serca i rozumu upewnić się, że dokonany przezeń zapis bilansu odpowiada bez wątpienia, bez zniekształceń, bez reszty, niewątpliwie, całkowicie, kategorycznie, gruntownie, demonstracyjnie, ostentacyjnie, uroczyście, ostatecznie i na wieki wieków amen temu, co widzą oczy, jest więc, wraz z podległymi mu kredytem i debetem, statecznym stornem czarnym i niepokojącym stornem czerwonym, pękatymi kontami oraz zwinnymi subkontami, najpełniejszym wyrazem, najwierniejszym symbolem i ponadczasowym spełnieniem klasycznej definicji prawdy świata tak w jego ruchu, jak i w odpocznieniu.

Zaglądałem mu przez ramię, gdy skrzypiąc stalówką, powoli, z uszanowaniem reguł kaligrafii kontentował się stanem środków trwałych, marzycielsko przepływał nad inwestycjami, trapił odchyleń od cen ewidencyjnych materiałów i towarów, wsłuchiwał w narastający tętent produkcji w toku, bezwzględnie śledził zużycie materiałów i energii oraz rozrachunki z odbiorcami i dostawcami, nieufnie sprawdzał magazyny, rozczulał się amortyzacją i z ulgą rozliczał koszty według rodzajów oraz koszty według typów działalności, by wreszcie, przecierając zmęczone oczy, stwierdzić, że kredyt równa się debetowi, co było do udowodnienia, zaglądałem mu, powiadam, przez ramię, wstrzymując oddech z respektu dla wlewającej się we mnie wiedzy, aż pewnego dnia doznałem objawienia, które odśloniło mi strukturalną istotę związków między księgą, psującymi się prądnicami i mieszkającymi w beczkach kobietami lekkich obyczajów.

W dziale transportu samochodowego naszej huty brakowało nowych prądnic, którymi należało zastąpić zepsute prądnice, możliwości zaś uzupełnienia tego braku były znikome z uwagi na niski poziom podaży prądnic na rynku krajowym. Z kolei kobiety lekkich obyczajów ruszały do pracy wieczorami – marnotrawiąc całe dnie na głupich chichotach, rozpustnych szeptach i wróżeniu z ręki lub z kart. Mnie, nawiasem mówiąc, przepowiedziały przyszłość pełną sukcesów, zakup garnituru i rozmowę z lekarzem. Ale nie garnitur był mi w głowie, a na zdrowie nie narzekałem. Za pożyczone pieniądze kupiłem przewijarkę do drutu, potem drugą i trzecią. Posadziłem przy nich kobiety lekkich obyczajów, które kręciły korbami przewijarek, doprowadzając zepsute prądnice do użytku. „U praśniczki siedzą jak anioł dziewczeczki...” – śpiewały bez fałszu. Płaciłem im dobrze. Zaczęły kupować kosmetyki i elegancką odzież, co miało wpływ na podniesienie poziomu świadczonych przez nie usług seksualnych, od których rychło zacząłem pobierać stosowne opłaty. Popyt na prądnice był ogromny. Jego zaspokojenie wymagało nowych inwestycji i stworzenia systemu logistycznego. Dyrektor działu transportu naszej huty wciągnął mnie na listę racjonalizatorów, nagroził wysoką premią i umożliwił zakup całkowicie zamortyzowanej ciężarówki, którą co noc woziłem kobiety lekkich obyczajów do huty miedzi wytwarzającej drut służący regeneracji prądnic. Dzięki wzrastającym kwalifikacjom moich pracowników zyskałem względy dyrektora magazynu, ten zaś wyraził chęć nabycia sporej ilości arkuszy reglamentowanej blachy aluminiowej w zamian za gwarancję dostaw sporej ilości reglamentowanego drutu miedzianego, pod warunkiem przekazania procentu od obrotów miejscowemu prokuratorowi, którego szwagier był dyrektorem zakładów mięsnych. Część reglamentowanego mięsa zamieniałem na reglamentowaną kawę ziarnistą, która była nieodpłatnie przekazywana umiejącym się odwdziaczyć reprezentantom władz państwowych, spędzającym perwersyjne seanse z zatrudnionymi przeze mnie kobietami wszetecznymi.

Tak oto mój niewielki warsztat rękodzielniczy zaczął przekształcać się w przedsiębiorstwo kontrolujące dystrybucję aluminiowej blachy, miedzianego drutu, kawy ziarnistej, niektórych przetworów mięsnych i żywego towaru najpierw w powiecie, potem zaś w całym regionie. Wieczorami obserwowałem, jak mój wybawca i nauczyciel powoli, z uszanowaniem reguł kaligrafii kontentuje się stanem środków trwałych huty, marzycielsko przepływa nad poczynionymi w niej inwestycjami, tropi odchylenia od cen ewidencyjnych materiałów i towarów, wsłuchuje się w narastający tętent produkcji w toku, bezwzględnie śledzi zużycie materiałów i energii oraz rozrachunki z odbiorcami i dostawcami, nieufnie sprawdza magazyny, rozczuła się amortyzacją i z ulgą rozlicza koszty według rodzajów oraz koszty według typów działalności, by wreszcie, przecierając zmęczone oczy, stwierdzić, że kredyt równa się debetowi, co było do udowodnienia, zamykał mu się bilans, ponad wszelką wątpliwość, podczas gdy wszystkie zyski z produkcji i sprzedaży blach aluminiowych trafiały do mojej kieszeni, też ponad wszelką wątpliwość. Nie ma albowiem takiego systemu, który by nie hodował w swym łonie pasożytniczego antysystemu korupcji! Nie ma takiego systemu, który wypowiedziawszy wojnę korupcyjnemu antysystemowi, nie skazałby się tym samym na zagładę. Antysystem zaspokaja bowiem najgłupsze, najbrudniejsze i najbardziej irracjonalne potrzeby ludzkie, z których nasz gatunek nigdy nie zrezygnuje – pod warunkiem przetrwania.

Król stojący na straży złotej gałęzi będzie zabity przez nowego króla. Taki jest sens życia. Wieczne koło. Niezmacony rytm. Początek, który jest powrotem. Syn musi zabić ojca. Po to został zrodzony. Mój biedny nauczyciel! Mój wybawca! Udręczony przeczuciem, że mimo pozorów harmonii lewa strona jego księgi szydzi z prawej strony, z mojej winy i mojej złej woli... Że gdyby nie psujące się prądnice i nie mój warsztat z przewijarkami... Był myślicielem radykalnym. W czasie posiedzenia dyrekcji huty zażądał likwidacji transportu samochodowego na rzecz trakcji konnej, aresztowania, sprawiedliwego osądzenia i egzekucji kobiet nierządnych oraz natychmiastowego zbombardowania Nowego Jorku kawiozem. Potem zerwał kołnierzyk i zjadł go, popijając wodą z akwarium zdobiącego gabinet dyrektora. Wezwano straż przemysłową i pogotowie. Został uznany za szaleńca. Jakże niesłusznie! Jakże niesprawiedliwie! „Precz z prądnicami! – krzyczał, gdy go unieruchamiano w kaftanie bezpieczeństwa. – Niech żyją konie – ostoja postępu!” Płakałem.

Przez długie miesiące dręczono go wstrząsami elektrycznymi. Brudny, zarośnięty, z oczyma otepiałymi strachem i bólem leżał w kącie izolatki, szepcząc: „Zespół kont majątek trwałe, zespół kont środki pieniężne i rachunki bankowe, zespół kont rozrachunki i roszczenia, zespół kont materiały i towary, zespół kont koszty według rodzajów i ich rozliczenie, zespół kont koszty według typów działalności i ich rozliczenie, zespół kont produkty i rozliczenia międzyokresowe, zespół kont przychody i koszty ich osiągnięcia, zespół kont kapitały, rezerwy i wynik finansowy, precz z prądnicami! utopić samochody!”.

Zapłaciłem Uli, młodszej siostrze bliźniaczek, by co jakiś czas myła go i karmiła. Odmawiał jedzenia. Chudł w oczach i popadał w konwulsje głodowe. Śmierdział jak świnia. Potem umilkł. Wąchał nieufnie samego siebie. Widać było, że odchodzi. „Tak jest zapisane!”, zapewniały mnie Ala i Ola, wpatrując się w karty. Ula nie chciała dać za wygraną. Pewnej nocy przyśniły się jej czerwone owoce dereniu. Opowiedziała o tym siostrze. Zareagowały złośliwym rechem. Ula pozrywała im druty, zablokowała kołowrotki i wyzywając od kurwisonów, oświadczyła, że jest jedyną dziewczyną w promieniu siedmiu mil, toteż jej snom należy się uwaga i szacunek. Istotnie Ula była dziewczyną, nie pamiętam już, czy z powodu młodego wieku, czy z odrazy do rzemiosła uprawianego przez starsze siostry, czy też z wyrafinowanej złośliwości, jest jednak pewne, że rzucano się to jej co jakiś czas na rozum. Muszę jednak przyznać, że mój wybawca karmiony konfiturą z owoców dereniu odzyskał mowę. Znowu szeptał: „...zespół kont majątek trwałe, zespół kont środki pieniężne i rachunki bankowe, zespół kont rozrachunki i roszczenia, zespół kont materiały i towary, zespół kont koszty według rodzajów i ich rozliczenie, precz z samochodami, konie moje, konisie bułane” – ale w jego oczach nie było już strachu, tylko jasność rozumienia, stanowcza i spokojna. „Czy on stąd wyjdzie?” – zapytałem lekarza, wsuwając mu do ręki gruby zwitek banknotów. „A co, źle mu tutaj? – zdziwił się. – Ma dach nad głową, wikt i opierunek, bieżącą wodę, obsługę, konfitury z dereniu i nic mu nie zagraża”. „Pan go leczy wstrząsami elektrycznymi, prawda?”. „Przepraszam, to nie ja! – oburzył się lekarz. – Działamy wedle zasad współczesnej wiedzy medycznej i przepisów obowiązujących w szpitalnictwie psychiatrycznym. Mogę też pana zapewnić, że nie ma to żadnego związku z leczeniem. Jest pacjent. Są lekarze i pielęgniarki. Jest szpital. Współwystępowanie tych elementów sprawia, że lekarze wraz z personelem pomocniczym czują się zobowiązani do stosowania wobec pacjenta jakiejś terapii, pacjent zaś poddaje się jej, niekiedy nawet bez protestów. W danym przypadku wybraliśmy wstrząsy elektryczne, z uwagi na posiadany sprzęt i niską cenę prądu”. „Jest więc normalny?”. „Jest!” – ucieszył się lekarz. „A gdybym ja tak leżał i szeptał? – pytałem, podejrzewając podstęp. – Czy też uważano by mnie za normalnego?”. „Pan nie ma do mnie zaufania – odrzekł lekarz. – Ja zaś udowodnię...”

Przetarł okulary i pochylił się nad pojękującym pacjentem:

„Jak się czujemy?”.

„Dobrze” – szepnął mój wybawca.

„Nie wierzę”.

„Dobrze, daję słowo”.

„Jaka jest pora roku?”.

„Jesień”.

„Jaki miesiąc?”.

„Listopad”.

„Dzień tygodnia?”.

„Czwartek”.

„Niech no w takim razie powtórzy za mną... Trzewik, jabłko, piłka”.

„Trzewik, jabłko, piłka”.

„Teraz zaś niech od stu odejmuje za każdym razem po siedem?”.

„Dziewięćdziesiąt trzy, osiemdziesiąt sześć, siedemdziesiąt dziewięć, siedemdziesiąt dwa, co pan się wygłupia, doktorze?”.

„Oj, widzę, że się pacjent stęsknił za elektrycznością... – pogroził mu żartobliwie lekarz. – Niech no teraz szybko odpowie, na jakich to kontach ewidencjonujemy majątek trwały, środki pieniężne i rachunki bankowe, rozrachunki i roszczenia oraz materiały i towary?”

„Zespół kont majątek trwały, zespół kont środki pieniężne i rachunki bankowe, zespół kont rozrachunki i roszczenia, zespół kont materiały i towary...” – brzmiała odpowiedź.

„A więc widzi pan – zwrócił się do mnie lekarz. – Jest w normie”.

„W takim razie zabieram go z sobą”.

„Nie zgadzam się – powiedział lekarz. – Pan nie ma prawa”.

„Jest normalny...”.

„Wszyscy jesteśmy normalni, drogi mój, dopóki działamy w obrębie domeny zapewniającej nam poczucie jakiegoś takiego sensu. Ja jestem normalny, póki pełnię funkcję lekarza w tym szpitalu, stawiając diagnozy, stosując leki i wstrząsy. Pan jest normalny w tej mierze, w jakiej osiąga satysfakcję z obrotu blachą aluminiową, kawą ziarnistą, mięsem i żywym towarem. Obaj bowiem kierujemy się zasadami planowania i skuteczności. Natomiast pacjent... Z nim sprawa ma się nieco inaczej. Jest z pewnością normalny, co zresztą przed chwilą udowodniłem, niemniej jednak ujawnia wyjątkową agresję w stosunku do prądnic, do transportu samochodowego, do niewiast lekkiego prowadzenia się oraz do plutokracji anglosaskiej...”.

„Czyli że odbiega od normy... – powiedziałem, czując wzbierającą złość. – Niech pan przestanie kręcić”.

„Nie rozumiemy się – odrzekł lekarz. – On po prostu wypowiedział posłuszeństwo tym miarom, które nam pozwalają działać skutecznie, i niestety, tylko skutecznie. Pojął, że opis świata zawarty w księgach odnosi się nie do tego, co trwa, co jest i co się staje, nie do rzeczywistości, ale tylko i jedynie do sposobów dokonywania zapisu bilansowego. To szczególnie przypadek iluminacji odślaniającej ułomność wszelkich dróg ludzkiego poznania, poza jedną... Tak, poza jedną! Niech pan spojrz na jego usta. Wydobywa się z nich jednostajny szep. Niech pan spojrz na jego oczy. Są nieruchome. Utkwione w jednym punkcie, a tym punktem... Nie myli się pan! Tym punktem jest pępek!”.

„To co, że pępek?” – zapytałem.

„Hezychazm!” – krzyknął lekarz, a widząc, że nie pojmuję doniosłości tego stwierdzenia, najpierw plunął trzy razy za siebie, potem zaś jął pokrzykiwać, że na jego i moich oczach następuje proces przeistoczenia się księgowego o zapatrywaniach materialistycznych w istotę, która poprzez ucieczkę od zgiełku świata, przez wypowiedanie godnych słów milczenia, przez zwrócenie cieleśnych oczu wraz z całym umysłem ku pępkowi, powściągnięcie wdychania powietrza przez nos i zgłębienie duchowe swych trzewi, dostrzega przestworza w środku serca i samego siebie, przestworza rozświetlone wiecznymi promieniami. „Dostrzega Boga?” – zapytałem, by usłyszeć w odpowiedzi, że wedle Grzegorza Palamasa z góry Athos, wielkiego propagatora hezychazmu, esencja boska pozostaje na wieki wieków poza zasięgiem ludzkich możliwości poznawczych, nie jest natomiast wykluczone poznanie pośrednie, a to drogą wejścia osoby ludzkiej w strefę blasku energii wydzielanej przez Stwórcę. „Przez pępek?” – zdziwiłem się. Owszem, tłumaczył lekarz, pępek jest środkiem sił życiowych człowieka i skupienie na nim wzroku oznacza poskromienie pożądania cielesnego, podporządkowanie go mistycznej całości, w której bezpowrotnie znika podział między duszą i ciałem. „Ależ on przestaje oddychać!” – zauważyłem z niepokojem. „Zatrzymanie oddechu – wyjaśniał lekarz – osłabia serca twarde i odporne, czyniąc je bardziej wrażliwymi, dzięki czemu mózg zaczyna obumierać, wytwarzane zaś w nim myśli stają się przezroczyste, podatne do poddania się nadprzyrodzonemu oświeceniu”. „On wciąż mówi o zespołach kont!” – wyszeptałem. „To nie ma znaczenia – uspokoił mnie lekarz. – Ważne jest tylko powtarzanie słów w drodze od przemijających rzeczywistości ku rzeczywistości, która nie przemienie i słowem ludzkim nie daje się opisać. Pan jest chrześcijaninem, jak mniemam?”. „Dlaczego pytasz, doktorze?”. „Współczesna medycyna nie posiada, niestety, bezstronnych metod badania procesów dokonujących się w ciele i duszy tego człowieka – załkał nagle lekarz. – Biedni my wszyscy, ślepi my i głusi. Nie dla nas zmysł boski,

który może poznawać rzeczywistości wyższe od cielesnych, nie dla nas dźwięki spływające z siedmiu sfer niebieskich... Módlmy się!”.

Przeżegnał się i schował zwitek otrzymanych ode mnie banknotów w woreczku na piersi.

Następnego dnia dyrektor huty kazał mi kupić garnitur i udać się do gmachu uniwersytetu w celu rozpoczęcia studiów na wydziale ekonomii. Ukończyłem je pięć lat później, uzyskując oceny celujące, tytuł magistra i przyzwoicie płatne stanowisko w instytucie naukowym. Tam też przyszło mi spędzić dwa razy po siedem lat na badaniach dziejów utopii... Utopii, jak wiecie, było sporo, a jeszcze więcej było prób ich wprowadzenia w życie, przy czym wszystkie te próby zaczynały się tak samo i tak samo się kończyły. Zaczynały się mianowicie stwierdzeniem, że ludzkość została zatruta jadami cywilizacji i czas już najwyższy na dokonanie przełomu w sercach i umysłach. Odtąd życie człowieka wyzwolonego ma toczyć się w czystości obyczajów i prostocie obejścia, absolutnej równości oraz w bezpośrednim kontakcie z naturą. Żadnego zepsucia. Żadnego alkoholu, dansingów, grzybków halucynogennych, gier hazardowych, sztuk teatralnych, walk kogutów, promiskuityzmu, walk bokserskich i zapaśniczych, wyścigów konnych oraz innych przejawów deprawacji. Zdrowie moralne bierze się z uprawy roli lub prostych prac rzemieślniczych w kolonii odciętej od wpływów wrogiego świata. Produkcja służy zaspokojeniu potrzeb naturalnych – odbiera przez to sens własności prywatnej i czyni pracę domeną twórczości. Niewielkie nadwyżki produkcyjne przeznaczają się na wymianę. W ten sposób człowiek powraca do swej istoty gatunkowej i do swego przeznaczenia. Żyje w skromności i w cnotliwej. Dzięki promieniującemu zeń dobru znika rozdział między cywilizacją i naturą. Przyroda odsłania swój arkadyjski charakter. Łagodne wilki. Inteligentne konie. Mlekojadne tygrysy. Wegetariańskie sępy i krogulce. Dlaczego? Bo z ludzi wyzwolonych oraz reszty wszelkiego stworzenia dobywa się na świat zewnętrzny prawda zmarłych Chrystusa-Parakleta. Pełna harmonia! Samozbawienie całkowite!

Aż dziw bierze, że z takich sympatycznych początków wynikało zawsze mnóstwo utrapień, które – jak to z utrapieniami bywa – trzeba było topić w alkoholu i niemoralnych rozrywkach. Za każdym razem tak samo. Konflikt zaczynał się wraz z ustanowieniem definicji potrzeb naturalnych i naturalnych sposobów ich zaspokajania. Czy kurna ziemianka jest bardziej naturalna od ziemianki z piecem i kominem? Jest bardziej naturalna, z drugiej jednak strony dym w kurnej ziemiance tak piecze w oczy, że nie sposób kierować krosnem podnóżkowym, bez czego nie będzie tkaniny przeznaczonej na wymianę. A po co komu wymiana? Czy włosy nie strzyżone są bardziej naturalne od głowy pozbawionej włosów za pomocą brzytwy? Są bardziej naturalne, tworzą wszakże środowisko sprzyjające pasożytom. A kto by chciał wymieniać się produktami z zawszonym popaprańcem? Wymiana jest konieczna, bo za materiał utkany na krosnie podnóżkowym można uzyskać brzytwę i płyn przeciwko wszawicy. Jak widać, mieszkańcy kolonii muszą być – z przyczyn obiektywnych – podzieleni na dwie grupy. Pierwsza grupa oddaje się kultywowaniu naturalnie cnotliwej istoty człowieczeństwa, podczas gdy druga nie ma wszy i pracuje w ziemiankach z piecem i kominem. Dla przeciwdziałania powstałym w ten sposób nierównościom społecznym trzeba powołać komitet kontrolny, którego działalność obciąża koszty produkcji materiału na krosnie podnóżkowym. Wskutek tego cena jednostkowa materiału wystawianego na wymianę okazuje się tak wysoka, że zniechęca potencjalnych nabywców. Komitet kontrolny staje przed dylematem: albo równość, stan naturalny i cnotliwy oraz swobodna twórczość włościańsko-rzemieślnicza w głodzie, chłodzie i wszawicy, albo rezygnacja z krosna podnóżkowego na rzecz nowszych technologii, dyscyplina pracy oraz podporządkowanie produkcji dobrze opłacanemu zarządowi. Zaczyna się zamęt, w którym rozdarci duchowo członkowie kolonii staczają się w alkoholizm, grzybojadztwo, hodowlę kogutów i cywilizowany konsumeryzm. Zajmowałem się utopiami ze znaczną przyjemnością. Dobrze jest bowiem zachłysnąć się ożywczym pięknem nadziei, nie gorzej też, dla równowagi, widzieć kruchość jej fundamentów.

Doktor dorzucił suchą gałąź do przygasającego ogniska. Karol opróżnił szklanekę i westchnął: – Nie twierdzą więc, jak widzicie, że byt sieroty jest całkowicie pozbawiony zachęty i atrakcji... – Płomień przedarł się przez gęstwą sosnowych igieł, rozżarzył je, buchnął wysoko srebrnymi płatkami popiołu, oświetlając twarz Doktora, na której rysował się grymas złości. – Nawet na odwrót... – ciągnął Karol. – Nawet na odwrót, jeśli weźmie się pod uwagę, że ów instytut naukowo-badawczy... – Nie skończył zdania, Doktor bowiem gwałtownie zamachał rękami, zerwał się z mchu i pobiegł w stronę wędzarni. Patrzyłem na niego z zazdrością. Po prostu podciągnął długie, żyłaste nogi i wstał, bez wysiłku, podczas gdy ja zbieram się do wstawania z namysłem, powoli, wymacując dłonią punkt podparcia, którego znalezienie przysparza mi kłopotów, z dnia na dzień coraz większych, i chyba byłoby dobrze już więcej nie wstawać, zostać tutaj, wtopić się w miękki mech, ukoić się jego ciepłem, znaleźć pod nim schronienie, ale zanim tak się stanie, powinienem dodać kilka słów, nie po kolei, bo po kolei się nie da, dodać kilka słów, tak ażeby moja opowieść wypełniła się i doprowadziła samą siebie do chwili, w której nie będę już musiał wymacować dłonią punktu podparcia, po to przecież opowiadam, po nic innego.

– Strasznie nerwowy ten nasz doktor – stęknął Karol.

– Poszedł po ryby – powiedziałem.

– Ale jakiś rozzłoszczony. – Karol podał mi napełnioną szklanekę. – I wcale mu się nie dziwię. Całe życie krajał, dzielił, segregował, badał, analizował... Tkanka zdrowa, tkanka chora... a tutaj mamy nowotwór! o, jaki ładny! I znów kraje, dzieli, bada, analizuje, złośliwy on aby czy nie złośliwy?

– I co z tego? – zapytałem.

– Nic z tego – zasepił się Karol. – Zupełnie nic. Po prostu nie może wytrzymać obfitującej w znaczenia syntezy mego losu. Brakuje mu odwagi.

Karol pochylił głowę i zapadł w drzemkę, ja zaś wpatrując się w niebieskie płomyki pelgające po zwęglonym bierwionie, pomyślałem, że 4 września 1908 roku, tuż po nieudanej rozmowie ze starszyzną wiejską, szef wojskowego gabinetu cesarza Niemiec ekscelencja generał hrabia von Hülsen-Haesler, odziany w cesarski uniform myśliwski, w kapeluszu z bażancim piórem i z myśliwskim kordelasem u pasa, rozparty na tylnym, wyściełanym skórą siedzeniu wielkiego zielono-żółtego automobilu, zaopatrzonego w sztabowy proporczyk, cztery zapasowe koła i kufer z cesarskimi inicjałami, kazał szoferowi natychmiast i czym prędzej pędzić do Rominten, a to z myślą o czekającym go podwieczorku, w szczególności zaś o czekającej go rozkoszy zakosztowania wędzonej sieni. Z łykiem białowieskiej zębówki, rzecz jasna. Nie był głodny. Koło jedenastej zjadł obfite śniadanie w restauracji na rynku w Johannsburgu. Popił szklaneką miejscowego piwa. Nie był więc głodny, ale z zadowoleniem wyobrażał sobie chwilę, w której lokaj, stawiając na stole półmisek z dwiema rybami ułożonymi na kształt znaku zodiaku, łbami w przeciwległe strony, zapyta z poufałym uśmiechem, czy generał jest na pewno głodny, bo jeśli nie, to może warto poczekać do wieczora, kiedy drżące płomienie świec i drżące cienie zamkną tę kompozycję w całość i nadadzą jej zwodniczy powab nature morte.

Trzeba bowiem wiedzieć, że w przeciwieństwie do sprzedawanych dziś bezgłowych brył rybiego mięsa, tamte sieje były dziełami, na których doskonały, stworzony przez Boga kształt dłoni ludzka nakładała fakturę i barwę starego złota. Po ośmiu godzinach moczenia w solance sieje umieszcza się w woreczku z gazy, przez którego górną część, tę przy głowie, należy przepięść mocną pętlę ze sznurka. Woreczek trzeba powiesić na drągu. Potem następuje wędzenie w chłodnym dymie – aż nitki gazy przylgną do złączających się łusek i utworzą wraz z nimi delikatny i precyzyjny ornament, jakiego nie znają dzieje sztuki, w pół drogi między symetrią i chaosem, w pięknie zmysłowej skończoności. Smutny von Hülsen-Haesler. Być może zdawał sobie sprawę, że i jego uwędowną. Kilka miesięcy później, przebrany w krótką sukienkę z tiulu, w baletkach na małych stopach i z wiankiem róż na siwej głowie, tańczył przed rozradowanym kajzerem, a gdy umilkły

ostatnie takty muzyki, złożył Majestatowi głęboki ukłon i upadł martwy na podłogę. W czasie tańca. W tiulowym przebraniu. Nagle zatrzymać się i nagle zasnąć.

Gdybym opowiadał historię tego świata, to najwięcej miejsca poświęciłbym nie sławnym bojownikom, patriotom, zdrajcom, dyplomatom i wodzom, nie ideom i ideologiom, nie wielkim narodom i nie małym narodom, nie obchodzą mnie wcale, ale sposobom wędzenia ryb, stawiania sosów, pieczenia chleba i mięs. Ileż bowiem trzeba było głodu, ile snów o sytości, ile pracochłonnych doświadczeń, ile poczucia smaku, ile wiedzy przekazywanej z pokolenia na pokolenie, by opanować sztukę dzielenia wołu ze wszystkimi tego konsekwencjami artystycznymi? Dzieło całkowite, dzieło dzieł, powinno odwoływać się do wszystkich zmysłów. Więc gdybym opowiadał historię tego świata, to najwięcej miejsca poświęciłbym dziejom tworzenia smaków, zapachów i kolorów, a jednocześnie dziejom ich zapominania. To by wystarczyło. Doktor kocha i dlatego nie zapomina – pomyślałem – a mnie żal, bo wszystko zapomnę. I nawet chciałem to głośno powiedzieć, ale właśnie w tej chwili Doktor postawił przed nami tacę, na której między złocącymi się, pachnącymi dymem siejami stały kieliszki z żubrówką. Karol rozerwał skórę ryby. Trysnął gorący tłuszcz. Do palców przylepiły mu się złote łuski. – Byt sieroty jest pełen zachęty i atrakcji! – wykrzyknął. – Dobrze jest być sierotą! Dobrze, smakowicie i pożywnie!

Doktor ukłonił się, nawet uprzejmie, przechylił kieliszek i wlał pachnącą ziołem zawartość do gardła. Poszedłem jego śladem.

Doktor ponownie napełnił kieliszki i spojrzał Karolowi prosto w oczy.

– Filozofowie dotąd tylko interpretowali świat, a chodzi o to, żeby go zmieniać – powiedział ze złością.

– Właśnie o tym chcę mówić – odrzekł Karol i oblizał palce. – O interpretacji, o ciągłości i o zmianie. O nabrzmiałym tajemnicą osamotnieniu sieroty... Tak, to trafna formuła... Nabrzmiałe tajemnicą... Pewnego rodzaju zazdrość. Ale też i pogarda. Podejrzenie i nadzieja, że osobnik pozbawiony rodzinnego wsparcia, korzeni, tradycji i dziedzictwa może nosić w sobie zdolność do przekraczania granic przez tradycję i dziedzictwo ukształtowanych. Tabula rasa stęskniona zapisu. Toteż każda organizacja hierarchiczna, armia, Kościół, policja czy też korporacja finansowa widzi w sierocie atrakcyjny materiał na janczara, walecznego i nieskończenie wiernego. Skoro jest sam, to nie ma nic do stracenia. Skoro jest sam, to będzie wdzięczny za podanie pomocnej dłoni i podda się kształtowaniu. Nie chcę wdawać się w dysputy na temat zasadności tych mniemań. Zważcie wszakże, że u ich podstaw leży założenie nieskończonej naiwności sieroty. Tymczasem sierota wcale nie jest głupi i domyśla się, a może nawet ma pewność co do przyczyn, dla których karmi się go, ćwiczy i indoktrynuje. Z czasem zaczyna sobie zdawać sprawę, że gra, w którą go wciąga świat, wymaga, by uznając się w swym sieroctwie – odsłonił znikomość nie-sieroczej potęgi. Każdy akt utrwalenia ciągłości kończy się jej zerwaniem. Każde zerwanie wiedzie ku utrwaleniu ciągłości. Nie zmyliła mnie więc troska rysująca się na twarzy urzędnika działu kadr instytutu naukowo-badawczego. – Sierota... W dodatku wykształcony. Takich właśnie nam potrzeba – pokiwał głową i zamykając mą dłoń w prostym, serdecznym uścisku, wskazał oczyma drzwi wiodące do sekretariatu dyrektora.

Był to duży pokój ze ścianami obudowanymi ciemną boazerią, z dwoma biurkami, na których obok maszyn do pisania i telefonów stały lampy przykryte okrągłymi kloszami z matowego szkła. Przy lewym biurku zobaczyłem Alę, przy prawym zaś Olę. Nieruchomymi oczyma wpatrywały się w długie, sięgające podłogi wydruki listy płac. „Niektórzy starsi specjaliści awansują na zastępców kierowników działów” – powiedziała nagle Ola martwym głosem. „Pod pewnymi warunkami – równie martwym głosem dodała Ala. – O wszystkim zadecydują próby, którym będzie poddany...”. „Próba rozstaju dróg” – zaśmiała się złowieszczo Ola. „Próba rozwiązania zagadki” – zaśmiała się równie złowieszczo Ala. „Próba rozwikłania antagonistycznej sprzeczności” – zakończyły chórem.

Zza drzwi ukrytych w boazerii wyszła Ula, ciągnąc za sobą długą wstążkę z dalekopisu. „Tutaj piszą, że masz się zameldować u dyrektora” – powiedziała. „Kto pisze?”. „To nieważne – odrzekła. – Jak piszą, to tak ma być...”. I wepchnęła mnie do gabinetu. „Proszę usiąść” – usłyszałem głos

dobywający się z ciemności. Wymacałem dłonią oparcie krzesła. Rozmowa była krótka. Rodzaj powitania. Nie zobaczyłem twarzy mego rozmówcy. Ani wtedy, ani później. Rodzaj powitania, w którym zachęta rozplywa się w niedopowiedzeniu. Czekają mnie zadanie o charakterze strategicznym, wymagające, jak twierdził mężczyzna z mroku, zachowania całkowitej tajności, zarazem zaś jak najszerszego upowszechnienia. O ile to będzie możliwe. Być może nie będzie możliwe. Chyba że będzie. Nie mówiliśmy o szczegółach. Opuszczając gabinet, wiedziałem tyle, że są jakieś zadania. Tajne i wymagające upowszechnienia. W jakim celu? Jeśli dobrze zrozumiałem, a nie wiem, czy tak było, szło o racjonalność działania ludzkiego, o którym z doświadczenia wiemy, że racjonalne bywa tylko od czasu do czasu. Szło też o ekonomię, która w przeświadczeniu mego rozmówcy miała być nauką o racjonalnym zaspokajaniu racjonalnych potrzeb ludzkich. „To sprzeczność... – zauważyłem. – Jeśli ekonomia jest nauką o zaspokajaniu racjonalnych potrzeb człowieka, człowiek zaś nie określa swych potrzeb wedle stopnia ich racjonalności, to albo należałoby zmienić definicję ekonomii, albo też...”. „Albo też?” – podchwycił głos. „Na przykład stworzyć taką organizację społeczną, w której dają o sobie znać i są zaspokajane wyłącznie potrzeby racjonalne”. „To znaczy jakie?” – zapytał głos. „W zależności od celów organizacji – wyjaśniłem. – Żołnierz na polu walki podcina gardło nieprzyjacielowi, co z punktu widzenia planowanego zwycięstwa jest działaniem skutecznym i roztropnym”. „Czy także z punktu widzenia gatunku ludzkiego?” – zapytał głos. „Raczej nie” – odpowiedziałem. „Dlaczego nie?” – zaciekał się głos. „Nie wiem, dlaczego nie. Tak sobie mówię...” – odpowiedziałem, chcąc skończyć tę rozmowę, która miał wprowadzić w obowiązki służbowe, wikłała mnie w gęstwinę mglistych rozważań o przeznaczeniu ludzkości. „Chwalebna szczerość – zaśmiał się głos. – Ale nie po to przecież rozmawiamy. Rozmawiamy natomiast po to, by uświadomić sobie, że przetrwanie naszego gatunku zależne jest od dwóch składowych. Pierwszą z nich jest zdolność do panowania człowieka nad żywiołem natury, o którym wiemy dzięki badaniom cząstkowym, że jego żywiołowość daje się, przynajmniej częściowo, pojąć i opisać w zgodzie z kategoriami, pojęciami i definicjami wytworzonymi przez ludzki umysł, nieprawdaż?”. „Owszem” – odpowiedziałem. „Drugą natomiast składową jest zdolność do panowania człowieka nad wytworami własnego umysłu, o którym wiemy dzięki badaniom cząstkowym, że będąc źródłem racjonalnych kategorii, pojęć i definicji, nie poddaje się opisowi zgodnemu z kategoriami, pojęciami i definicjami wytworzonymi przez ludzki umysł, pojmujący i opisujący żywioł natury. Nie ma wyjścia... Albo może jest wyjście. Jeśli uznamy, że ład tego świata nie jest wytworem ludzkim. Niech pan podejdzie do okna...”.

„A gdzie jest okno?” – zapytałem, wpatrując się w ciemność.

„Na lewo” – brzmiała odpowiedź.

„Ode mnie na lewo czy od pana na lewo?”.

„W danym przypadku na lewo od szafy”.

„Czy mogę wiedzieć, gdzie jest szafa?”.

„Stoi przy ścianie”.

„Nie widzę ściany”.

„Proszę iść po omacku”.

Zajęło mi dobry kwadrans znalezienie szafy, okna, a następnie rozsupłanie sznurów rozsuwających żaluzje.

„I co pan tam widzi?”.

„Widzę niebo”.

„I co jeszcze?”.

„Widzę komin fabryki. Widzę pola. Widzę drzewa. Widzę ludzi”.

„Co robią?”.

„Chodzą. Rozmawiają. Całują się. Śmieją. Jeden bije drugiego. Chyba są pijani. Ten drugi upadł”.

„Tak to się toczy. Tak biegnie nasza praca... Tak biegnie życie. Pańskim zaś zadaniem jest... Najpierw zapozna się pan z projektem... Pan jest wybrany!”.

Zamknięty w dusznym pomieszczeniu kancelarii tajnej... Trzydzieści dziewięć dni i nocy nad pożółkłymi dokumentami... Pierwszy z nich, napisany w sierpniu 1951 roku, dotyczył samosądu na osobie nieletniego sieroty w związku z plagą stonki ziemniaczanej. Nie mylicie się. Szło o mnie. Autor raportu stwierdzał, że zostałem utopiony w rzece. Poszukiwania zwłok nie dały rezultatów. Przesłuchani uczestnicy samosądu zgodnie twierdzili, że to widomy dowód przyjęcia ofiary. Upowszechniano też pogłoski o wniebowzięciu. Podjęta przez władze akcja uświadamiająca nie przyniosła spodziewanych rezultatów, tym bardziej że tuż po zgładzeniu sieroty stonka zniknęła z okolicznych kartoflisk. Na zebraniu gminnym tłum zaatakował prelegenta kwestionującego zjawisko wniebowzięcia z punktu widzenia współczesnej nauki. Na brzegu rzeki, w miejscu złożenia ofiary, nieznani sprawcy postawili drewnianą figurę wyobrażającą dziecko z aureolą nad głową. Próba usunięcia figury przez oddział wojska zakończyła się strzelaniną. Z następnych raportów wynikało, że w obronie kultu sieroty ludność wykopuje broń, w tym także przeciwpancerną, i zaczyna tworzyć oddziały partyzanckie, które mogą zagrozić fundamentom nowego ustroju. Operacja pacyfikacyjna przeprowadzona w 1952 roku siłami trzech dywizji piechoty zmotoryzowanej zakończyła się fiaskiem. Autor raportów proponował zmianę zasad działania. Kult sieroty miał zyskać akceptację, a nawet wsparcie ze strony nowego ustroju, jako przejaw spontanicznego protestu mas ludowych przeciwko imperialistycznej agresji oraz jako czynnik integracji miejscowego społeczeństwa. Zjawisko kultu sieroty trzeba albowiem traktować dialektycznie. Z jednej strony ma ono charakter wsteczny, z drugiej wszakże ma charakter postępowy. Z jednej strony ma swe korzenie w ciemnym zabobonie, z drugiej jednak strony dzięki zabobonowi plemiona Krysiaków i Kowalików przewyciężyły obopólną nienawiść. Kult sieroty powinien być wzmocniony, a to przez wprowadzenie właściwych zasad organizacji życia społecznego i gospodarczego. Ziemia tu licha, ludność zaś nieskora do jej uprawy. Parę krowin, ze cztery świnki, żeby kartofli starczało na przednówek, i trochę piwa. Większość czasu ludność spędza przy płocie, wpatrując się w skraj lasu za polem, bez zainteresowania problemami industrializacji, wieczorami zaś recytuje niezrozumiałe dla siebie fragmenty francuskiej literatury specjalistycznej z XVIII wieku oraz ceruje odziedziczoną po przodkach odzież. Ten stan rzeczy należy utrzymać, poddając go nieznacznym modyfikacjom. Dlatego też autor raportów postulował zatrudnienie licznych etnografów, filologów, muzyków, literatów i pedagogów, którzy sięgając do ubogich źródeł miejscowej tradycji, stworzą folklor i nadadzą mu znaczenie dziejowe. Centralną w tym wszystkim rolę miał odgrywać motyw wniebowziętego sieroty... Po trzydziestu dziewięciu dniach i nocach studiów Ala i Ola zaprowadziły mnie do ciemnego gabinetu. „Odnieśliśmy wówczas sukces – powiedział głos. – Niewątpliwym sukces. Ale dziś, gdy nowy ustrój zestarzał się i zmurszał, nadchodzi konieczność dokonania fundamentalnych zmian. Inwestycje w sztukę ludową były znaczne. Etnografowie, muzycy, literaci i pedagodzy dorobili się majątków. Każdy ma willę, samochód i fertyczną żonę. Obchody rocznicy ofiarowania sieroty zaczęły przyciągać tysiączne rzesze turystów... Z drugiej jednak strony, oni tam żyją jak przed wiekami. Nędza. Ubóstwo. Brak produkcji towarowej. Brak konsumpcji. Brak zainteresowania nowymi technologiami. Nowy ustrój chyli się ku upadkowi. Trzeba coś z tym zrobić! Rozbić dawne struktury! Ożywić potencjał! Stworzyć rynek! Wielkie to zadanie! Wielkie zadanie, które może wykonać tylko jeden człowiek w świecie. Ten, który ma prawo zdemaskowania mitu sieroty... Ten, którego czterdzieści lat temu wrzucono do rzeki! Uda się pan łodzią w górę biegu Rozogi i w sanktuarium poświęconym ofiarowaniu niewinnego dziecięcia wypowie słowo prawdy!”

- Skończyłeś? – zapytał Doktor ze złośliwym uśmiechem.
- Myślałem, że to was śmieszy... – oburzył się Karol.
- Nie śmieszy. – Doktor zdjął okulary i zaczął je przecierać.
- Jeśli chcecie, to mogę zacząć od początku stylem wzniosłym – zaproponował Karol.

– Wiem, że możesz.

– Styl wzniosły ratuje nasze dusze przed banałem powszedniości – rzekł Karol. – Ten, kto mówi wzniosłe, unosi się na wysokość, z której widać tajemne więzy łączące dobro z pięknem.

– Myślisz, że sprawa polega na sposobie opowiadania?

– Raz się żyje – odparł Karol.

– No właśnie, tylko raz – powiedział cichutko Doktor. – I dlatego uważasz, że ono nic nie jest warte, to nasze życie. Że jest pozorem, pod którym kryje się coś jeszcze. Tajemnica, której nie można poznać. A skoro tak, to problem wyczerpuje się w wyborze stylu... Można śmiesznie i można wzniosłe. Wedle nastroju... I żeby podziwiali. Ja zaś uważam, że życie jest jedno. Takie jakie jest. I żeby o nim opowiedzieć, trzeba najpierw unieść ciężar...

– Pewnie znów chcesz mówić o miłości? – skrzywił się Karol.

– Może tak... – powiedział Doktor i podszedł do brzegu jeziora. – Bo ona do mnie wróci... Wiem, że wróci. Podejdzie, odgarniając ciemnorudy kosmyk z czoła, przytuli się i poczuje ciepło jej ciała, drżenie piersi, łagodną krągłość brzucha, cichy oddech, szept obiecujący wytchnienie...

Doktor ukląkł i uniósł ręce ku niebu, pomyślałem, że chce się pomodlić, ale potem wpadł do wody. Wynieśliśmy go na brzeg. Zawał serca. Karol pobiegł do samochodu, wezwał pogotowie przez telefon komórkowy i teraz czekamy, patrząc na mieniące się złotem niedojedzone sieje. Karol płacze. Pierwszy raz widzę, żeby płakał. Uratują Doktorka. Wierzę. Na pewno go uratują. Zdąży mi jeszcze opowiedzieć o miłości. Zanim odejdę.

